Dziś 16 stron

Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 2 września 1945 r. | Nr. 40

NAGRODA LITERACKA „ODRODZENIA"

Mija rok od ukazania się pierwszego numeru „Odrodzenia". W miesiąc po wyzwoleniu ziem polskich na wschód od Wisły powstało w oswobodzonym Lublinie pierwsze pismo literackie. W ciągu minionego roku tygodnik nasz skupił wokół siebie prawie wszystkich pisarzy w kraju, zastępował książkę w bibliotece, szkole i czytelni, czego dowodził wzrastający z miesiąca na miesiąc nakład pisma, ukazującego się obecnie w trzydziestu tysiącach egzemplarzy.

Dziś, gdy ukazały się pierwsze książki, kiedy powstają nowe czasopisma literackie, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej ustanowiła

coroczną nagrodę „Odrodzenia" w wysokości 100.000 zł

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w rękopisie na ręce jury do dnia 1 maja każdego roku. Skład jury będzie podawany do wiadomości corocznie 1 maja.

JÓZEF SIERADZKI

Berlin 1945

Lotne słowo, najpopularniejsze dziś w Berlinie, powtarzane po tysiące razy w metro, elektrycznej kolei, w tramwaju i na ulicy, to powiedzenie Hitlera:

— Gibt mir zehn Jahre Zeit und ihr werdet Deutschland nie wieder kennen. (Dajcie mi dziesięć lat czasu, a nie poznacie Niemiec).

— W tym jednym nie omylił się — mówi do mnie Friedrich Schultheiss, 70-letni szklarz, z którym przechodzę ze stacji S-Bahn do stacji metro w Lichtenberg, to samo Frau Babelberg z Invalidenchaussée, Wera i Hilda siostry Weiss w Zehlendorf i Irmgard Franz, stenotypistka w Treptow.

— Er hat Wort gehalten. Spójrz pan, jak dotrzymał słowa! — I wskazują na leżące pokotem bloki domów, zwalone ulice i aleje.

— Er hat gut prophezeit, okazał się doskonałym prorokiem, w tym jednym, oczywiście na opak.

Mówią z dramatyczną ironią, obrzucają go przekleństwami i wyzwiskami. Wielki łajdak, zbrodniarz, morderca, tchórz, das feige Dreck. Przewracają przy tym oczyma, zgrzytają zębami.

— Urządził nas.

Robota jest istotnie gruntowna. Miejscami nie pozostawia nic do życzenia, dokładnie jak w Warszawie na Starym Mieście. Stoją całe rejony murów, w których nikt nie mieszka i tylko pedantycznie zamiecione ulice służą żywym.

Wraz z Ławrentijem Radionowiczem Łosiewem z Mohylewa i Leonidem Jegorowiczem Białomytcewem spod Stalingradu wybieramy się na oglądanie centrum miasta. Pierwszy jest lejtenantem, drugi starszym sierżantem, obaj gwardziści-tankiści, z którymi przypadek złączył mnie na stacji w Chociebużu (Kottbus). Idziemy od Alexa przez Mitte na Potsdamerplatz. Willy Braun, były urzędnik towarzystwa ubezpieczeń, patrzy pożądliwie na nasze papierosy i z własnej inicjatywy przyłącza się jako przewodnik.

— Ta ruina na lewo, to Préussisches Abgeordnetenhaus, tam dalej Luftfahrtministerium, a na prawo gmach Wertheima.

Budzi on w Niemcu najwięcej współczucia i przyprawia go o wylew objaśnień.

— Wszystko tam można było kupić. Wertheim, Tietz i Jahndorf mieli w samym Berlinie ze dwa dziesiątki takich uniwersalnych magazynów. Zaczęło się zaś, proszę panów, od małego chłopca z prowincji.

Willy Braun gotów nam opowiedzieć całą jego karierę. Cóż, kiedy dzieło leży w gruzach. Ale — wymyka mu się — zaczęli na nowo. W jednoizbowym sklepie nie całkiem rozwalonego domu obok gmachu Columbus mieści się żałosna resztka światowej firmy. Pierwsza cegiełka odbudowy. Czy rozdmuchają tę iskrę?

— Glauben Sie nicht? Nie daje pan wiary? Musimy wierzyć i pracować. „Neues Leben blüht aus den Ruinen" — na ruinach zakwitnie nowe życie.

Przed gruzami Mitropy, Café Vaterland i wylotem na Hermann Goeringstrasse, przez którą idzie się na plac klęski, jakiej nie zaznały Niemcy od kiedy istnieją, zacytował Niemiec słowa otuchy i nadziei. Zaraz potem spokojnie, znów zgaszony chodził z nami wzdłuż zburzonej Reichskanzlei, ministerstwa propagandy, pokazywał w Oranżerii miejsce stracenia zamachowców z 20 lipca 1944 roku i wyłamane drzewa Tiergartenu.

Nad Szprewą, gęstą i brudną, po której pływały deski i belki, siedliśmy na kamieniu, aż tu zniesionym chyba z Reichstagu. Na lewo odeń Opera Krolla, równie zniszczona, dalej w głębi dzielnica bankowa, cmentarzysko gruzów. Deutsche Bank, Dresdener Bank, Kommerzbank, Berliner Handelsgesellschaft, pepiniera finasowego kapitału, który roił sny o potędze a stał się grabarzem Niemiec.

Na dworcu szczecińskim wsiada wraz z nami do metra grupa żołnierzy niemieckich, którzy właśnie wracają z niewoli rosyjskiej aż spod Ufy na Uralu. Są widać jedni z pierwszych, budzą bowiem powszechną uwagę. Obstąpieni przez cywilów rozmawiają z nimi szeptem, z którego dochodzą urywane słowa. Dobrze ubrana Niemka okazuje im najwięcej współczucia i uwagi. Przy pożegnaniu słyszę wyraźnie jak żołnierz, ściskając dłoń rodaczki, mówi:

— Also, Kopf hoch, Dame! Głowa do góry!

Ten sam przebłysk upartej nadziei, bliższy prawdy i bardziej wymowny niż tyrady o krwawym terrorze nazich i przeklętym Hitlerze. Pretensja do niego jest powszechna i przeważnie szczera, lecz raczej o wynik niż samą próbę. Pozostawiamy w tym na uboczu zagadnienie metod stosowanych w czasie wojny, których wszyscy się wypierają, przysięgając, że nic o nich nie wiedzieli. Ist denn so was möglich? Czyż to możliwe, co pokazują na filmie o Buchenwaldzie i Bergen, piszą o Oświęcimie i Majdanku? Das wäre ja schrecklich!

Trzeba nastroju socjologa i równowagi duchowej ponad ludzkie siły, by się na to nie oburzać. Mieszkańcy stolicy Niemiec, miast, miasteczek i wsi chodzą wśród gruzów, oglądają wstrząsające dowody katastrofy, którą im świat zgotował, lecz nie weszli na drogę do Kanossy. Nie stać ich na to nie tylko dlatego, że trudno jest rozwiać czad faszyzmu. Korzenie sprawy tkwią o wiele głębiej i w duszach i w dziejach, których sam Hitler był produktem i to nie jedynym.

W bibliotece sztygara Kowalewskiego w Bytomiu, starannie oczyszczonej z literatury okresu faszystowskiego, była jednak książka Hindenburga „Aus meinem Leben". Volksausgabe. Tak samo w zbiorach zbiegłego do Niemiec profesora uniwersytetu we Wrocławiu. Tenże sztygar zostawił w swej szafie „Krieg und Sieg, ein Gedenkbuch" z lat 1870—71, księgę wydaną w roku 1895 w dzień Sedanu przez dra J. von Pflugk Harttung. A w jednej z książek, na welinowym papierze przedrukowane na maszynie sentencje starego Generalfeldmarschalla, Hindenburg-Worte:

„Nie wolno folgować, niechby nie wiedzieć co miało się stać; jest rzeczą zdumiewającą jak wielki cel, który mamy przed oczyma, o którego realizacji myślimy w dzień i w nocy, wciąż i zawsze, i dla którego pracujemy — utrzymuje człowieka świeżym". Wielki cel przed oczyma i myśl o jego urzeczywistnieniu. Restlos. Do samego końca. Dniem i nocą, zawsze i wciąż myśleć o nim. I pracować. „Z każdym dniem, który daruje der liebe Gott, pracuje się z większą radością. Jestem starym człowiekiem..., jestem śmiertelnie znużony, ale będę trwał, póki to stare ciało jeszcze na coś się zda. Dla przykładu".

Sztygar z Bytomia schował sobie ten wyjątek z przemówienia Hindenburga do górnośląskich straży górniczych (Grubenwehren) w Bytomiu, w roku 1929 jako lekturę pocieszenia.

— Kopf hoch, Dame! — mówi nieznany żołnierz.

— Neues Leben blüht aus den Ruinen — cytuje poetę Willy Braun z Schöneweide.

DO PRACY

Niemcy już pracują. Od granicy za Nysą pola zżęte i ścierniska jak wyczesane grzebieniem. Biblijna Ruth nie znalazłaby porzuconych źdźbeł i kłosów. Gdzie były bomby, cegła uskładana równiutko a gruz zamieciono nawet pomiędzy murami wypalonych domów. Do kolejarzy odezwa „auf ans Werk". „Konferencja w Poczdamie jest zakończona. Jej uchwały nie pozbawiają narodu niemieckiego nadziei zajęcia znów zaszczytnego(!) miejsca we wspólnocie narodów miłujących pokój. Miejsce to musimy sobie wywalczyć. Droga prowadzi przez pracę i jeszcze raz pracę".

W Tempelhofie, w Neue Kühler- und Metallwarenfabrik robotnicy przerabiają już części samolotów na garnki, wiadra i dachówkę z lekkiego metalu. W zupełnie prawie zburzonej dzielnicy konfekcyjnej na Kommandantenstrasse drukarnia państwowa bije formularze, Ausweisy i nowe znaczki pocztowe. Z 7 000 kilometrów uszkodzonych rur gazowych naprawiono przeszło 5 300 kilometrów, a mieszkańcy Berlina, którzy mają wodę i prąd, oczekują z dnia na dzień gazu. Koleje, podziemna i elektryczna, zagęszczają raz po raz ruch pociągów i wznawiają komunikację na coraz nowych odnogach. Kolejką elektryczną można dojechać do Königswusterhausen, Oranienburga, Spandau, Babelsbergu. Tylko część śródmieścia i linia na Karlshorst—Köpenick jest jeszcze sparaliżowana. Na odbudowę domów przeznaczono 50% komornego a magistrat Berlina pospieszył od razu z kredytem na ten cel. 75 firm budowlanych przystąpiło do dzieła. Wszystko co z gruzów może być przydatne, jest starannie wybierane, sortowane, czyszczone: kamienie budowlane, trawersy, rury, przewody, armatury, wanny, muszle, paleniska. Potrzebnego materiału budulcowego dostarczają wapienniki, fabryka cementu „Adler", cegielnia „Thyssen", fabryka papy w Schöneweide, zakłady „Siemens" zaopatrzą miasto na zimę w piece. Adam Opel w Ruesselsheim jest w rekonstrukcji. Na podmiejskie ogrodnictwo zwrócona jest szczególna uwaga wobec bardzo ciężkiej sytuacji żywnościowej. Poszukiwane są siły robocze: monterzy, kowale, stolarze, cieśle, ślusarze, betoniarze, blacharze, palacze, murarze, maszyniści. Oto garść wiadomości zebrana z gazet jednego tylko dnia.

Rzecz jest normalna, popierana przez władze we wszystkich strefach okupacyjnych. Zapobiegliwy mieszczanin i chłop jest niezmożony jak mrówka. Sprawa w tym, by praca ich wyszła na pożytek a nie na szkodę, by znów nie zawisła grozą nad światem. „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, naród niemiecki i państwo zostają" — głosi czerwoną farbą na transparentach maksyma Józefa Stalina.

W CIENIU BRANDENBURGER TOR

U Bramy Brandenburskiej kończy się strefa rosyjska. Bliziutko stąd do Reichstagu.

— Wie komm ich zum Reichstag? — którędy do Reichstagu?

— Wollen Sie zum schwarzen Markt? — Na „czarny rynek"?

Nie Reichstag jest dziś istotny, ale „czarny rynek". Tu, na skraju Tiergartenu, znalazł on miejsce dla transakcji, które ściągają tłumy ludzi różnych narodowości. Nie ma rzeczy, której by tam nie dostał — od jedwabnej sukni do amerykańskiego zegarka. Wszystko odbywa się w pośpiechu, z obawy przed „razzią", która co pewien czas zmiata ludzi jak wiatr liście jesienne. Nalotów dokonuje Volkspolizei i Schutzpolizei. Powinni w tym mieć wielką wprawę, nabytą w wielu stolicach europejskich. Lecz za chwilę, gdy przejdą posterunki, znów tworzą się grupki, sprzedawcy pokazują swój towar, ubrania, bieliznę, biżuterię, futra, obuwie, aparaty fotograficzne, skórzane teczki, nabywcy płacą aliancką marką. Rozpoczęła się wyprzedaż, bo Niemcy muszą żyć. Ile w tym jest dobra złupionego we wszystkich krajach kontynentu, które teraz idzie znów w obieg?

Prócz Tiergartenu są i inne punkty czarnego handlu, nadto zaś drzewa i płoty, na których umocowano setki kartek: „Zamienię węgiel na ubranie męskie w dobrym stanie". „Poszukuję zarzutki, dam króliki, tłuszcz, cukier". „Zamienię tabakę do wąchania (towar przedwojenny) na artykuły żywnościowe". I inne: „Kto z jeńców, zwolniony ze szpitala w Ruedersdorf, może coś powiedzieć o Alfredzie Mahlau, artyście-malarzu? Jaką odniósł ranę, lub na co zachorował?"

To samo w Chociebużu, w alei prowadzącej do dworca. Rozbitki zza kordonu nawołują się, zbierają do gromady nowoczesnymi wiciami umocowanymi na pniach kasztanów: „Trebnitzer (Trzebnica), Lignitzer (Lignica), Saganer (Żegań) — Achtung!", „Heinrich Lehmke — Budziszyn, żona i dziecko w Chociebużu", „Elbinger (Elblążacy), gdzie przebywa pani Fahl z Angelą?". Orędzia życia, nekrologi minionego dostatku.

DECYZJE BERLIŃSKIE I HISTORYCZNE REFLEKSJE

Podstawą wszystkiego są postanowienia konferencji berlińskiej. Nie są one na pewno dla Niemiec złotą kartą, są jednak liną ratunku. Z kilkudziesięciu milionowym narodem coś trzeba począć. Bismarckowski program pożarcia zająca przez wilka i hitlerowskie „ausmerzen und ausrotten" jako program polityczny nie wchodzą w żadnym sensie w rachubę dla sprzymierzonych. Postanowiono więc uznać Niemcy jako gospodarczą całość i dać im możliwość odbudowy. W organizacji gospodarki główna uwaga musi być zwrócona na rozbudowę rolnictwa i odbudowę pokojowego przemysłu dla pokrycia własnych potrzeb. Jeżeli wysiłki narodu niemieckiego będą skierowane do tego celu, umożliwi się mu zajęcie z biegiem czasu miejsca wśród wolnych i miłujących pokój narodów świata.

Tak więc, uznając swą militarną klęskę i obciążeni polityczną odpowiedzialnością za wybuch wojny i jej zbrodnie (biskupi bawarscy próbowali podkopać się pod tę niezmiernej wagi zasadę!), stają Niemcy wobec szansy danej im wspaniałomyślnie przez zwycięzców. Nie jest to już „die grosse Chance" Goebbelsa i ma nigdy już więcej nie dopuścić do powrotu maniaków i recydywistów, nie tylko w stylu potwora z Braunau, ale i w typie wychowanym przez długie wieki historii Prus, gloryfikowanym w osobach Fryderyka II, barona von Stein, Moltkego z okresu wojny prusko-francuskiej, układającego plany zaborczych operacji militarnych Schlieffena.

„Naród niemiecki będzie musiał ciężko i twardo pracować, ażeby wydobyć się z nieszczęścia i nędzy, w którą popadł przez Hitlera" — mówił na zebraniu frontu jedności przewodniczący komunistycznej partii Niemiec Wilhelm Pieck.

Ale jaka jest gwarancja, że odbudowany system państwowo-gospodarczy o kierunku, niech będzie, rolniczo-pokojowym, nie zostanie znów użyty do celów, o których myślał niezmordowanie już Wielki Elektor i wszyscy jego następcy? Które wpojone zostały narodowi w ciągu stuleci. „Marzy on (Fryderyk II) o powiększeniu krok za krokiem potęgi swego domu np. przez opanowanie polskich Prus (dziś Prusy Zachodnie), które po wsze czasy należały do Reichu i dopiero przez Polaków zostały wydarte niemieckiemu zakonowi" — uczyli swych Volksgenossen solidni, nic wspólnego z Hitlerem nie mający, bo nikt go nawet jeszcze nie przeczuwał, W. Oncken i E. Heyck w 1908 roku („Zeitalter Friedrichs des Grossen"). Jak można łudzić się, że ta opaczna nauka, uprawiana przez wszystkich bez jakiegokolwiek miarodajnego wyjątku historyków niemieckich, stawiająca prawdę historyczną i prawdę ludzką na głowie, zostanie naraz zapomniana, wypruta z trzewi zbałamuconego narodu? Że zapomni i wyrzeknie się testamentarnych nakazów Wielkiego Fryca, które stały się kamieniem węgielnym niemieckiej polityki terytorialnej,

„Jeżeli zdobędziemy ten kraj (Pomorze), to mamy nie tylko zupełnie wolne połączenie Pomorza z Prusami, ale utrzymujemy również w ryzach Polaków i jesteśmy w stanie przypisywać im prawa". Albo o Śląsku: „Wyzyskajmy chwilę — mówił wielki rabuś w Schloss Rheinsberg w 1740 roku, w przededniu wojny z Marią Teresą — aby zdobyć Śląsk. Jest to najbardziej wartościowy nabytek, jaki nastręcza się od dłuższego czasu, aby królewskiemu domowi dać bezcenne i pełne chwały pomnożenie". Wart on nawet więcej niż Jülich i Berg. „Bo kraje nadreńskie mają o wiele mniejszą cenę niż Śląsk, który przestrzennie stanowi pomyślny przyrost do starych prowincji, a gospodarczo zapewni narodowi największe źródła bogactwa".

Kto dziś, po 200 latach, gdy marzenie zaborcze stało się ciałem i przybrało postać „deutscher Arbeit im Osten", wytrąci Niemcom z rąk tę biblię tak, aby szczerze, prawdziwie nie chcieli już po nią sięgać? Musieliby nie tylko odwrócić się od Szczecina i Kołobrzegu, Wrocławia i Lignicy. Jeszcze trudniejsze niż to jest odżegnanie się od legendy Molwic, Torgau i Zorndorf, Rossbach i Kunersdorfu, morderczych walk, klęsk i powodzeń, które poszły w narodowy rapsod: „Z bitew i ciężkich kolei tej wojny zrodził się nasz pruski duch". Właśnie ten „besondere Preussengeist"! Jemu historiografia niemiecka przypisuje zasługę odrodzenia w czasach napoleońskich i tego co dokonano później w XIX stuleciu.

Dziejopisarstwo i piśmiennictwo w ogóle nie są rzeczą małoważną, obojętną. Imponderabilia mają większą nieraz twardość niż metale i żyją dłużej niż historyczne fakty. Gdy te należą już do przeszłości, tumor emocji i utrwalonych wiekami stanów uczuciowych trwa, chociaż brak im podstaw, utrzymuje się wbrew podstawom i rzeczywistości.

I jak odejdą od nienawiści, która zalewa ich serca i mózgi? Specyficznej nienawiści niemieckiej, deutscher Hass.

Aber wir vestehen uns bass,
Wir Germanen auf dem Hass.
Aus Gemütes Tiefen quillt er,
Deutscher Hass! Doch riesig schwillt er,
Und mit seinem Gifte füllt er
Schier das Heidelberger Fass. (Heine).

Na razie nie jest on niebezpieczny. Dum oderint metuant. Ale są teraz w Europie dwie Alzacje, jedna na Zachodzie, druga na Wschodzie. I właśnie rozległ się głos Winstona Churchilla, który wszedł już w skórę przywódcy opozycji Jego Królewskiej Mości: „Myślę, że popełniono błąd w sprawie, której gorącym rzecznikiem był Rząd Tymczasowy. Posunął się on o wiele dalej niż wymagała tego potrzeba i sprawiedliwość".

NEUBAU — NEULAND

Profilaktyka mieści się w granicach ludzkich możliwości. Jest okupacja, kontrola, demilitaryzacja i wszystko co dotąd w tej dziedzinie wymyślono. Im ściślejszy będzie stopień współpracy sprzymierzonych, tym oczywiście skuteczność zespołu stosowanych środków będzie większa.

Wśród nich na poczesnym miejscu należy postawić świadome dążenia samych Niemców do odnowienia. Wiederaufbau. Neubau. Politisches Neuland. Niedawno odbyło się w Berlinie Fryderyków Wilhelmów, Fryderyków i Wilhelmów wielkie zgromadzenie frontu jedności, tj. Komunistycznej Partii Niemiec (Pieck), Socjaldemokratycznej Partii (Grotewohl), Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii (Hermes), Liberalno-Demokratycznej Partii (Koch).

Pieck: „Zawsze będzie musiał naród myśleć o tym, co w jego imieniu zostało wyrządzone innym narodom przez hitlerowską bandę".

Grotewohl: „Nazistowski szał wojenny zniszczył Europę od Pirenejów do Wołgi; od lodowych gór Nordkapu aż do najgorętszych piasków Afryki utworzył pola gruzów".

Koch: „Nie wieder Krieg!"

Hermes: „Teraz bije wielka godzina wychowawców narodu niemieckiego, filozofów i prawników, społecznych myślicieli, poetów i pisarzy. Muszą oni podnieść duchowo naród niemiecki, uwolnić go od żabijającej kulturę ciasnoty i jednostronnej specjalizacji, wskazać mu nowe drogi i znów wzniecić panowanie wiecznej boskiej moralności w sercach poszczególnych ludzi i cel współżycia z innymi narodami."

Denker und Dichter. Filozofów i poetów niemieckich świat nie darmo się obawia. Nie muszą to być filozofowie aż typu Nietzschego lub poeci ze znakiem swastyki. U wielu odległych od tego i w czasie i w nastroju, znajdzie się naraz coś z Germanentum i prusactwa. Nawet u Goethego, który się przyznawał do adoracji Fryderyka II („Aus meinem Leben, Wahrheit und Dichtung"). Prawnicy i znawcy nauki o państwie? Są wszelkie podstawy, by od nich stronić.

„Nieskończenie ciężką rzeczą jest, ale też rzeczą o doniosłości nie dającej się ocenić, to wielkie dzieło wychowania, które przede wszystkim musi służyć niemieckiej młodzieży. Tylko wtedy, gdy uda się uwolnić całą młodzież niemiecką od morowej zarazy zewnętrznego drillu, który był znamieniem barbarzyńskich hitlerowców, tylko gdy uda się zdobyć ją znów dla ideałów prawdziwej kultury ludzkości, można będzie wyrwać ją z ponurej beznadziejności, która dziś ciąży na niej jak nieszczęsne brzemię". (Hermes).

Ta młodzież była cała w hitlerowskich szkołach, obozach przysposobienia, Reichsluftschutzbundzie, HJ, uczestniczyła w akcjach „przeczesywania" na terenach okupowanych, zbiórki materiałów, szpiegowania ludności, grabienia, asystowała egzekucjom, była w Volkssturmie. Dwunastoletnie szczeniaki ściągają twarz w nienawistnym grymasie na widok obcego na ulicy Berlina i w tramwaju. Czy wśród tej młodzieży nie chodzi już jakiś nowy Schickelgruber? Maniak w rodzaju Pater Jahna albo przynajmniej nowe wcielenie v. Schönerera czy dra Luegera? Nie byłoby to dziwne przy niemieckiej żądzy rewanżu i po tyloletnim posiewie, uprawianym z bezprzykładną konsekwencją i midasowym nakładem środków finansowych. Każdego wychowanka hitlerowskiej szkoły można uważać za epigona i potencjonalnego naśladowcę najsmutniejszej pamięci wzoru.

I gdzie jest wychowawca, który ma dokonać cudu duchowej przemianyn? Nie łatwo o niego w Niemczech karmionych przez pokolenie ideą odwetu, przez pół pokolenia faszyzmem, a w ciągu wieków nacjonalistycznym zaślepieniem.

Lecz trudno. Świat nie może popadać w pesymizm, samobójstwo nie jest programem politycznym. Trzeba być optymistą. Musi nim być człowiek w Europie, choć jest ona w połowie spalona, w drugiej połowie zubożała. Tak wyglądają fragmenty krajów, tak partie ulic w miastach, tak cały kontynent. Na nim chodzi człowiek zmęczony i smutny. Uratowany z pożogi czuje, że wszedł w okres przemian, od których nie ma powrotu ni ucieczki. Tęskni za dniem wczorajszym, lecz widzi lub przeczuwa troski, które czają się za szczelinami społecznego ustroju. I ociągając się, narazie bezwolnie, wstępuje na szlak wiodący przez strome zbocza, gęste filtry i ciasne tygle.

Trzeba też być optymistą w ocenie możliwości pedagogii i oczekiwać od niej spełnienia zadań, od których zależy co najmniej tyle, ile od egzekwowania odszkodowań i najczujniejszej kontroli nad niemieckim przemysłem i laboratoriami. Przystąpiono więc w Berlinie do naprawy instrumentu wychowania. Rozpoczęto szkolenie młodych sił nauczycielskich i nawracanie starych. Oto Dezernatleiter dr Steinberg mówił dla nich o „Wirach niemieckiego ducha" w okresie, w którym moralność zredukowana była do brutalnego utylitaryzmu. Patronuje temu „Kulturbund für die demokratische Erneuerung Deutschlands". Jego prezesem jest poeta Johannes Becher, wiceprezesami Bernhard Kellermann i malarz prof. Carl Hofer, Z koryfeuszy: prof. Vasmer, prof. Holtzmann, Paul Wegener, Ihering. Przygotowują kulturalno-polityczny miesięcznik „Aufbau". Wydali manifest, pragną nawiązania stosunków z duchowymi przedstawicielami innych narodów.

HERKULES W STAJNI AUGIASZA

Ileż to śmiecia drukowanego będą musieli wywieźć po Trzeciej Rzeszy! Miliony egzemplarzy „Mein Kampf" przeszły już przezornie przez kominy, podobnie „Reden und Aufsätze" Goeringa i „Mit XX stulecia" Rosenberga, i Goebbelsa „Wetterleuchten", i „Reden" Hessa. Wszystkie książki Berndta, Dietricha, Gritzbacha, Hadamowsky'ego („Blitzmarsch nach Warschau"), Kremera, Krumbacha, Schotta, Leya, Baldura von Schirach, Sundermanna („Die Grenzen fallen"). I powieści nazistowskiej produkcji (Gerhard Schumann, E. W. Möller, Johst, Anacker) i demoralizujący romans erotyczno-sensacyjny i powieść kryminalna. I książka patriotyczna w rodzaju opowieści Eckarta von Naso o Seydlitzu, bohaterze spod Rossbach i Zorndorf, której ilość idzie w wagony, i pociągi podręczników do nauki języka, literatury, historii, geografii. Pierwsza z brzegu, zdjęta na chybił trafił z półki Hamsa „Erdkunde" gloryfikuje Hitlera, „zbawcę niemieckiego narodu". I popularyzowana historia. I „poważna" również. I cała antropologia i Rassenlehre. Strumyki jadu, źródła nienawiści. Trucizna.

Wróci skreślony „Wilhelm Tell" i okrzyk „In tyrannos" ze sceny i markiz Posa, żądanie wolności myśli i godności człowieka i „Kabale und Liebe" z krytyką środowiska mieszczańskiego. Wróci niemiecki Wolter, „biały Żyd", Gotthold Ephraim Lessing. Herman Hesse i Erwin Rosen, Johannes Becher, szczerzy demokraci od Wilhelma Buscha do Ludwika Thoma. Obaj Mannowie i Wassermann, Oskar Maria Graf, Hugo Hoffmansthal, Alfred Kerr, Max Herman-Neisse i Ernst Wiechert. Ten ostatni z obozu w Buchenwaldzie. Już drukuje w „Allgemeine Zeitung" wiersz „Am Abend zu beten". Sumienie więźnia-poety nie zaznaje spokoju na wspomnienie zamęczonych, nieszczęśliwych dzieci:

Und nächstens pocht es leis ans Tor
und Tausend Kinder stehn davor
mit ihren Tränenkrügen.
Und weisen still ihr Totenhemd
und sehn uns schweigend an und fremd
mit schmerzversteinten Zügen.

I przede wszystkim Bernhard Kellermann. Autor „Tunelu" i „9 listopada" mieszka w Werder pod Berlinem i pracuje nad powieścią antyfaszystowską „Inferno". Nadto uczy się na późną starość pilnie języka rosyjskiego. „Łatwiej mi będzie porozumieć się z moimi rosyjskimi przyjaciółmi i czytać wielkich rosyjskich pisarzy w oryginale". Kellermann oparł się naciskom, pokusom i przemilczaniu. „Od pierwszego dnia wojny wiedziałem, że ta szaleńcza impreza stanie się nieszczęściem Niemiec. Moje podróże do Rosji, Persji, Indyj, Japonii otworzyły mi oczy na to, co w szerokim świecie jest politycznie możliwe, przestrzegły mnie przed popadnięciem, jak miliony innych, w cezarystyczny szał Hitlera". Trudno będzie wrócić Gerhardowi Hauptmannowi za ściślejsze stosunki z reżimem. (Przebywa on obecnie na obszarze Polski, w uroczej Jeleniej Górze i zgłosił gotowość przekazania państwu polskiemu swych bogatych zbiorów). Szerokim korytem popłyną pisma Gorkiego, Tołstoja, Andersen-Nexö, Romain Rollanda, Anatola France'a. Teatry, sale koncertowe, radio, kina są czynne. W Hebbel-Theater na Stresemannstrasse wystawił Bert Brecht „Operę za trzy grosze". Idzie Hansa Fitza komedia „Dzieci — dzieci" z Lucie Englisch, „Mucha hiszpańska" Arnolda i Bacha, Ralpha Benatzky'ego komedia muzyczna „Moja siostra i ja". W Deutsches Theater wieczory muzyki kameralnej niemieckiej opery państwowej, w Deutsches Opernhaus koncerty symfoniczne. W Berliner Konzertoper w Charlottenburgu śpiewaczki Ines Decastro i Irmgard Armgard. W Marmorhaus na Kurfürstendamm Siergieja Eisensteina film „Iwan Groźny".

W Salzburgu, pod patronatem Amerykanów wznowiono Festspiele. W planie są koncerty symfoniczne, muzyka kościelna, serenady i opera Mozarta „Uprowadzenie z seraju". Wśród dyrygentów jest Franciszek Prochaska i Eugen Jochum, zaproszono zaś dra Bernhardta Baumgartnera i Bruno Waltera z Ameryki, dawnego kierownika Festspiele. W sali Luisen-Gemeinde w Berlinie grał polski pianista Wilhelm Tatarczyk „Impromptu" Schuberta, kompozycje Mussorgskiego i b-moll scherzo Chopina. „Tatarczyk zdaje się być powołany do kontynuowania wielkiej tradycji polskich mistrzów fortepianu" („Tägliche Rundschau"). W Hamburgu koncertuje przybyły z Ameryki skrzypek Yehudi Menuhin, w Osnabrück pianista Dawid Till. Radio Salzburg transmituje co niedzielę nabożeństwa katolickie, protestanckie i synagogalne, berlińskie gazety podają tygodniowy kalendarz nabożeństw katolickich, uderzająco obfity i zapowiadają ogłoszenie listy nabożeństw ewangelickich i synagogalnych.

Państwo, które wczoraj rżnęło, gazowało i paliło Żydów, dziś zaprasza ich czułymi słowami:

„Wśród wszystkich zbrodni systemu nazistowskiego jest zbrodnia popełniona na Żydach w kraju i zagranicą może najbardziej przerażająca. Także i tu trzeba odpokutować wielką winę i w miarę możliwości wyrównać(?!). Antyfaszyści powiedzą swoim żydowskim współobywatelom, że otwierają dla nich szeroko wrota kraju i żywią nadzieję, że Żydzi postawią w służbę odbudowy tysiącletnią mądrość swej rasy". (Hermes).

Dosłownie. Takie jest ich, milionów okrutnie zgładzonych za grobem zwycięstwo.

*

Późnym wieczorem ustaje ruch cywilnej ludności. Cichną odgłosy miasta i tylko zrzadka suną auta czterech armii okupacyjnych, bo i Francuzi objęli właśnie Reinickendorf i Wedding jako swoją strefę. Tu i ówdzie posterunki amerykańskie, angielskie, rosyjskie. Kierujący w dzień ruchem niemieccy Schupo w znienawidzonych przez nas mundurach z bronzowymi wyłogami znikają o tej porze z ulic.

Na dworcu w Lichtenberg stoi pociąg do Poznania i Warszawy. Aż pęka od mas, które się do niego tłoczą. Na peronie grupa młodych oficerów radzieckich zabawia się. Jeden gra na harmonii, dwie pary tańczą walca, w kręgu koledzy klaszczą w dłonie i pokrzykują. Weseli i beztroscy. Przypomina się inny obrazek na stacji w Chociebużu. Tłum starców, kobiet, dzieci, z tobołami, plecakami, wózkami. W tłumie, pod filarem niemieccy żołnierze i inwalidzi. Sześciu ma razem trzy nogi. I szczudła. Dwaj obrońcy Wrocławia z wyszywką na pilotkach: „24 I — 6 V 1945 Festung Breslau". Obok listek koniczyny.

Przegrali wojnę, do gruntu, z kretesem. A kto wygra pokój? Powracający z niewoli żołnierz, który żegnał damę niemiecką szeptem „Kopf hoch!", czy „Kulturbund für die demokratische Erneuerung Deutschlands"? Znów ludzie siódmego dnia z dzielnicy banków, która, choć w gruzach, ma swoich sympatyków w wielkich domach świata, — czy ludzie sześciu dni?

Józef Sieradzki

SANATORYJNE GIMNAZJUM I LICEUM ŻEŃSKIE
IM. ŚW. TERESY W RABCE
przyjmuje do internatu dziewczynki od lat 7-miu
Zgłoszenia kierować: Zofia Szczuka — Rabka

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

Od Pirenejów do Libanu

Po powrocie z kampanii w Norwegii, tragicznym końcu Brygady Podhalańskiej w Bretanii, szczęśliwym przedarciu się 800 kilometrowym marszem poprzez wojska niemieckie na południe Francji, wówczas wolnej od okupacji, znalazłem się jesienią 1940 roku wraz z Adolfem Bocheńskim w Pirenejach.

Zaprzyjaźniliśmy się z rodziną przemytnika, pół-Hiszpana, pół-Francuza. Założyliśmy tam melinę, punkt noclegowy dla żołnierzy, którzy tym szlakiem mieli przedostawać się na stronę hiszpańską. Chałupa przemytnika była położona w górach pod granicą. Na dworze o tej porze roku było już chłodno. W wielkiej środkowej izbie było jednak rozkosznie ciepło: na kominie przez cały dzień bez przerwy paliła się ogromna kłoda. Wieczorem na rożnie umieszczano udziec barani. Jak przyjemnie było, spędziwszy dzień we mgle i zawiei, grzać się wieczorem w cieple komina, wpatrywać w trzaskający wesoło płomień, wchłaniać smakowity zapach mięsiwa. Po kolacji zaczynała się druga uczta, tym razem dla ducha. Na ogólne żądanie gospodarz, „père Antoine" wstawał ze swego zydla, ocierał dłonią usta, zakasywał rękawy koszuli i z maestrią tenora śpiewał piosenkę francuską lub hiszpańską. Potem z kolei panna domu, hoża, czarna dziewczyna, śpiewała jakieś piosenki francuskie na szerokim świecie nieznane, o słowach niezrozumiałych, przejętych z języka Basków. Potem wszyscy prosili pastucha by zaśpiewał. Był to czerwony Hiszpan, który ranny z końcem wojny domowej opuścił swą ojczyznę, przechodził z oddziałem opodal domu przemytnika, tu znalazł przytułek, zamiast iść do francuskiego koncentracyjnego obozu internowanych, tu pozostał. Cały dzień ten chłopiec-żołnierz chodził brudny, w łachmanach (nasz przemytnik, jak przystało na Francuza, był odpowiednio oszczędny), śmierdział gnojem, gdyż pilnował krów i baranów. Wieczorem, gdy siedząc u komina posłyszał śpiew — zmieniał się, wpatrywał się w czarną śpiewającą dziewczynę już nie jak parobek, lecz jak amant. Gdy go proszono by śpiewał, chwilę się wzbraniał. Potem wstawał i zaczynał. Wtedy był już zupełnie odmieniony. Nieśmiały pastuch stawał się pewnym siebie artystą. Gorejącymi oczyma spoglądał na czarną dziewczynę i żywa kastylska piosenka kaskadą twardych dźwięków tryskała pod powałę izby. Wydawało się, że moc tego głosu przygłuszała na chwilę świst wichru za oknami. Gorące brawa wyrażały nasz zachwyt. Właściwie dopiero dzięki temu pastuchowi zdałem sobie sprawę z piękna mowy hiszpańskiej, która mym zdaniem w męskim śpiewie nie ma chyba równej sobie na świecie. Potem gospodarze proponowali gościom czynny współudział w wieczornicy. Wtedy któryś z francuskich pilotów, który przekradał się do armii de Gaulle'a, śpiewał z kolei. Wesoła, pełna werwy piosenka gawroszów paryskich zmieniała od razu nastrój. Przenosiliśmy się myślą do miłych, beztroskich czasów przedwojennego Paryża. Potem nam oddawano głos. Wtedy następowała klapa. I ja i Adolf mamy antytalent do śpiewania, a tak się zdarzało, że i nasi koledzy, których przerzucaliśmy na hiszpańską stronę, nie byli w tej dziedzinie bardziej uzdolnieni od nas, dzięki czemu domownicy pozostali przekonani, że Polacy to dziwnie niemuzykalny naród. Raz o mało koncert nie skończył się wsypą. Do drzwi wejściowych ktoś zaczął stukać. Ten kto śpiewał nie przerwał śpiewu, a przemytnik wskazał nam tylko drzwi do drugiej izby — był to umówiony znak, po którym przez strych przedostaliśmy się pod dach stodoły i tam zaszyliśmy się w sianie. Rano dowiedzieliśmy się, że to patrol policji francuskiej i kontrolerzy gestapo dokonali inspekcji, czegoś podejrzewając. Niczego nie odkryli.

W chałupie panował nieustanny ruch. Obserwując go doszliśmy do wniosku, że zawód przemytnika cieszy się niesłusznie złą opinią, w rzeczywistości przyczynia się bowiem do szczęścia bliźnich. A więc: w Hiszpanii jest oliwa, ale ludzie chodzą boso, bo brak jest butów, we Francji zaś są jeszcze buty, ale nie ma już oliwy. Przemytnik biega po górach, niesie buty Hiszpanom, przynosi oliwę Francuzom. Albo: czerwoni żołnierze hiszpańscy, internowani we Francji, od paru lat nie widzieli swych żon i kochanek. Przemytnik i tym nie odmawia pomocy: przychodzą do niego z dolin, z Francji, wyposzczeni mężowie, a zza gór, z Hiszpanii, przemytnik doprowadza ich kobiety — i skromne obejście góralskie staje się świątynią amora. Wtedy wieczorny koncert wzbogaca się o nowe hiszpańskie pieśni, w których długo uśpione zmysły przebudzają się z nową siłą. Teraz znów ci lotnicy francuscy, i ci żołnierze polscy, co nigdy nie mają dość wojny, chcą się znaleźć na ziemi brytyjskiej. Nic nie jest temu winien przemytnik, że Hitler przewraca świat do góry nogami, że Sikorski i de Gaulle w Londynie tworzą emigracyjne armie, ale i tym tułającym się chłopcom przychodzi z pomocą.

Jesień była coraz późniejsza. Już nie można było jak dawniej, w gorące południa, przerwawszy marsz górski, odświeżyć się prysznicem pod kaskadą górskiego potoku. Spadły pierwsze śniegi. Adolf podążył do Andorry, by się spotkać z kuzynką przebywającą w Madrycie. Wróciwszy opowiadał, że miejscami brnął po pas w śniegu. Wkrótce i w naszej części Pirenejów spadł śnieg tak wielki, że trzeba było zawiesić działalność przemytniczą aż do wiosny.

Teraz mieliśmy możność pomyśleć o sobie. Pół roku już minęło od upadku Francji, w ciągu których usiłowaliśmy pomóc kolegom. Uznaliśmy, że już czas przyszedł, by dołączyć się do polskiego oddziału walczącego. Adolf był bardzo przywiązany do Brygady Podhalańskiej, i rad był znaleźć się w Szkocji w jej szeregach. Mnie ta myśl mniej odpowiadała, byłem przekonany, że to, co się z brygady dostało do Szkocji, to była jej resztka. W tej sytuacji przyszedł nam z pomocą Graziani, który właśnie rozpoczął niedawno marsz na Egipt, zajął już pograniczne Solum i Sidi Barani. Wiedzieliśmy, że w kwietniu 1940 r. w Syrii powstała brygada polska, pod nazwą Brygady Karpackiej, pod dowództwem pułkownika Kopańskiego, i że po armistycjum francuskim przeszła do Palestyny. Powstać miała z żołnierzy internowanych w Rumunii i na Węgrzech. Tu właśnie był dla nas punkt niejasny. Czy dołączyła do niej dostateczna ilość żołnierzy, czy nie jest to przypadkiem jakaś legia oficerska? Bliski Wschód nas ciągnął. Egzotyzm świata arabskiego działał swym urokiem. Kupiłem egzemplarz wspomnień pułkownika Lawrence, Adolf coraz częściej deklamował dumę o emirze Rzewuskim. Pojechałem do Marsylii, by rozpatrzeć możliwości podróży na Bliski Wschód. Adolf został w Pirenejach, zajęty likwidowaniem naszej działalności, w razie znalezienia możliwości wyjazdowych miałem go sprowadzić telegraficznie.

Marsylia była od szeregu miesięcy jednym z najpoważniejszych ośrodków nielegalnych wyjazdów z Francji. Po kapitulacji każdy kto chciał się znaleźć za granicą, kierował się albo do Perpignan, nad granicę hiszpańską, albo do Marsylii. W Perpignan skupiła się elita bogatego żydostwa Europy, uciekająca przed łapą Hitlera kolejno z Austrii do Czech, z Czech do Polski; znalazłszy czasowy przytułek w Holandii, Belgii i Francji, zawiedziona wszędzie, widziała obecnie jedyne bezpieczne schronienie w Ameryce, tam też pragnęła się dostać. Przypuszczałem, że w tym środowisku żydowskim natrafię na jakieś drogi do Palestyny. Zawiodłem się, Palestynę uważano za bardzo zagrożoną. Tym bardziej perspektywy jazdy na Wschód wydały mi się interesujące. Polacy kierowali się głównie do Marsylii, ciągnęła ich zapewne nadzieja, że z tego największego portu Francji będzie można wyjechać drogą morską. Policja francuska zdając sobie sprawę z masowego napływu cudzoziemców do tego miasta, obstawiła wyjście z dworca już w lipcu i odtąd bezustannie kontrolowała dowody osobiste wszystkich przybywających. Wydawało się, że żaden niepożądany turysta przez to policyjne ucho igielne nie przedostanie się do Marsylii. W istocie nie było tak źle. Doświadczeni Polacy wysiadłszy z rannego pociągu udawali się do restauracji pierwszej klasy, by z miną solidnych burżujów wypić filiżankę herbaty. Następnie tylnym przejściem kierowali się do hotelu kolejowego. Tam zapytywali portiera, czy ma wolny pokój, którego nigdy nie było, po czym z hallu hotelowego udawali się na miasto.

W Marsylii z jedzeniem było już ciężko, ale w znanej nam restauracyjce w Starym Porcie można było dostać białą kawę z mlekiem, chleb, ser, cukier, słowem nieosiągalne wówczas gdzie indziej specjały. Przywozili je główni klienci tej garkuchni — marynarze, (przeważnie Murzyni). Korsykanie i Indochińczycy. Przychodzili i Czesi. Spotkałem tam też kiedyś żołnierza angielskiego, który uciekł właśnie z obozu jeńców w Prusach Wschodnich, doznawszy po drodze pomocy ludności polskiej. Pułk jego był od lat stacjonowany w Egipcie i na odznace pułkowej, którą nosił w kieszeni, miał rzeczywiście napisane „Egypt".

Po śniadaniu szło się przed polski konsulat. Do konsulatu samego wejść było trudno, ponieważ znajdujący się tam obecnie „Urząd polski" z trudem tolerowany przez komisję armistycyjną niemiecko-włoską, bał się klientów o wyglądzie zdemobilizowanych żołnierzy. Najwięcej na tym tracili byli emeszetowcy, którym ministerstwo nie wypłacało poborów, a Hiszpanie i Francuzi nie respektowali paszportów. Teraz rodacy odmawiali im ostatniego przywileju: by około południa zajść do miejscowej placówki na tradycyjne plotki w kuluarach. Tym rojniej było na placyku pod konsulatem, gdzie pod kasztanami mieściła się duża kawiarnia, giełda wszelkich wiadomości politycznych, militarnych, personalnych i wyjazdowych. Tu można było się dowiedzieć, że konsulat peruwiański zaczął wydawać wizy, że granica hiszpańska po raz dwudziesty znów została zamknięta, że jednak gubernator prowincji Saragossa jeszcze o tym nie wie, wskutek czego wąskotorówką i autobusem można jeszcze przejechać w Luchon. Tu dowiadywaliśmy się, że porucznik X wyjechał za litewskim paszportem, uroczyście przyjmowany na granicy hiszpańskiej, że kapitan Y wpadł i siedzi w kryminale w Oranie, że grupa szeregowych nadesłała pocztówki z Portugalii, że podchorąży Z przybył właśnie z niewoli niemieckiej, że pracował na poczcie polowej, że wybił stempel pocztowy na kartce papieru i zrobił z tego przepustkę, że dwóch cenzusowców wyrwało właśnie ze Szwajcarii. Wojskowi trzymali się przeważnie razem, osobno podhalanie, osobno maczkowcy, osobno pierwsza dywizja. Baliśmy się bowiem prowokatorów i zasadą było, że rozmawia się tylko z dawnymi znajomymi. Spotykało się tu i cywili. Dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczony światowej sławy, żądał ode mnie jako od swego ucznia, abym mu pomógł w wyjeździe do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma zapewnione możliwości pracy naukowej. Spotkać można było Ignacego Matuszewskiego i Kazimierza Wierzyńskiego, wybierających się również do Ameryki. Gnębiony przez Kwiatkowskiego podatkami za krytykę w parlamencie senator Heiman-Jarecki wybierał się do Manchesteru. W tym zakątku wielkiej Marsylii w r. 1940 można się było czuć, jak w Warszawie.

W listopadzie już nie było tak rojno i gwarno jak w lecie. Część naszych już wyjechała do Anglii, niektórzy na Hiszpanię, inni, jak generał Maczek (w fezie, jako zdemobilizowany marokańczyk) przez Afrykę Północną. Gestapo coraz bardziej wchodziło w życie Francji. Wielu kolegów wobec wyczerpania się gotówki, a nieudania się wypraw na Afrykę bądź Hiszpanię, odpoczywało na francuskim łaskawym chlebie w jednym z dwu obozów, założonych dla wojskowych polskich, nabierając sił do nowych wycieczek. Przybywszy do Marsylii zająłem się energicznie badaniem możliwości wyjazdowych na Średni Wschód.

Dwie drogi były do wyboru: lądem i morzem. Możliwości drogi lądowej były rozmaite. Więc można było udać się do Szwajcarii, tam ukryć się pod wagonem ekspresu Berno—Belgrad i tą drogą przejechać do Jugosławii. Niestety późna jesień czyniła perspektywę przejazdu w ten sposób przez Alpy mało zachęcającą. Można było próbować szczęścia, kierując się bezpośrednio na Włochy. Kilku naszych właśnie wróciło przesiedziawszy parę tygodni w więzieniu mediolańskim. Policja włoska nie okazała się nawet najgorsza. W pociągach mało kontrolowano. Wreszcie pozostawała droga morska. Po kilku dniach wędrówek po porcie i rozmowach z marynarzami i armatorami, Żydami, Czechami, Egipcjanami (kilkuset studentów tej narodowości, których wojna zaskoczyła w Europie, od paru miesięcy starało się o powrót do ojczyzny), degaullistami, poznałem możliwości w tej dziedzinie. Mniej więcej raz w miesiącu odchodził z Marsylii statek do Beyrutu. Przewoził w obie strony zdemobilizowanych żołnierzy. Cywilni pasażerowie musieli otrzymać wizę wyjazdową od komisji armistycyjnej niemiecko-włoskiej. Statek o nazwie „Athos II" wypłynąć miał za tydzień. Z tych elementów decyzja wynikała sama przez się: należy jechać „Athosem", jako pasażerowie na gapę. Zadepeszowałem do Adolfa umówionym szyfrem, a sam rozpocząłem poszukiwania za kontaktami z marynarzami z „Athosa".

Gdy się przechodziło wieczorem przez Canebière (marsylska Marszałkowska), spotkać można było zawsze olbrzymiego wzrostu Murzyna. Trudnił się on sprzedażą kobiet i paszportów. Miał do dyspozycji paszporty abisyńskie, albańskie, panamskie. Miał do odstąpienia Murzynki, Mulatki, Syjamki. Kobiety były tańsze, paszporty droższe. To był jeden solidny kontakt. Niestety, zawiódł. Nie znał nikogo z „Athosa". Natomiast gotów był sprzedać Malajkę.

Trzeba było zatem ruszyć samemu na poszukiwania do Vieux Port. Stary Port była to urocza część Marsylii. Dawniej, przed laty, był to właściwy port handlowy. W r. 1940 stały tam już tylko uwiązane jachty sportowe i łodzie rybaków. Stare kamienice otaczały zatoczkę, u wylotu której, na pełnym morzu, wznosił się na skale zamek d'If, w którym ongiś był więziony przyszły król polski. Nad brzegiem zatoczki stały stragany przekupni sprzedających ostrygi, ociekające jeszcze wodą morską. W okresie ograniczeń żywnościowych dobrze robiło przed obiadem zjeść ich tuzin. Im dalej od morza, a bliżej wchodziło się w głąb kamienic, tym więcej w nocy widziało się czerwonych latarń. To zaczynała się dzielnica knajp i domów publicznych największego portu Francji. Policja unikała tu wstępu. To był świat rzezimieszków, królestwo mętów wielkiego portu. Tak, jak w więzieniach w kraju spotkały się dwa różne światy: zawodowych złodziei oraz oficerów, sędziów i księży, tak i marsylski Stary Port ujrzał po upadku Francji nową klasę przybyszów. Oficerów polskich, holenderskich, brytyjskich, belgijskich, spiskowców degaullowskich, agentów piątej kolumny sprzymierzonych. Wolna, nie chcąca uznać nowego hitlerowskiego „ładu" Europa — tu się schroniła.

Wkrótce wszedłem w kontakt z marynarzami z „Athosa". Niestety, nie wykazywali zainteresowania do przemytu ludzi. Robili znakomite interesa na przemycie walut, wykorzystując 50-procentową różnicę kursu dolara między Marsylią a Beyrutem. Przemyt ludzi był znacznie kłopotliwszym i znacznie bardziej niebezpiecznym interesem. Policja zaostrzyła kontrolę, w razie wpadki groziła nie tylko surowa kara, ale i utrata tak intratnego zajęcia. Szukałem nadal. Otrzymałem adresy właśnie dwu barów, gdzie miał przebywać niejaki „Charles", o którym już kilkakrotnie mi wspominano, że mógłby się podjąć przeprowadzenia tak ryzykownej tranzakcji. Właśnie nadjechał Adolf. On wziął na siebie rozpoznanie jednego baru, ja drugiego. W mym barze Charlesa nie było. Wróciłem zły na miejsce spotkania. Adolf nadszedł uradowany. Charlesa znalazł, okazał się skłonny do przemycenia nas do Beyrutu.

Udaliśmy się na ostateczną konferencję. Charles siedział za stołem szynku i popijał aperitifa. Był to silnie zbudowany, ciemny brunet. Wyraz twarzy miał energiczny, oczy sprytne, przebiegłe. Z zachowania jego bił autorytet, dlatego też zapewne właściciel baru podał nam aperitify z wyjątkową usłużnością. Widocznie miał w swoim fachu równorzędne stanowisko z pułkownikiem i dyrektorem. Obserwowałem go uważnie. Musiałem znaleźć odpowiedź na dwa pytania. Pierwsze, czy nie zamierza nas po prostu okraść, a potem wystrychnąć na dudków, w ostatniej chwili, już na statku, oddać policji, lub wrzucić do morza — i takie wypadki były znane w kronikach niepisanych nielegalnej ewakuacji. Zerwawszy stosunki ze światem praworządnym, postępując wbrew prawu, mając przeciw sobie policję i sądy, mieliśmy jako obronę tylko siłę własnych mięśni i umysłu. Po drugie, należało wiedzieć, czy nasz partner jest na tyle rozsądny i energiczny, aby wykonać zadanie, którego się podejmuje.

— Ty lepiej wyglądasz od swego przyjaciela.

Gdy nie rozumiałem co ma na myśli, wyjaśnił:

— On wygląda na Anglika. Ty jesteś czarny i możesz ujść za Francuza. On może łatwiej podpaść, gdy będzie robił z siebie marynarza.

Przystąpiliśmy do omawiania szczegółów interesu. Zaczęliśmy od ceny. Charles zażądał 7 tysięcy franków od głowy (odpowiadało to około 70 dolarom). Wyraziliśmy zgodę na tę kwotę, stawiając natomiast warunki odnośnie terminów jej uiszczenia. I tak zaproponowaliśmy, że pół jej zapłacimy w godzinę po wyruszeniu statku z portu, a drugą połowę po opuszczeniu statku i portu, znalazłszy się w mieście Beyrucie. Wyjaśniliśmy, że jesteśmy oficerami, że posiadamy potrzebne pieniądze, że możemy je okazać przed wejściem na statek, że nie zamierzamy go nabrać, ale że musimy być ostrożni specjalnie, jeśli idzie o pieniądze, gdyż przedstawiają one dla nas ostatnią możliwość opuszczenia Francji, że niestety wielu naszych kolegów, którzy zaufali marynarzom, dostało się do więzienia, a co gorsza, stracili swą gotówkę. Dodałem, że jeśli wierzy w możliwość dostawienia nas do Beyrutu, to kwestia terminu zapłaty nie powinna dlań odgrywać roli. Charles się skrzywił, ale wyraził zgodę.

Do odpłynięcia statku było jeszcze kilka dni czasu. Teraz, gdy wszystko do wyjazdu mieliśmy już załatwione — wyjazdy zagraniczne na zielono mają tę dobrą stronę, że nie wymagają formalności paszportowych, wizowych, dewizowych — obawialiśmy się tylko jednego. Aby w ostatniej chwili nie wpaść w ręce policji francuskiej, władze bezpieczeństwa bowiem nieustannie urządzały łapanki, wzorem niemieckim. Nagle, w biały dzień zamykały ulice i przeglądały dokumenty wszystkich obecnych, aresztując cudzoziemców, nie mających kart pobytu w porządku. Myśmy do nich należeli, ponieważ wyznaczonym nam miejscem pobytu był obóz internowanych. Przy naszej znajomości języka francuskiego, tępocie urzędniczej i sprzyjaniu nam pewnego procentu administracji po tygodniu w najgorszym razie wychodziło się na wolność, ale w tym wypadku mogło to oznaczać utratę statku. A tu, jak na złość obwieszczono uroczyste odwiedziny Marsylii przez marszałka Pétaina. Zaraz przewidziałem co to oznacza: zaostrzenie kontroli, nocne łapanki po hotelach. Mieszkaliśmy z Adolfem w małym hoteliku w śródmieściu. Punkt był wyjątkowo niebezpieczny. Wobec tego wsiedliśmy w tramwaj jadący brzegiem morza, bulwarem, tak zwaną „corniche", aż za miasto. Tam wybraliśmy najdalej położony hotel, starą ruderę, zamieszkałą przez stałych rezydentów, uciekinierów z Alzacji i wynajęliśmy pokój. Ostrożność ta okazała się usprawiedliwioną. Dwa dni później zwróciły naszą uwagę dwa duże statki zakotwiczone w zatoce zdala od portu. Co się okazało? Osadzono na nich kilka tysięcy zaaresztowanych z okazji przyjazdu marszałka Pétaina. Tak czasem uroczyste przyjazdy głów państw odbijają się na losach pewnej części ludności.

Prowadziliśmy zatem spokojny tryb życia, czytając całymi dniami książki. Cieszyliśmy

się myślą, że jeśli dobrze pójdzie, to niezadługo zerwiemy z naszym obecnym życiem w stałej niezgodzie z prawem. Zaczynaliśmy już mieć dość ciągłej ucieczki przed policją, stałej perspektywy więzienia, stosunków z opryszkami spod najciemniejszej gwiazdy, których wymagała niestety nasza działalność nielegalnej ewakuacji. Do miasta udawaliśmy się rzadko, niemal wyłącznie dla spotkań z Charlesem. Unikalimy masowych pożegnań. Dotychczas bowiem ci, którzy się najgłośniej żegnali, po pewnym czasie ukazywali się znów na bruku marsylskim, straciwszy nieco czasu w kryminale, co więcej pieniądze, i narażając się oczywiście na kpiny kolegów. Mimo wszystko bowiem sytuację brało się zwykle od wesołej strony, i nasze rozgrywki z policją francuską, hiszpańską, orańską i algierską uważaliśmy za pewnego rodzaju zawody sportowe.

Wreszcie, któregoś dnia Charles powiedział: „Dziś wieczorem". I dodał:

— Na głowach macie mieć czapki lub berety. Tylko nie kapelusze. No, i żadnych rzeczy, żadnej teczki, żadnej walizki, żadnego pakunku. Będziecie grać marynarzy, wracających z miasta na statek po fajrancie. Dostaniecie legitymacje, które okażecie przy wejściu przez bramę do portu i na statek.

Wyznaczył nam spotkanie w szynku opodal bramy wejściowej do portu o godzinie siódmej wieczorem.

Charles i Adolf zjawili się tam pierwsi. Jacyś marynarze przysiedli się do stolika. Charles poszeptał z nimi, odszedł, potem wyszedł z knajpy, wrócił i ze smutną miną powiedział:

— Dziś nic się nie da zrobić.

— Dlaczego?

— Byłem pod bramą. Dyżur jest dziś niedobry. Policjanci dokładnie sprawdzają fotografie na legitymacjach. Nikt z naszych chłopców nie chce ryzykować i pożyczyć swą legitymację. Trzeba odłożyć całą sprawę do jutra.

— A kiedy statek odjeżdża?

— Jutro w południe.

Nie potrzebowaliśmy się naradzać z Adolfem. Jasne było, że marynarze mają pietra, a jutro, w biały dzień, mieć będą jeszcze większego. O ile dziś w nocy nie dostaniemy się na statek, to cała nasza wyprawa weźmie w łeb. Trzeba było przejąć w swoje ręce inicjatywę.

— No dobrze, ale jeśli dostaniemy się do portu o własnych siłach, to pomożecie nam dostać się na statek?

— Owszem. Ale jak wejdziecie za bramę?

— To już nasza rzecz, coś wymyślimy. Ale jak ciebie potem spotkamy?

— Będę czekał sto kroków za bramą. W ciemnościach policja nas tam z bramy nie dojrzy.

Uregulowaliśmy rachunek i wyszliśmy na ulicę. Przeszliśmy obok bramy, zerknąwszy z ukosa na policjantów. Wcale nie wyglądali groźnie, to tylko marynarzy w ostatniej chwili obleciał strach. Minęliśmy bramę od ulicy. Sztachety były wysokie na cztery metry. Nie najłatwiejsze do przejścia. Co gorsza, nie było zupełnie ciemno, co kilkadziesiąt metrów oświetlały ulicę latarnie. Również ruch samochodów był dość duży. Adolf chciał ryzykować przeprawę. Byłem przeciwnego zdania. Lepiej się nie śpieszyć. Mamy czas. Po przejściu pół kilometra zbliżyliśmy się do następnej bramy. Przystanęliśmy i ukryci w cieniu zaczęliśmy obserwować co się w niej dzieje. Stało tam kilku ludzi w mundurach, zapewne policjanci i celnicy. Po paru minutach posłyszeliśmy miarowy tupot nóg po chodniku. Nadchodziło dwu ludzi. Skręcili w bramę. Z grupy policjantów padło zapytanie: „Ou ça?". „Athos" burknęli przechodzący nie zatrzymując się. Przeszli. Spojrzeliśmy na siebie. Kontrola tu nie była groźna. Potrzeba tylko trochę śmiałości i szczęścia. Adolf mnie trącił: „Idziemy!" Coś mnie ścisnęło w dołku, coś jakby ugięło kolana, przeleciała mi przez głowę historia kapitana, którego skutego prowadziła policja z portu. Nieprzyjemnie byłoby po tylu wysiłkach wpaść w ostatniej chwili. Ale nie ma rady, trzeba wyprawę postawić na jedną kartę. Poszliśmy. Zaczęliśmy iść szybko, jak spóźnieni przepustkarze. Weszliśmy w bramę. Szliśmy jej środkiem, by nie być zbyt blisko policjantów. Gdy mijaliśmy ich, padło od nich pytanie: „Ou ça?" Huknęliśmy razem: „Athos!" i poszliśmy dalej. Skóra na mnie cierpła przez trzy następne sekundy: „zawrócą nas, czy nie zawrócą?" Posłyszeliśmy, jak jeden głos tonem pytającym powiedział „Athos?", na co drugi odpowiedział „Oui, Athos deux", a trzeci dodał „Oui, c'est cela" i więcej się nami nie zajęli. Odetchnęliśmy. Wydało się nam, że już jedną nogą jesteśmy w Syrii.

Po kwadransie chodzenia po ciemnym placu portowym miny nam zrzedły. Charlesa nie było. Zapadł się, jak kamień w wodę. Próżno chodziliśmy tam i nazad w odległości stu kroków od pierwszej bramy, w umówionym miejscu. Nasza obecność mogła się wydać podejrzana przechodzącym tędy. Mijał jeden kwadrans za drugim, a Charlesa ani śladu. Minęło już półtorej godziny. „Może się urżnął w knajpie, i może spędza ostatnią noc na mieście, nie wróci przed ranem?", snuliśmy przypuszczenia. Może pomylił się, zapomniał, może czeka przed statkiem? Postanowiliśmy odszukać „Athosa" i przed nim czekać na Charlesa, to nam da jedynie gwarancję, że się z nim nie rozminiemy, gdy wróci z miasta. Poszliśmy w stronę morza. Zagadnęliśmy marynarzy Indochińczyków, malutkiego wzrostu, wyglądających niegroźnie. Ci nam wyjaśnili, gdzie jest przycumowany „Athos". Niezadługo dostrzegliśmy go. Był na wpół oświecony. Wyglądał wspaniale. Po prostu olbrzym Był ze dwa razy większy od „Batorego". Musiał mieć ze 30 tysięcy ton. Z wnętrza statku dolatywał charakterystyczny warkot motoru — to elektrownia i chłodnie pracują. Z mola na pokład prowadził mostek. Na dole nikogo przy nim nie było. Na pokładzie jednak, wysoko, słychać było rozmowę. Może tam był wartownik. Obok statku stały jakieś skrzynie, wory. Pewnie jutro je załadują. Od strony lądu zaświeciły w ciemności przyćmione reflektory wozu. Stanęliśmy za jakimś węgłem. Wóz nadjechał, zatrzymał się koło mostku. Taksówka. W środku mężczyzna, kobieta, bagaże. Ze statku zeszło dwu marynarzy, wzięło rzeczy. Mężczyzna zapłacił taksówkę, wszyscy poszli na górę, weszli na pokład. Pasażerowie. Szczęśliwi posiadacze paszportów i wiz. Zapewne wchodzą już do kabiny pierwszej klasy. Wiem, jak to wygląda, do Norwegii i z Norwegii jakże niedawno jechało się taką kabiną. Biała pościel, puszyste materace, lustrzana łazienka, uśmiechnięty steward proponuje, czy nie przynieść czegoś do picia. A my tu w jednym ubraniu, głodni, spragnieni, z perspektywą spędzenia grudniowej nocy nad chłodnym morzem, obawiając się każdego przechodnia, drżąc na widok policjanta, niepewni jutra. Zazdrość odezwała się we mnie w stosunku do tego Bogu ducha winnego pasażera.

Co robić? Trzeba będzie czekać koło statku do rana. Nie warto stać we dwójkę. Będziemy pełnić służbę na zmianę, jeden zaś będzie spał, ułoży się między workami, przykryje brezentem. Tymczasem ktoś nadchodzi od lądu. Marynarz. Podchodzi do mostku, ale nie wchodzi na statek. Przechadza się po molu. Obserwuje nas. My jego. Adolf jest zdania, że trzeba zaryzykować i zapytać, czy zna Charlesa, może pomoże nam go odnaleźć. Podchodzi do niego. Nieznajomy rozgląda się niespokojnie na wszystkie strony i mówi:

— Tak, to ja jestem, przyszedłem po was. Leon kazał mi was wprowadzić na statek. Zaraz pójdziemy. Tam będzie wartownik, tak wartownik. Powie wam „salut". Odpowiecie „salut". I pójdziecie za mną. Nic więcej.

Nieznajomy mówi szybko, jąka się, jest zdenerwowany lub nerwowy od urodzenia. Mówi coś o jakimś Leonie. Ale nie szkodzi, może się przesłyszałem. Grunt, że wprowadzi nas na statek. Pierwszy mostkiem idzie na górę. My za nim. Wchodzimy na pokład. Na krzesełku u wejścia siedzi wartownik ubrany w kożuch. Nasz towarzysz wita go słowem „salut" i przechodzi. My powtarzamy „salut" i mijamy go również. Wartownik jest zaspany i odpowiada ziewnięciem. Wchodzimy do wnętrza statku. Idziemy długim korytarzem. Schodzimy westibulem w dół. Migają nam się drzwi do salonu, w nim luksusowe, miękkie fotele. Tym razem nie będą dla nas. Schodzimy coraz niżej. Zeszliśmy już z sześć pokładów. Idziemy szybko wąskimi, brudnymi korytarzykami. Jest gorąco i zaduch, nie tak, jak na górze, gdzie było chłodno, dokąd dochodziło świeże, morskie powietrze. Parę zakrętów i nasz towarzysz otwiera jakieś drzwi. Jesteśmy w kabinie. W kabinie marynarskiej. Jest ciasno, są trzy brudne prycze. W ogóle cała kabina jest brudna. Jest duszno. Ale grunt, że jesteśmy na statku. Siadam na pryczy i myślę z radością, że jednak dostaliśmy się na ten statek. Jesteśmy spragnieni, pytam czy nie można dostać wody. Nasz towarzysz wychodzi i wkrótce wraca z karafką wina. Hurra! I pyta, czy nie jesteśmy głodni. Oczywiście jesteśmy. Po chwili wraca z półmiskiem, na którym jest zimne mięso i rozmaite sałaty. Zajadamy z apetytem. Stwierdzamy z radością, że kuchnia na statku jest znacznie lepsza, aniżeli w hoteliku marsylskim. Po czym nieznajomy mówi:

— Teraz możecie się kłaść spać. Na tych pryczach. Leon powiedział, że możecie tu spać. Sam wróci później.

Któż to jest do diaska ten Leon, i czy będzie zadowolony, gdy znajdzie nas w swej kabinie? Ale grunt się przespać, gdy można, zwłaszcza po wypiciu karafki wina. Gotówka jest zaszyta w bieliźnie, mogę spać spokojnie, nieznajomy nas nie okradnie, chyba z tych 1000 franków, które mam w portfelu. Prześcieradła i poduszka są szare od brudu. Na szczęście na sobie, pod ubraniem mamy piżamy, z tymi nie chcieliśmy się rozstawać. Będzie można się rozebrać. Po chwili już na pryczy. Zamykam oczy. Słyszę miarowy huk maszyn. Powoli zapominam, gdzie jestem. Wydaje mi się, że nie ma wojny, że leżę w kabinie luksusowego transatlantyku, że jutro w promiennym słońcu będziemy leżakować na pokładzie. Wino robi swoje. Maszyny coraz ciszej huczą. Zasypiam.

*

Z rana ktoś mnie brutalnie zbudził, ciągnąc za ramię. Nade mną stał Charles i wczorajszy nieznajomy. To po prostu Charles był tym Leonem. Widocznie używa dwu różnych imion. Kazał nam się szybko ubierać. Spojrzałem na zegarek, była szósta.

— Jean — wskazał na naszego wczorajszego opiekuna — zaprowadzi was do maszynowni. Tam przeleżycie ukryci aż do wypłynięcia z portu. Dziś niebezpieczny dzień. Komisja niemiecko-włoska będzie rewidować statek.

Wąskimi, brudnymi korytarzami szliśmy szybkim krokiem za Jeanem. Warkot motoru stawał się coraz głośniejszy. Żelazną drabinką zeszliśmy w dół. Znaleźliśmy się przy ogromnych cielskach maszyn. Wielotonowe stalowe potwory miarowym rytmem poruszały jakieś ogromne koła, pasy, transmisje, dźwignie. Huk wydawały potężny. To było serce wielkiego statku. Jean prowadził nas wzdłuż maszyn. Kilku czarnych ludzi w brudnych fartuchach kręciło się z oliwiarkami w rękach. Nie zwrócili na nas uwagi. Jean czuł się tu pewnie, jak u siebie w domu. W pewnej chwili skręcił w bok. Zatrzymał się. W miejscu tym od ściany oddzielała nas żelazna balustrada, za nią kończyła się podłoga, między jej końcem a ścianą była półmetrowa szczelina. Jean przekroczył balustradę, zagłębił się w szczelinie, znikł pod podłogą. Poszliśmy jego śladem. Okazało się, że jakieś pół metra pod żelazną podłogą maszynowni znajduje się druga, właściwa. Przestrzeń między nimi nie była pusta. W ciemności dostrzegaliśmy jakieś rury, biegnące wzdłuż i wszerz, cały labirynt rur, rozciągający się widocznie pod całą ogromną maszynownią. Oczywiście, było to znakomite miejsce dla ukrycia się.

— Podpełznijcie stąd jakieś 10 kroków — tu wskazał nam Jean kierunek ręką. Leżcie cicho, nie odzywajcie się, gdyby ktoś wołał. Wieczorem przyniosę wam coś do jedzenia.

Zaczęliśmy się czołgać we wskazanym kierunku.

Po sześciomiesięcznych ograniczeniach żywnościowych i wycieczkach górskich, byliśmy na szczęście odpowiednio chudzi, by przeczołgać się przez te wąskie szczeliny. Z radością myślałem, że dobrze odżywiony Niemiec z komisji armistycyjnej nie będzie mógł przejść naszym śladem. Zresztą brud by go odstraszył. Podłoga była lepka, pokryta jakąś cuchnącą mazią. Na szczęście przewidujący Charles dał nam rano kombinezony monterskie.

Wreszcie dobrnęliśmy do miejsca oddzielonego rurami ze wszystkich stron, i tam założyliśmy legowisko. Powoli przywykliśmy rozróżniać kanty rur i podłogi. Poza tym nic nie było widać. Również niczego nie było słychać prócz huku motorów nad nami. Dzięki temu nie mogliśmy urozmaicić sobie czasu rozmową. Zapachy były obrzydliwe. Doszedłem do smutnego wniosku, że ustęp mechaników znajduje się w najbliższym sąsiedztwie. Mokra podłoga była zimna, natomiast od góry biło powietrze duszne, gorące. Po kilkunastu godzinach członki nam zesztywniały od bezruchu. Czułem dotkliwy głód. Już około dwudziestu godzin nie jadłem i nie piłem. Niecierpliwie spoglądałem na zegarek. Nafosforowane wskazówki posuwały się naprzód w przeraźliwie wolnym tempie. Nuda siedzenia tyle godzin w ciemności, smrodzie, wilgoci, na głodno i w niewygodnej pozycji była okropna. Jedynym sposobem podniesienia siebie na duchu było zdanie sobie sprawy, że już za parę godzin statek wypłynie na pełne morze, że wieźć mię będzie spod okupacji niemieckiej do wolności, że wszyscy moi koledzy przebywający w Marsylii lub w obozach internowanych, z jakąż radością zmieniliby się ze mną, chętnie siedzieliby w tych ciemnościach, smrodzie, wilgoci, zaduchu. Od czasu do czasu wsłuchiwałem się w huk motorów, mając złudzenie, że śruby okrętowe zostały puszczone w ruch. Stukałem wtedy w bok Adolfa.

Minął wieczór, minęła północ, a ani Leon ani jego adiutant się nie pokazali. Głód, smród, ciemność i huk wreszcie nas uśpiły. Obudziło nas stukanie w rury i wołanie. Był to Jean. Dochodziła godzina piąta rano. Dał nam znak do wyczołgania się. Po chwili szliśmy za nim szybkim krokiem wzdłuż maszyn, potem drapaliśmy się drabinką żelazną, potem szliśmy znów korytarzem, aż zniknęliśmy w kabinie, z której wyszliśmy wczoraj rano. Jean był w dobrym humorze. Zapytał:

— No, jak się czujecie?

— Fatalnie. Ale gdzie jest statek?

— Wypłynęliśmy o północy, rano będziemy na wysokości Korsyki.

Ta wiadomość podniosła nas na duchu. Wobec czego oświadczyłem Jeanowi, że muszę się zaraz wykąpać. Nie umyć w misce wody, ale wykąpać, cały od stóp do głów. Jean poprowadził nas bocznym korytarzem do pokoju z prysznicami. W gorącej wodzie kąpiel była rozkoszna. Potem dobry Jean przyniósł nam śniadanie, jakiegośmy dawno nie jedli: kawę z mlekiem i cukrem, chleb, gorące danie mięsne, pomarańcze. Marynarze widocznie w bród mieli wszystkiego.

Przez otwarte okno kabiny wchodziły pierwsze promienie rannego słońca. Był dzień 5-go grudnia. Wypadało zapamiętać tę historyczną datę. Świeże morskie powietrze wdychaliśmy pełną piersią. Oceniało się ozon Śródziemnego morza po 24 godzinach spędzonych pod podłogą maszynowni.

*

Nadszedł Leon i wydał następujące dyspozycje. Adolf zostanie w kabinie i będzie spał na jednej z prycz. Ja przejdę do sąsiedniej kabiny. Mam cały czas aż do Beyrutu leżeć w łóżku. W kabinie bowiem mieszka 12 marynarzy i należy być ostrożnym. Na posiłki tylko będą mnie wyprowadzać do Adolfa. Adiutant Jean zaprowadził mnie z zachowaniem ostrożności, przypominających film detektywistyczny, do tej kabiny i ulokował na piętrowym łóżku, szczelnie przysłaniając firanką łóżko. Zaraz stwierdziłem, że Adolf będzie w czasie tej podróży grubo wygrany. Na sąsiednich łóżkach dzień i noc bez przerwy spało co najmniej czterech marynarzy, odpoczywając po służbie i wydając raczej niemiłe zapachy i odgłosy. Okienka kabiny z zasady się nie otwierało całą drogę.

W tych warunkach ośmiodniowa podróż do Beyrutu nie przypominała przedwojennych wycieczek statkami Galu „do fiordów Norwegii" lub „po słońce południa". Spędzanie dwudziestu trzech godzin w łóżku i w zaduchu było przeraźliwie nudne. Zdołaliśmy wziąć na drogę zaledwie dwie czy trzy książki, między innymi życiorys Byrona, mając nadzieję, że i my dobrniemy na front grecki jego śladem. Próżno przeciągałem, jak mogłem, posiłki w kabinie Adolfa. Jean był nieubłagany, skracał ich czas do minimum, ze strachu przed wszechpotężnym Leonem. Doszliśmy do wniosku, że Leon jest bardzo rozsądnym przedsiębiorcą. On kierował cały czas naszym losem, ale sam się nie narażał. Np. spał w swoim własnym łóżku, a dla nas wynajął łóżka u swych dwu kamratów. Leon sam nigdy nie przynosił nam posiłków.

Z rozmów z marynarzami mieszkającymi z Adolfem dowiedzieliśmy się, że niemal wszyscy marynarze są Korsykaninami, że nienawidzą Włochów, że oficerowie ich się obawiają i dlatego wolą nie schodzić do kabin marynarskich na kontrolę, i dlatego możemy się tu czuć względnie bezpiecznie. Jasnym było, że wszyscy ci marynarze stanowią jedną solidarną korsykańską bandę, i że Leon zajmuje w niej mocną pozycję. Byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy się pod opieką tak poważnej w tym świecie osobistości.

Drugiego dnia podróży, około południa, przepływaliśmy cieśninę Messyńską. Przez okno kabiny widać było brzeg Sycylii o parę kilometrów od nas. Ogromne, pokryte zielonym lasem góry skąpane w promiennym południowym słońcu, jakiż stanowiły kontrast z ciemną, mglistą o tej porze roku Marsylią. Nie spodziewaliśmy się wówczas, że przez te zielone góry Sycylii pójdzie kilka lat później ofensywa armii sprzymierzonych z Egiptu, do której właśnie byliśmy w trakcie dołączania.

10-go grudnia przyszedł Leon i obwieścił radosną wiadomość. Armia brytyjska odniosła wielkie zwycięstwo nad Włochami pod Sidi Barani, wzięła 10 tysięcy jeńców, w tym kilku generałów. Nie chcieliśmy wierzyć. Takimi bujdami karmili nas rozmaici Umiastowscy od początku tej wojny. Czy możliwe, aby fala powodzeń miała się odwracać? Czy Graziani uderzył i poniósł klęskę? Nie uważaliśmy bowiem za możliwe, aby Brytyjczycy sami zaatakowali armię Grazianiego, która była przecież znacznie silniejsza. Jednak na drugi dzień radio potwierdziło tę wiadomość, liczba jeńców miała już dojść do 20-tu tysięcy. Wiadomości z frontu greckiego były również wyjątkowo pomyślne. Dzielni Grecy tłukli Włochów co się zowie, nie tylko nie cofali się ale wkraczali już do Albanii. Korsykanie byli zachwyceni. My zaczęliśmy się obawiać, czy te zwycięstwa brytyjskie nie idą za szybko i czy nie przyjedziemy na Średni Wschód za późno. Pocieszaliśmy się myślą, że jeśli Włosi poniosą klęskę w Afryce i Grecji to przyjdą im w pomoc Niemcy i wojna dopiero wtedy rozpocznie się na dobre.

Gdy zbliżaliśmy się do Syrii, Jean zaraportował, że samolot brytyjski przeleciał nad statkiem, sprawdził kto płynie i odleciał. Może nam sprowadzi jakiś okręt wojenny brytyjski, na który można by się przesiąść i w ten sposób kontynuować dalszą podróż. Ostatecznie Syria była również pod władzą komisyj armistycyjnych.

W nocy z 11-go na 12-ty grudnia „Athos" przypłynął do Beyrutu. Rano zbudziwszy się, nie słyszałem już charakterystycznego hurkotu śrub. Czekałem z niecierpliwością nadejścia Jeana i jego normalnych tajemniczych gestów, pokazujących że droga do kabiny Adolfa jest wolna. Adolf stał przy oknie. I ja zaraz znalazłem się przy nim. Przed nami roztaczał się wspaniały widok. Staliśmy na redzie, u wejścia do portu. Wokół za to rozciągało się wielkie miasto. Nad tym miastem majestatycznie wznosiły się ogromne góry, pokryte zielonym lasem. Szczyty gór pokryte były białym śniegiem, lśniącym w promieniach słońca. Koloryt widoku był przepiękny. Granat morza przeplatał się z bielą domów, ciemną zielenią palm, pinii i cyprysów, bielą śniegu i błękitem południowego nieba! Kraj uromantyczniony powieściami Lotiego, kraj „kasztelanki Libanu", cedrów Dawida, przedstawił się nam z najbardziej reprezentacyjnej strony.

Staliśmy przy molu dobre parę godzin, gdy wszedł do kabiny Leon. Zadowolony oświadczył, że jesteśmy w Beyrucie i poprosił o ostatnią ratę ceny przejazdu. Wyraziłem zdziwienie, że się o nią upomina teraz, skoro zgodził się w Marsylii, że zapłacimy mu ją dopiero znalazłszy się w mieście. Nie nalegał. Powiedział, że wyjdziemy na ląd wieczorem, gdy marynarze otrzymają wychodne. Czekaliśmy niecierpliwie do wieczora. Jean przyniósł nam kolację i z tajemniczą miną powiedział, że jest niedobrze, że statek obsadziła policja. Potem przyszedł Leon i ze smutkiem oświadczył, że dziś nie da się opuścić statku.

— Przy wyjściu ze statku dyżuruje nie tyl-

ko okrętowy wartownik ale i policjant syryjski. Odbiera wychodzącym marynarzom legitymację a na jej miejsce daje specjalne zaświadczenie, po czym po powrocie na statek znów je zamienia. W ten sposób nie mogę was wyprawić do miasta tak jak zamierzałem, tzn. pożyczyć wam legitymacje marynarskie, które byście tylko pokazali posterunkowi.

— Co zatem, Leonie, zrobisz z nami?

— Coś wymyślę, bądźcie spokojni. W każdym razie musicie przenocować na statku do jutra.

W bardzo złych humorach położyliśmy się spać. Na drugi dzień wstaliśmy nie w lepszych. Nie cieszyło nas już śniadanie. Nie cieszył przepiękny widok, jaki roztaczał się przez okno. Dość mieliśmy patrzenia się tylko na ten piękny kraj. Chcieliśmy jak najszybciej w nim się znaleźć. Marynarze wracali z miasta w doskonałych humorach i z dużymi zakupami. Powtarzali z zachwytem: „C'est le Pérou" i wyładowywali coraz to nowe toboły tłuszczów, oliwy, daktyli, które wieźć zamierzali na sprzedaż lub podarunki świąteczne do Francji. Złość mnie brała. Taki marynarz chodzi sobie tam i nazad a my tylko dwaj nie możemy się dostać do tego obiecanego kraju. Adolf zaczynał się niepokoić. Wreszcie około południa nadszedł Leon ponury jak noc.

— No, kiedy wychodzimy? — spytaliśmy zgodnym dwugłosem.

— Nie wiem nic — odpowiedział. — Jest bardzo niedobrze. Policja bez ustanku pilnuje. Nic nie popuściła.

— No dobrze, Leonie, to co z nami będzie?

— Chyba trzeba będzie, abyście wracali do Marsylii — odpowiedział nieśmiałym tonem. — Ostatecznie rezygnuję z ostatniej raty, którą mi jesteście winni, żebyście nie byli zanadto stratni.

Tego było nam za dużo. Na wspomnienie perspektywy powrotu do Marsylii wściekłość nas ogarnęła. Wszędzie tylko nie do Marsylii! Marynarze bali się wpadki i chcieli nas pokrzywdzić. Poczucie słuszności naszego żądania było tak mocne, że zapomnieliśmy o nożach tych rzezimieszków korsykańskich. Wsiedliśmy na Leona z góry.

— Nie bracie, do Marsylii na pewno nie wrócimy. Wolimy dać się zaaresztować policji na statku tutaj, niech nas odstawi do Beyrutu. Daliśmy ci już pół naszego majątku. Wiesz, że z resztą jaką mamy, z Marsylii nie wyjedziemy. Policja nie taka straszna jak ci się wydaje. W porcie marsylskim daliśmy sobie bez was radę. Jak dalej będziecie trzęśli przed nią portkami, to i teraz bez waszej pomocy znajdziemy drogę wyjścia na ląd!

Jean stał jak zamieniony w słup soli. Nikt zapewne w jego obecności tak nie przemawiał do jego herszta.

— Wyskoczymy przez okno do morza, wyjdziemy na pokład, oddamy się w ręce policjanta, ale do Marsylii nie wrócimy, rozumiecie!? — grzmieliśmy jeden przez drugiego. Dotychczas zawsze rozmawialiśmy z marynarzami bardzo uprzejmie. Brali to widocznie za słabość. Teraz byli wyraźnie zaskoczeni tą żywiołową reakcją. Leon próbował się wycofywać. „Nic nie jest stracone jeszcze, mówił, spróbujemy was wyładować. Coś się powinno wymyśleć, coś się może zmienić". „Kiedy statek odpływa z Beyrutu?" — zapytaliśmy. „Najwcześniej jutro". „No dobrze, czekamy najpóźniej do jutra rana. Jeśli nam nie pomożesz się wydostać, to uprzedzam, że sami wyskoczymy przez to okno".

Leon wyszedł a sami z Adolfem zaczęliśmy analizować możliwości opuszczenia statku w wypadku, gdyby Korsykanie zawiedli. Przez okienko dałoby się przejść. Niedaleko od okna liny opuszczały się z pokładu do morza. Poprosimy Korsykanów, by poszli na pokład i przesunęli liny w stronę okna. Lepiej spuścić się po linie do wody aniżeli skakać. Teraz zasadnicze pytanie: wziąć ze sobą ubranie czy zostawić je Korsykanom, by suche odnieśli w umówione miejsce na lądzie. Pamiętając niepunktualność marynarzy w porcie marsylskim, obawiałem się perspektywy oczekiwania potem godzinami nago na syryjskim brzegu, toteż postanowiłem, że będę skakać do wody z ubraniem zrolowanym i przyczepionym do ciała. Niestety woda będzie chłodna. Adolf się pocieszał dowodząc, że dojście wpław do syryjskiego lądu w noc księżycową będzie znacznie romantyczniejsze aniżeli zejście ze statku za fałszywymi papierami. „Mielibyśmy chociaż potem co opowiadać Tereni".

Przed wieczorem Jean wszedł do pokoju z bardziej niż zwykle tajemniczą miną i oświadczył, że coś się robi. Ale nie chciał powiedzieć co. „Leon działa", powtarzał tylko. Gdyśmy wzięli się do kolacji, wszedł Leon. „Jedzcie szybko, powiedział i bądźcie gotowi do wyjścia". W mig nałożyliśmy piżamy pod ubrania. Niestety książki, budzik, z którym odbyłem kampanię norweską, skórzaną manierkę z Pirenejów, przybory toaletowe i inne drobiazgi, któreśmy z Marsylii wywieźli w kieszeniach, teraz trzeba było zostawić. „Celnicy macają po kieszeniach za pistoletami i wasze graty wydałyby się podejrzane". Nałożyliśmy płaszcze, czapki. Leon wyjął z kieszeni kartki. Były to tymczasowe legitymacje marynarzy innego statku, którzy na „Athosie" mieli wracać do Francji. Jean nadbiegł, szepcąc: „Już". Wyszliśmy z kabiny. Leon tylko pozostał. Na korytarzu stało z piętnastu marynarzy, mieszkańców sąsiednich kabin. Wmieszaliśmy się w ich grupę i razem z nimi podążyliśmy korytarzem, potem schodami na górę. Po chwili byliśmy już w westibulu statku. Tu znajdowało się wyjście, przy nim siedziało za stolikiem dwu policjantów. Rzuciłem okiem na westibul. W fotelu siedział jakiś pan w szarym ubraniu, wyglądający na urzędnika i bystrym wzrokiem zmierzał przechodzących. Miałem na sobie już badawcze oczy gestapowców. Wiem, że najlepiej jest nie patrzyć wtedy w te oczy, ale przejść obojętnie udając, że się ich nie dostrzega. Koło stolika policjantów powstał nagle sztuczny tłok. Kilku wychodzących naraz podało swe legitymacje. Jednocześnie z dołu weszli na statek inni marynarze. Paru marynarzy okazało już legitymację, otrzymało zaświadczenia i schodziło na dół. W przejściu powstało zamieszanie. Szturchnąłem Adolfa i szepnąłem wskazując na schodzących w dół: „Idź z nimi". Sam się zakręciłem koło stolika, powiedziałem policjantowi, pokazując legitymację: „Mam już kartę" i wyszedłem z innymi, co właśnie załatwili formalności. Na dole stali celnicy, ale nie rewidowali. Kilkanaście kroków od mostku czekała grupa naszych marynarzy, między nimi Adolf. Po chwili dołączyła reszta marynarzy, z Jeanem na czele. Jean przestał na chwilę bać się, i uśmiechał się od ucha do ucha. Tylko Leona nie było, oczywiście i tym razem sam się nie narażał. Poszliśmy molem. Miałem ochotę biec przed siebie, aby się znaleźć jak najdalej od okrętu, byle wyjść jak najszybciej z portu. Po paru minutach byliśmy koło bramy portu. Tu też stała policja i celnicy, ale nie zatrzymywali nas. Zapewne, ponieważ nie mieliśmy bagaży.

Za bramą zaczął się inny świat. Małą, wąską uliczką zaczęliśmy piąć się w górę. Na ulicy były rozłożone stragany z owocami. Całe stosy pomarańcz, cytryn, daktyli, jarzyn, bananów. Przez szeroko otwarte drzwi jasno oświetlonej kawiarni widać było tłumy ludzi w egzotycznych strojach arabskich, pijących kawę. Na progu Arab siedział w kucki i palił dziwną fajkę, której cybuch zanurzony był w naczyniu z wodą. Przypomniał mi się Konstantynopol, do którego zajechaliśmy z Adolfem kiedyś przed wojną. Z kawiarni dolatywały monotonne, skrzeczące dźwięki muzyki wschodniej. Mimo wieczoru ulica bejruckiego przedmieścia żyła. Tu już byliśmy zdala od Europy. Tu każdym szczegółem przemawiała do nas Azja. Zaraz obstąpiła nas gromada obdartych wyrostków i bachorów wołających jeden przez drugiego: „Bakczysz, bakczysz!" Korsykańczycy odpędzali ich kopniakami rozdawanymi obficie i ze śmiechem. Adolf wyjął z kieszeni portmonetkę, i poważnie, jakby znajdował się na ulicy Floriańskiej w Krakowie, zaczął rozdawać tej czeredzie jałmużnę. Tłum koło nas powstał od razu nieprawdopodobny. Korsykanie z trudem pięściami utorowali nam drogę. Jean był wściekły. „Co on robi, przecież każdy pozna zaraz, że to nie jest marynarz". Wyszliśmy na dość duży plac, który, jak się potem dowiedziałem, stanowił centrum handlowe Beyrutu, nosząc szumną nazwę „Place des Canons".

Wraz z marynarzami weszliśmy do nowocześnie urządzonej, pełnej ruchu kawiarni. Zajęliśmy miejsca przy stoliku. Teraz nadeszła chwila pożegnania z Korsykanami i uiszczenia ostatniej raty za przewóz. Poszedłem do toalety, aby wypruć z bielizny zaszyte w niej tysiącfrankówki. Trwało to parę minut. Gdy wróciłem na salę, Leon już siedział przy stoliku i z radością mnie powitał. Adolf szepnął mi po polsku. „Był przekonany, że ty już zwiałeś i że wystawimy go na dudka". Leon odprawił był już marynarzy do sąsiedniego stolika. Widocznie wolał, aby jego podwładni nie znali ceny przejazdu. (Jak się nazajutrz dowiedzieliśmy, za udział w sztucznym tłoku zapłacił im po 20 fr.). Po czym do Leona odezwałem się mniej więcej tak:

— A więc Leonie chcieliśmy ci podziękować za udzieloną nam pomoc, tak dla nas jak dla wspólnej sprawy wygrania wojny z twymi wrogami Włochami i naszymi wrogami Niemcami. Pieniądze zaraz ci wręczę. Przedtem jednak chciałem ci przypomnieć, że w maszynowni zgubiliśmy 1000 franków, których nie odnaleźliśmy. To były nasze ostatnie pieniądze, poza opłatą za przejazd. Nie wiemy czy w tym mieście jest konsulat polski, czeka nas zapewne dalej przemycanie się o własnych siłach. Jako dżentelmeni oczywiście jesteśmy gotowi do wypłacenia ci pozostałych 7 tysięcy franków, mimo że grozi nam pozostanie bez grosza. Niemniej proponujemy ci, byś postąpił również jak dżentelmen i zgodził się, że wypłacimy ci tylko 6 tysięcy. Pozostały tysiąc — après la guerre finie!

Nie wiem czy Leon dał się wziąć na ambit, czy był tak uradowany, że operacja szczęśliwie się udała i dobrze zarobił, dość że poklepał nas protekcjonalnie po ramionach i krótko rzekł:

— Ça va, gars, ça va!

W Beyrucie zabawiliśmy kilka dni. W konsulacie brytyjskim otrzymaliśmy wizy wjazdowe do Palestyny. 17-go grudnia rano zajęliśmy miejsca w taksówce utrzymującej regularną komunikację Beyrutu z Haifą. Jeden z urzędników na granicy miał być uprzedzony o naszym przybyciu i miał nas przepuścić do Palestyny bez pisemnych formalności. Wiedzieliśmy, że w drodze z Beyrutu do granicy, biegnącej uroczo starym brzegiem fenickim, policja i żandarmeria wojskowa kilkakrotnie przeprowadza kontrolę dokumentów. Jak się potem okazało, oficer załatwiający nasz wyjazd zapomniał nam powiedzieć, że mamy się zgłosić po przepustki do granicy. Uważaliśmy za niegodne nas, podróżników „przez zielone granice" wielkiej klasy, aby nie dać sobie samym rady na trasie zaledwie 100 kilometrów. Przy pierwszym posterunku żandarmi długo oglądali nasze paszporty wystawione we Francji, z wizą wjazdową palestyńską, bez żadnej pieczątki Republiki Libanu. Wyjaśniliśmy, że z Francji jedziemy do Palestyny tranzytem. Gdybyśmy szli na piechotę, oczywiście by nas przymknęli, fakt jazdy taksówką, z grupą poważnych obywateli syryjskich z odpowiednią ilością bagażu, wpłynął na to, że nas puścili. Następne posterunki uznały, że skoro poprzednie nas przepuściły, to sprawa jest w porządku. Na granicy urzędnik, do którego byliśmy skierowani poprosił o oddanie mu przepustek. Gdy okazało się, że bez nich dojechaliśmy, był wstrząśnięty stwierdzeniem, jak podle pracują licznie rozsiane po szosie posterunki bezpieczeństwa.

Z prawdziwym wzruszeniem wjechałem w granice Imperium Brytyjskiego, którego przedstawicielami na granicy Palestyny było kilku Żydów i kilku Arabów w mundurach policjantów i strażników celnych, w przykładnej zgodzie, wbrew przyjętej opinii, sprawujących swe funkcje. Dojechaliśmy do Haify. Jako doświadczeni żołnierze rozpoczęliśmy naszą działalność w tym kraju od zjedzenia spóźnionego, niemniej solidnego obiadu, przy czym zaraz mieliśmy sposobność się przekonać, że język polski najzupełniej wystarcza dla porozumienia się z mieszkańcami tej części Azji. Potem weszliśmy do biura werbunkowego, które wielkimi transparentami wzywało ochotników. Jako jedynych interesantów, liczni urzędnicy biura przyjęli nas z nieukrywaną radością. Zapytano, czy wolimy służyć w oddziele arabskim czy w żydowskim. Odpowiedzieliśmy, że wolimy w polskim. Z wyraźnym smutkiem odesłano nas na górę Karmel, gdzie ongiś urzędował prorok Eliasz, a obecnie dwójka brytyjska. Niestety, z odpowiednim kapitanem rozminęliśmy się na schodach, właśnie z rakietą szedł na partię tenisa. Gdy wrócił, wziął nas w krzyżowy ogień pytań. Wynik był dla nas dobry, bo zgodził się odstawić nas do polskiej stacji zbornej, która znajdowała się pod Haifą. Połączył nas z nią telefonicznie. Ze wzruszeniem usłyszałem po drugiej stronie drutu monotonnym głosem wyrecytowaną formułkę: „Polska stacja zborna Haifa". Gdy przy stopniu i nazwisku wymieniłem jako oddział macierzysty, Brygadę Podhalańską, porucznik po tamtej stronie aparatu nie ukrywał swego zdumienia.

— Co, z Brygady Podhalańskiej przyjeżdżacie? Z Norwegii? Prosto? Znakomicie, nie mieliśmy tu jeszcze takich, bierzcie taksówkę i przyjeżdżajcie natychmiast, zapłacimy rachunek. Zaraz nam tu opowiecie jak w tej Norwegii biliście Niemców.

Po kwadransie wartownik z orzełkiem na czapce otwierał przed nami bramę obozu.

(„Nowa Polska", Londyn, luty 1944)

Mieczysław Pruszyński

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

Ciężarówka

Na tej ulicy często nocami bywa ruch. Podskakując na okrągłych kamieniach szybko przejeżdża ciężarówka, w której stoją na trzaskającym mrozie ludzie z nagimi głowami, w ubraniach z papieru. Mają ręce spętane na plecach kolczastym drutem. Mają usta zlepione gipsem.

Konwojujący żołnierz ze światełkiem papierosa między wargami, z karabinem gotowym do strzału posępnie wodzi oczami po głuchych oknach i bramach zamarłego miasta.

Jest jednak trochę senny po wczorajszej pijatyce i dlatego zapewne nie spostrzega, że na pierwszym piętrze zamigotała w księżycu szyba. Ktoś bez szelestu odchylił okno i stojąc żegna znakiem krzyża tych, co jadą na śmierć.

Jeden z jadących zobaczył go.

W ruinach

Podłużne chmury przedwieczorne przemijają nad ruinami domów, nad szczątkami tlejących pożarów. W ciszy, tak doskonałej, że aż dzwoni w uszach, od czasu do czasu słychać szelest belki osuwającej się z wysoka w głąb żaru, w białawe serce płomieni.

Ale ten ostatni dźwięk jest inny i inną ma przyczynę. To mały, ślepy kotek, któremu ogień wypalił oczy, poomacku przyczołgał się do brzegu kałuży i wysunąwszy języczek chłepcze ostrożnie zimną wodę, w której odbija się księżyc wschodzący zwolna nad pustką.

Czołgista

Kiedy na pierwszym czołgu kierując lufą szczękającego cekaemu wjeżdża do opustoszałego nagle miasteczka opryskany z prawej łuną palącego się młyna — wydaje się, że jest nietykalny. Ale to złudzenie trwa tylko chwilę. Bo oto nagle podnosi ręce, rozszerza usta i wali się do tyłu, na bruk.

Nie wiele trudu wymagało wzięcie tej pozycji. Właściwie w ciągu kilkunastu minut sytuacja została opanowana i oto już czołgiści wysypują się z maszyny, by zapalić ogień w przydrożnym rowie koło restauracji trzeciego rzędu. Jeden z nich zabija czerwone z mrozu ręce i ucierając nos w rękaw skórzanej kurtki zdartej przed dwoma dniami z trupa niemieckiego oficera odzywa się do podchodzących z noszami sanitariuszy:

— Eh, wy. Nawet zdechnąć nie dadzą spokojnie.

Za chwilę nad powalonym błyśnie latarka. Wtedy ukażą się kolejno: jego wyrzucone nad głowę ręce, biała zatrzaśnięta w sobie twarz i roztargane nogi w gumowych butach. Wygląda, jak gdyby szedł dokądś wielkimi krokami, jakby ciągle jeszcze szedł. Można powiedzieć, że to symbol. Ale kto wie, czy nie byłoby to zniewagą tego prostego trupa.

ANNA KAMIEŃSKA

„Chodzi mi o to, aby język..."

Oto ostatni mały kwiat obłoku.

Niech zwiędnie w miejscu, pod którym złożono czaszkę poety.

Tamten język giętki zostanie dla słów, które mężczyźni mówią kobietom,

inna mowa obciąży trudem naszą poezję.

Co rano biczujmy język za uroki, jakie kołyszą jeszcze każdą noc z księżycem,

bo z rączości języka biegnącego za uczuciem rodzi się roztargnienie zbyt łatwej mądrości.

Pragnijmy poezji, której wykład zawiera się w wielokącie zbudowanym słowem.

Twardy i oschły sens. Kto tak czuje?

Pewno świadek morderstwa dokonanego na narodach i stolicach.

Lecz raczej ten, kto bezskutecznie dobijał się do zapieczętowanej formuły wiedzy.

Z radością siadamy do stołu zastawionego mięsem.

Nie dla radości jednak uczony systematyk układa skorupiaki o tęczowych pokrywach.

Jeśli zatęsknisz, poślij osobno serce w żurawinowe lasy, w trzcin chłodniki.

Dla stronic trzepotliwych nie miej nawet uśmiechu odbitego w błysku pióra.

Chrzciny

Wreszcie. Koniec literackim gwarom, z których nie rodzi się dzieło. Zebraliśmy się w męskim gronie, aby ochrzcić syna mocną wódką, dobrym słowem.

A cóż z tego, że w oknie pod dach podniesionym niebo farbuje szyby, a gałąź pisze powietrzem lis do jesieni? Smuga dymu zmaże malowankę, a zostaniemy w głębi my, zawsze ludzie pomimo znoszonych spodni i celuloidowych kołnierzy.

Sąsiad nasz, stary zecer, choć nie ma tu kobiet (bo matka dziecka w cieniu przycupła) rozweselił się młodością, której pełno w izbie.

Urodziłeś się narodowi zasmuconemu. A śmiejemy się, żeby w dobrą godzinę.

Krewniak młody parę kroków, ile długość izdebki, przetańczył posuwiście. I zamyśla ostatni obrót, na którym jak na śrubie chyli się w ukos podłoga.

Urodziłeś się zasumowanej literaturze.

Patrz, mój czysty gest trwa — na twoją cześć — pozaspołeczny ruch.

Zrywa się ojciec, pomidory po stole się toczą w światła otokach. Obraca się i rękawem szkło strąca — iskry aż w cień poszły pod łóżko.

Urodziłeś się roztargnionemu ojcu. A tu trzeba w skupieniu wsłuchiwać się w wielką maszynę.

Odsuwasz zawór, a ona ci idzie cyklem kroków kolejnych, samodzielnych, wynikających jeden z drugiego.

Sąsiad wstaje dłońmi wsparty o stół. Dzwonią szklanki, drżą talerze od wzruszenia jego wielkiego ciała.

Dobrze to, że się rodzisz — epicki temat. Człowieka śpiewam... Głowa, ręka czy wątroba bardziej jest ludzka, nie wiemy.

My wszyscy człowieczeństwo odczuwamy pod pierzyną, a ludzkość pod ścianą.

Ciszo — starsza siostro myśli — i ciszo — miejsce głosu.

Milczcie.

Matka dziecka wyszła z kąta. Papuzi, wyzywający strój okrywa jej powagę.

Lecz kiedy stary zecer wyciąga po nią obie ręce — podaje mu dziecko — nagiego, niechytrego człowieka.

WIERSZE

CZESŁAW MIŁOSZ

Walc

Już lustra dźwięk walca powoli obraca
I świecznik kołując odpływa w głąb sal.
I patrz: sto świeczników we mgłach się zatacza,
Sto luster odbija snujący się bal.

I pyły różowe jak płatki jabłoni
I skry, słoneczniki chwiejących się trąb.
Rozpięte szeroko jak krzyże w agonii
Szkło ramion, czerń ramion, biel ramion i rąk.

I krążą w zmrużone swe oczy wpatrzeni,
A jedwab szeleści o nagość, ach cyt!
I pióra i perły w huczącej przestrzeni
I szepty, wołanie i zawrót i rytm.

Rok dziewięćset dziesięć: Już biją zegary.
Lat cicho w klepsydrach przesącza się piach.
Aż przyjdzie czas gniewu, dopełnią się miary,
I krzakiem ognistym śmierć stanie we drzwiach.

A gdzieś tam daleko poeta się rodzi.
Nie dla nich, nie dla nich napisze ich pieśń.
Do chat drogą mleczną noc letnia podchodzi
I psami w olszynach zanosi się wieś.

Choć nie ma go jeszcze i gdzieś kiedyś będzie,
Ty piękna, nie wiedząc, kołyszesz się z nim.
I będziesz tak zawsze już tańczyć w legendzie
W ból wojen wplątana, w trzask bitew i dym.

To on, wynurzony z odmętu historii
Tak szepce ci w ucho i mówi: no patrz.
A czoło ma w smutku, w dalekich lat glorii
I nie wiesz czy śpiewa tak walc, czy twój płacz.

Stań tutaj przy oknie i uchyl zasłony.
W olśnieniu, widzeniu na obcy spójrz świat.
Walc pełza tu, liśćmi złotymi stłumiony
I w szyby zamiecią zimowy dmie wiatr.

Lodowe pole w brzasku żółtej zorzy
W nagle otwartej nocy się otworzy —
Tłumy biegnące wśród śmiertelnej wrzawy,
Której nie słyszysz, odgadujesz z ust.

Do granic nieba sięgające pole
Wre morderstwami, krew śniegi rumieni.
Na ciała, skrzepłe w spokoju kamieni
Dymiące słońce rzuca ranny kurz.

Jest rzeka na wpół lodami przykryta
I niewolnicze na brzegach pochody.
Pod siną chmurą, ponad czarne wody,
W czerwonym słońcu, błysk bata.

Tam, w tym pochodzie, w milczącym szeregu
Patrz — to twój syn. Policzek przecięty
Krwawi, on idzie małpio uśmiechnięty.
Krzyczi W niewolnictwie szczęśliwy.

Rozumiesz. Jest taka cierpienia granica,
Za którą się uśmiech pogodny zaczyna
I mija tak człowiek i już zapomina,
O co miał walczyć i po co.

Jest takie olśnienie w bydlęcym spokoju,
Gdy patrzy na chmury i zmierzchy i zorze,
Choć inni umarli, on umrzeć nie może.
I wtedy powoli umiera.

Zapomnij. Nic nie ma prócz jasnej tej sali
I kwiatów i luster i świateł i ech.
Świeczników sto w lustrach kołysząc się pali
I oczy i usta i wrzawa i śmiech.

Naprawdę po ciebie nie sięga dłoń żadna.
Przed lustrem na palcach unosząc się stań.
Na dworze jutrzenka i gwiazda poranna
I dzwonią wesoło dzwoneczki u sań.

Dzień tworzenia

Gdy, zaplątani w ruchy własnych nóg,
Rowerzyści na szosie zataczają koło
W powietrzu, które jest różowe, dziecinne,
Przygotowane już na formy inne,
Na zarys innych, niż żyjące, stóp.

Gdy, ścinający mgłę błyskami nóg,
Wjeżdżają rano w jakieś miasto ludzkie
I słoneczniki przedmieść mkną nad bielą
I topolowe widma nad przestrzenią,

Kobieta, zgięta pod koszem warzywa,
Idąc o świcie rozcina na dwoje
Tłum niewidzialny, wysokie pokoje
Mieszkańców, których jej wzrok nie odkrywa.

Wystarczy rękę podnieść, już dotyka
Policzka, trafia na suknię z atłasu,
Na twarz w uśmiechu minionego czasu,
Pianę łańcucha, czy muszlę grzebyka.

Czarodziej, biorąc pałeczkę czy dłuto,
Zawoła: stań się, z powietrza wyłoni
Czwórkę spienionych nieruchomo koni,
Spiżową rękę deszczami rozprutą.

I tam, gdzie koło białej pustki stało,
Teraz czerwone biegają płomyki:
Tak to powietrze od dotknięć stężało,
Fałda po fałdzie w wodospad urosło.
Kręcą się kwiatów skamieniałych śmigi
I ziemia pachnie od błyskawic wiosną.
Dłuto, pałeczka z rąk wypada. Giń.

Za późno. Idzie niewstrzymany chór.
Piszczałek, palców ruchliwych szeregi.
Chorągwi dym nad nimi nisko klaszcze,
Gasną jedna po drugiej trafione przepaście.
Na pieśń maleńkim jak zabawka dziejom,
Na zgubę smutnym jak los czarodziejom
Mokre od rosy błyszczą na placach pomniki.

Wtedy ścinają ranek błyski nóg
Jest i kobieta z koszami warzywa
I słoneczniki chwieją się znad mgły.
Kto inny ciebie teraz ręką wabi,
Kto inny ciebie tam sięgając wzywa,
Tam, gdzie ty jesteś i ty i nie ty.

Przesłanie:

Tobie znaczone tak pałeczką skinąć.
Burze obudzić, rozciąć serce burz.
Posąg jak gniazdo spod liści odwinąć —
Choć zerwać chciałeś tylko kilka róż.

1942

Pieśni Adriana Zielińskiego

I

Piąta wiosna wojny się zaczyna,
Opłakuje kochanka dziewczyna,
Już w Warszawie na ulicach stopniał śnieg.

Myślałem, że moja młodość będzie trwała wiecznie,
Że zawsze będę ten sam,
A został tylko strach w godzinie świtu
I schylam się nad sobą jak nad czarną płytą
Próżno szukając czegoś co już znam.

Na placyku brzęczy karuzela,
Ktoś do kogoś na ulicy strzela,
Wiatr zawiewa od piaszczystych mętnych rzek.

Ale cóż mnie to wszystko obchodzi:
Jestem jak dziecko, które nie umie odróżnić żółtego mlecza od gwiazdy,
Nauczyłem się nie tej, której czekałem, mądrości.
Cóż stulecia, cóż historia. Ja dzień każdy
Rzeźbić muszę, bo to dla mnie wiek.
Panie Boże, zrzuć mi małe piórko Twej litości.

II

Kiedy idę na pola, pod las karłowaty,
Na suche wrzosowiska
I widzę jak zwinięte pierwsze wiosny kwiaty
Dłoń podziemna w górę wyciska,
Chciałbym wydrążyć tunel aż do środka ziemi,
Żeby zobaczyć piekło.
Chciałbym przebić jezioro słonecznych promieni,
Żeby zobaczyć niebo.

I tylko serce ziemi ciężkie od płynnego złota
I tylko pustkę wirujących sfer
Znalazłbym. Nie ma przepaści.
Bez początku ni końca pleni się przyroda
I nic prócz tego, że życie, że śmierć.
Skończone. Milczą przepaści.

Żeby choć najuboższy z diabłów, sługa sług
Pokazał rogi spod liścia pierwiosnka.
Żeby choć anioł, który w niebie rąbie drwa,
Bijąc małym skrzydełkiem na obłokach został!

Zrozumcie, proszę, jak ciężko samemu
Nowe niebo i piekło wynaleźć na ziemi.

III

Najpierw są wielcy: ludzie i drzewa,
Potem są mniejsi ludzie i drzewa,
Aż cała ziemia, pola i domy,
Ludzie, rośliny, ptaki, zwierzęta
Stają się małe jak liść majowy,
Jak bryłka gliny w ręku ściśnięta.

Siebie samego nawet nie widać,
Ni własnej krętej po świecie drogi.
Nawet umarłych nie poznajdywać —
Leżą jak czarne mrówki skurczone
Pod bursztynowym, szklanym zagonem
I żadne oko ich nie ułowi.

Wszystko tak małe, że pies prawdziwy
Albo prawdziwy krzak polnej róży
Byłyby wielkie jak piramidy
Jak bramy miasta dla chłopca z boru.

Ale nie znajdę prawdziwej róży,
Ani prawdziwej ćmy, ni kamienia.
I zawsze tylko mała, mała ziemia.

IV

Są gdzieś miasta szczęśliwe,
Są, nie na pewno —
Gdzie między giełdą i morzem
W pyle morskiej piany
Czerwiec mokre warzywa wysypuje z koszy
I na taras kawiarni słońcem opryskany
Lód wnoszą, a kobietom kwiat pada na włosy.

Barwy dzienników nowych co godzina
I spór o dobro rzeczy pospolitej.
Skórką pomarańcz pachną gwarne kina
I długo w nocy bzyka mandolina,
Ptak rosę pieśni strąca z piór przed świtem.

Są gdzieś miasta szczęśliwe.
Ale po co mi one.
Patrzę w głąb życia i śmierci jak na dno pustego kielicha,
Czy błyszczące budowle czy gruzy czerwone,
Pozwólcie mi odejść w spokoju.
Słyszę dźwięk nocy, która we mnie oddycha.

Wloką faceta za głupie nogi,
Łydki w jedwabnych skarpetkach,
Łeb z tyłu wlecze się nisko
I zostaje plama na piasku, której przez miesiąc nie wypłuczą deszcze.
Dzieci z rozpylaczami biegną spojrzeć na widowisko.

Patrzeć na to, czy wchodzić w migdałowy sad
Albo z gitarą stać pod rzeźbioną bramą.
Pozwólcie mi odejść w spokoju.
To może nie to samo, choć pewnie to samo.

V

Tyłek dziewczyny, która przechodzi,
Okrągły tyłek, rzeźbiony w blasku,
To jest planeta biednych astronomów,
Kiedy z butelką siedzą na piasku.

A kiedy w obszar nieba granatowy
Spojrzą, to wielka ogarnia ich trwoga
I znowu nisko opuszczają głowy,
Bo za wysoka dla nich ta budowa.

Widzą jak tyłek chwiejąc się oddala:
Jasna planeta Venus w teleskopie.
A zieleń wiosny mruży się jak fala,
Nad którą Venus błyszczy po potopie.

VI

Słyszę dźwięk nocy, która we mnie oddycha,
Małe głosy jak koty od środka mnie chłepcą
I zrywa się wewnętrzny przytłumiony wicher
Pieśnią pochlebczą:

Jakże ty mądry jesteś, Adrianie,
Że tobie, jak staremu chińskiemu poecie,
Wszystko jedno co jest, jakie tysiąclecie —
Patrzysz na kwiat i uśmiechasz się.

Jakże ty mądry jesteś, że ciebie nie łudzi
Szaleństwo dziejów ni namiętność ludzi,
Idziesz pogodny, blask wiecznych ogni
Łagodzi twarz.

Pokój domowi mędrca,
Pokój rozważnym dniom.
— — — — — — — —
O czarna zdrado, czarna zdrado.
Grom.

1944

ARTUR SANDAUER

Ten wiersz

Aby dotrzeć w głąb twojej niewiedzy,
— Czujesz? — czuły i ciepły pytajnik
Czyha cicho u ciekawej miedzy
Słów, związanych w zawiły zagajnik.

Łaskotana interpunkcją dreszczu,
Który w zdania przegubach wynika,
Czekasz, milcząc... gdy kropki szeleszczą...
Aż przeniknie cię grom wykrzyknika!

Śmierć dramatu

Już nie stało działających osób.
Nocą do cna uwiędły ich lica.
Tej jesieni nad sobą samosąd
Odprawuje pożółkła stronica.

Jej bohater w opisanym wietrze
Spełzł na niczym ostatnią literą.
W papierowe poranne powietrze
Czarną czcionką wpadł strzał rewolweru.

Rzeźba ruchu

Gdy idziesz, połowiąca mrok
Twardym połyskiem twarzy,
Słyszysz: za tobą dyszy krok
Bezsennych, nocnych rzeźbiarzy.

Fale profilów, masek rzut,
Odlew uśmiechów w wichrze:
Ich szeleszczący spada trud
W północy ciche spichrze.

Jeszcze łopoce w noc i w nic
Odlot spłoszonych gestów,
W lamusy niezliczonych lic,
Na samo dno szelestu...

Odwracalność

U szczytu twego dzwon i śmiech
I górny lot i poryw szumny,
A na dnie kula ciemnych ech
I grają rozbudzone trumny.

Albo wysoki przypływ z dna
Wyniósł na sobie szczyt ze śmiechu.
Odległym dzwonem górnie gra
Wniebowstąpionych trumien echo.

WITOLD WIRPSZA

Poległym poetom

Mądrość za krew. Oto najprostsza cena —
O, w słowach oszczędna, przemyślna, o, zbrojna Pallas Athene.
I tym, co piasek pustynny biczem wysmagał oczy,
I tym, którym ocean szkło soli na wargach rozmoczył,
Owym, co w lasach na strofy zmienili świst i gałęzie
I owym, co padli na śnieg, by śniegiem czerwonym zarzęzić,
Tym wreszcie, co w Warszawie wkrwawili się w gruz barykady,
Włożyłaś w dymiące płuca włócznię, jak metrum Iliady.
I oto leżą w Cassino, pod Narwik, nad Oką, w Dunkierce,
Sepleniąc przez usta garść ziemi: nienapisane swe wiersze.

Pożegnanie wojny

Gdy ostatnim świstem tor pocisku się wgłębił,
A ostatni wybuch w zenicie przewalił się krągło,
Topole rozkołysały niebo na błękit
I wystrzeliły słońcem — topolową bombą.

Ucichło w dymach. Wiatr płótna rozpostarł,
Kule ścichły w strumienie — skręciły ścieżką w horyzont,
Z lasów wybiegną sarny i ku okopom się zbliżą:
Rankiem jedynie jutrzenka wystrzeli im w oczy — na postrach.

Już tryumfujące powietrze wyrywa się z zieleni,
Kładnie się nad zbożem, jak malarska barwa
I stawia światła przy światłach, a cienie odcina od cieni,
By się w przestrzeni nie zatarł drobny rysunek ziarna.

HELENA BLUMÓWNA

O malarstwie Eugeniusza Eibischa

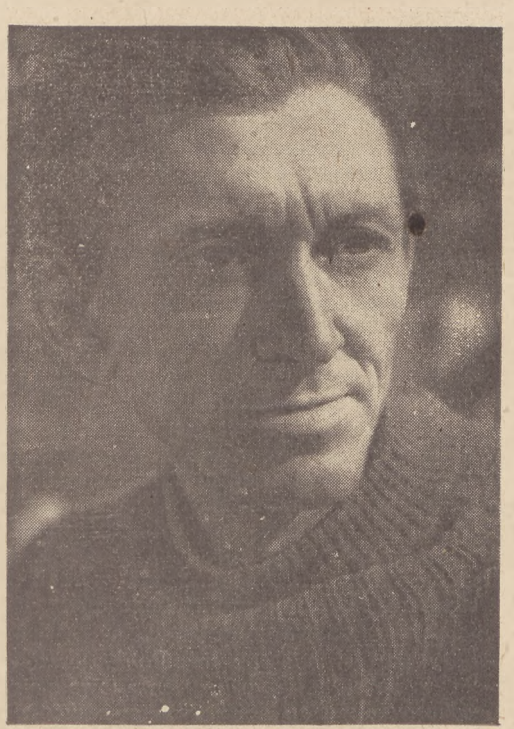

EUGENIUSZ EIBISCH

Kraków poznał twórczość Eugeniusza Eibischa w r. 1938 na wystawie w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, która wyprzedziła jego powołanie na profesora Akademii Sztuk Pięknych. W życiu naszym artystycznym było to wydarzenie doniosłe, wracał do Krakowa artysta, który po ukończeniu akademii opuścił to miasto przed laty osiemnastu, by ukazać swój dorobek bogaty, o sławie ustalonej na licznych wystawach we Francji i w Ameryce.

Lata wojny spędził Eibisch w Krakowie, w nader ciężkich warunkach, pozbawiony pracowni malował w pokoju przejściowym, z nieodpowiednim oświetleniem. Nic jednak, nawet ciężka atmosfera okupacji nie odrywała artysty od sztalug, przy których spędzał długie miesiące, nie wychodząc wcale na ulicę. Dziś opuszcza wspaniała twórczość Eugeniusza Eibischa zacisze domowe, by wysunąć się na czoło sztuki polskiej. Równocześnie obejmuje artysta rektorat Akademii Sztuk Pięknych, otwierając nowy okres jej rozwoju.

Twórczość Eibischa wiąże się z tym malarstwem doby ostatniej, które oparło się o założenia ściśle kolorystyczne. Dążenie to wzięło górę nad innymi tendencjami w nowym malarstwie europejskim. Gdy dziś, z pewnej już perspektywy spoglądamy na dorobek sztuki europejskiej, zwłaszcza francuskiej, który początek swój bierze w malarstwie pocezannowskim i trwa przez lata pierwszej wojny światowej i czas międzywojenny do r. 1939, przedstawia się nam on w sposób niezmiernie zróżnicowany. Był to okres heroiczny, pełen dynamicznych zmagań w walce o nową formę. Zdawało się, że kubizm naznaczy sztuce nową drogę, ale i on, przeszedłszy zresztą przez szereg faz ewolucyjnych, nie przetrwał pierwszej swej formy. Byliśmy świadkami futuryzmu, ekspresjonizmu, a wreszcie surrealizmu, by nie wymienić wszystkich „izmów", zrodzonych w koszmarze lat tamtej wojny. W okresie panowania tych prądów artystycznych w cień usuwała się twórczość artystów o zupełnie innym charakterze. Mam na myśli malarstwo, które sens swój oparło o kolor. Jest to chyba najlogiczniejsze założenie malarstwa: malarz winien kształtować obraz czynnikiem istotnym malarstwa — kolorem. Malarstwo to podejmuje zarazem odwieczną tradycję, która wiąże mistrzów poprzez wieki i łączy indywidualności o różnej organizacji twórczej. Do tej rodziny wielkiej zaliczyć bowiem można zarówno Tycjana jak Rembrandta, Velasqueza i Cézanne'a, Chardina i Maneta. Mogą oni bowiem operować plamą barwną w sposób różnorodny, zawsze jednak głównym czynnikiem kształtującym w ich malarstwie jest barwa.

Do tych najwspanialszych tradycji artystycznych nawiązuje malarstwo doby współczesnej, wzbogacone o świetny dorobek impresjonistów. Krytyka uprościła sobie zadanie niezmiernie, darząc współczesne malarstwo mianem postimpresjonizmu. Ile w nim jednak nowych istotnych elementów, może wykazać jedynie znajomość poszczególnych dzieł artystów. Nie czas tu i miejsce na rozpatrywanie twórczości Vuillarda i Bonnarda, którzy blaskiem swej sztuki wysuwają się obok rewelatorskich zmagań Picassa na czoło współczesnej sztuki, chodzi mi jedynie o wskazanie różnicy w wyrażeniu wizji malarskiej.

Le retour aux apparences — powrót do form zjawiskowych głosiła krytyka francuska, gdy zmęczyła się już obserwowaniem walk w kubizmie i surrealizmie i charakteryzowała malarstwo Friesza czy Segonzaka. Ale i tu tkwiło nieporozumienie, przedmiot bowiem w kubizmie — jest aż nadto dotykalny, trzeba

Akt

Portret Antosia

W pracowni

go tylko umieć odczytać. Hasło „retour aux apparences" oznaczało całkiem co innego — po prostu odsłonięcie nowej wizji artystycznej.

Ta nowa wizja artystyczna jest barwną zjawą rzeczywistości, oddaną za pośrednictwem koloru; malarz inne czynniki kształtujące obraz całkowicie podporządkowuje wizji barwnej. Otwiera się przed malarzem nieprzebrane bogactwo możliwości, które trudno ująć w surowy schemat doktryny. Ścisłą teorię wytworzył impresjonizm, lecz po to jedynie, by wykazać, jak teoria, związana zaledwie z twórczością kilku artystów, oddala się od praktyki w sztuce. W tym bowiem rodzaju malarstwa wszelkie spekulowanie i intelektualizowanie jest niemożliwe, decyduje tu jedynie intuicja i prawdziwy talent malarski.

Malarzem, przede wszystkim malarzem jest Eibisch; spogląda na świat zachwyconymi oczyma, by odkrywać w nim nowe, nieznane piękno kolorystyczne. Przedmioty mają dlań wartość jedynie jako barwna zjawa. Napisał o nim Roger Martin du Gard, entuzjastyczny wielbiciel sztuki Eibischa, że jest on tak dalece malarzem, że życie jego nie tłumaczyłoby się bez pendzli, bez kolorów.

Nade wszystkim góruje osobowość artysty, co też podkreślała krytyka francuska, stawiając go w rzędzie najwybitniejszych malarzy współczesnych. Z kraju wyniósł Eibisch dobre tradycje malarstwa z pracowni prof. Weissa, by przybyć do Paryża w chwili, gdy najżywsze nasilenie wszystkich „izmów" słabło, a rzetelne malarstwo nie zyskiwało jeszcze należnego rozgłosu. Eibisch przyznaje sam, że przed przybyciem do Paryża zainteresował się przelotnie ekspresjonizmem, co jednak nie miało wpływu na dalszy jego rozwój artystyczny. Jego instynkt malarski prowadził po natchnienie do starych mistrzów. Przykładem jak Eibisch szuka nowego wyrazu jest „Martwa natura z rybą"; w rozwiązaniu tego problemu kolorystycznego nie ma nic z impresjonizmu: z brunatno-czerwonawego tła wyłania się po przekątni na półmisku ułożona ryba, srebrzysto niebieska, z czerwonymi śladami krwi, co ją kolorystycznie zespala z tłem. Faktura nawiązuje do dawnych Holendrów, lecz wkrótce artysta zrywa z brunatnymi tłami, pociągnięcia pendzla stają się mocne, śmiałe, faktura lśniąca, świetna. „Akt" młodej kobiety na niebiesko zielonawym tle, skąpany w refleksach i odblaskach; ciało staje się miejscami zimne i tylko tam, gdzie pada światło, goreją tony jasne, różowe, ciepłe i czerwone.

W twórczości Eibischa zaczyna się uporczywa, twarda walka o własny wyraz. Zmagania te z dzieł artysty odczyta tylko wprawne oko, gdyż niezależnie od fazy rozwojowej osiągają one tak wysoki poziom maestrii, tak olśniewają bogactwem kolorów, świetnością faktury, że wprawiają w zachwyt. Jest to sztuka sensualistyczna; wrażliwemu na czyste walory plastyczne sprawia prawdziwą radość. Głęboka wiedza malarska połączona z niezmierną intuicją artysty tkwi u podstaw tej sztuki.

Gdy Eibisch nauczył się już dosyć u starych mistrzów i począł realizować coraz to silniej własną wizję malarską, korzystał jeszcze niekiedy z lekcji impresjonistów. Plama, którą się wtedy w sensie impresjonistycznym jeszcze posługiwał („Martwa natura", „Pejzaż w deszczu") miała jednak już inne znaczenie. Przede wszystkim nie ma u Eibischa obrazu konsekwentnie w myśl impresjonizmu przeprowadzonego, jest tylko przygodne korzystanie z jego zdobyczy. Nie chodzi artyście o momentalność wrażenia, o grę barw i świateł, ale o pogłębienie wizji malarskiej, do której wzbogacenia może czasem posłużyć plama czystej barwy. Malarska wizja Eibischa nie ma nic przelotnego, momentalnego, ma ona pozory, mimo swej irrealności, czegoś stałego, co wymaga skupienia i zgłębienia. Toteż obrazy Eibischa wciągają w siebie oko widza odnajdującego coraz to inne wartości.

Nie jest też przedmiot u Eibischa obojętny jak w impresjonizmie. Artysta maluje martwe natury, kwiaty, portrety, rzadziej pejzaże. Przedmioty są co prawda tylko podnietami do tych wizji malarskich, stają się one pretekstem dla kompozycji kolorystycznej, ale niemniej nie zatracają one w naszym odczuciu swego materialnego istnienia. Artysta różnicuje wyraźnie pociągnięciem pendzla odmienność materii, inny jest ich charakter w określaniu partii kolorystycznej np. w „Martwej naturze", gdy ma oznaczać kosz, marchew, rzodkiewkę czy kapustę. Dla impresjonisty bowiem istniała tylko jednolita płaszczyzna obrazu, którą równomiernie traktował. Inna jest też paleta Eibischa, który w miarę ustalania się własnego stylu rezygnuje nawet z pomocy plam czystej barwy, a barwy swe miesza na palecie, wyszukując coraz to nowe połączenia. Często też posługuje się barwami kryjącymi. Gdy już mowa o palecie artysty, to i tu nie można ustalić jakiejś recepty; Eibisch nie ogranicza się do pewnych zespołów, rozporządza całym bogactwem kolorów, które dobiera do swych koncepcji. Np. co roku lubi wymalować kilka wariantów maków, każdy jednak inny, kontrastuje czer-

wienie kwiatów z błękitami, zielenią lub też doprowadza do istnej orgii kolorystycznej. Równocześnie maluje też słoneczniki, gdzie najżywsze natężenie tonów żółtych, którym dla wzbogacenia w pośrodku dodaje wręcz czerwone refleksy, łączy z czerwienią draperii na stole i nader umiejętnie kontrastuje z zielenią okalających ich liści na brunatnym stole z odrzuconą czerwoną draperią.

Nigdy nie istnieje w obrazach Eibischa jakiś kolor samodzielnie, kolor, który by się mógł wyodrębnić z całości, lecz jest on związany przez kontrastowanie lub stwarzanie ekwiwalentów. Powierzchnia obrazów Eibischa nie jest związana przez jej równomierne traktowanie w pociągnięciach pędzla, jak u impresjonistów, lecz pomimo różnorodności jej traktowania jakość i ciężar gatunkowy i odpowiednie dostrajanie skali tonów i natężenia — wiążą poszczególne kolory w nierozdzielną całość. Podstawą tych zespołów jest więc bardzo głęboka i świadoma wiedza malarska.

Na styl własny Eibischa składa się też przede wszystkim wgłębne rozczłonkowanie jego obrazów. Jest to cecha bardzo istotna. Gdy dla niektórych impresjonistów i dla wielu malarzy związanych z postimpresjonizmem wizja barwna rozwijała się w dwuwymiarze, Eibisch wyłączając inne czynniki kształtowania prócz barwy, umie uzyskać złudę trójwymiaru, przedmioty rozwijają się w przestrzeni, a obraz zbudowany jest z kilku planów, które nader umiejętnie i kunsztownie konstruuje. Cecha ta występuje zwłaszcza w dojrzałym stylu Eibischa. Ważnym czynnikiem w rozwiązaniu tego zagadnienia malarskiego jest gra światła, która wzbogaca działanie barwy. Najwspanialszym przykładem jest obraz „W pracowni", konstruowany kolorystycznie; postać kobieca w różowo-lila kapeluszu umieszczona koncentrycznie na przekątni obrazu, skupia barwy ciepłe, blask i światło. Ośrodek ten zdołał artysta w mistrzowski sposób włączyć w całość przez stwarzanie kontrastów, w których przy pomocy refleksów czy odpowiedników niejako rozprowadza główne natężenie ciepłych barw i stapia je z symfonią tonów zimnych, blado niebieskich, liliowych. Szereg planów wykazuje też ostatnie dzieło Eibischa „Portret Antosia". Stwarza tu artysta wieloplanowość kompozycji, nie chodzi mu już o same harmonie barw, ich zespoły czy kontrasty. Plany te nie są sobie przeciwstawione, lecz przy pomocy refleksów i niuansów łączą się i zespalają w całość, która jest bardzo urozmaicona i bogata.

Charakterystyczną cechą sztuki Eibischa jest brak wszelkiej dekoracyjności, która jest wynikiem stylizacji bądź linii, bądź układu plam barwnych. Dekoratywności nie ustrzegł się nawet Bonnard, który w pewnym okresie ma nawet coś secesyjnego. Tendencja ta jest częsta w malarstwie postimpresjonistycznym i wprowadza w założenia czysto malarskie pewien obcy akcent. Brak tego elementu podnosi niezmiernie szlachetność sztuki Eibischa, który mimo nowoczesności swego systemu malowania ma dojrzałość, jaką podziwiamy u starych mistrzów. Wartości te określił trafnie Pankiewicz: „W dziełach wielkich mistrzów powierzchnia obrazu nie jest w sprzeczności z tym, co obraz wyobraża, a wartość malarska odpowiada zawsze wartości ludzkiej. Wyobrażenie i harmonia są jednoczesne i nierozłączne".

Malarstwo Eibischa oszałamia bogactwem barw i świateł, wprowadza widza w nastrój radości, dzięki wartościom czysto sensualistycznym jako też intelektualnym płynącym z wysokiej wiedzy malarskiej artysty. Ale nie brak też w twórczości Eibischa akcentów pozamalarskich, świadczących o przeżyciach duchowych. W „Pejzażu deszczowym" stwarza artysta nastrój dnia ponurego, beznadziejnego w mokrym deszczu, gdy natura spowita w ciemne fioletowe tony odpowiada nastrojom smutku i nudy. W „Portretach żony", (jest ich szereg wariantów), wywołuje Eibisch urok kobiecości. W „Portrecie pani B." mamy inne zagadnienie; portretowana podparłszy oburącz głowę, pogrążona jest w jakiejś pełnej smutku zadumie. A w „Portrecie Antosia" artysta uległ łobuzerskiemu wdziękowi chłopczyka, który łakomie sięga po wiśnie.

Nie ma więc w sztuce Eibischa, przy całej maestrii i powadze wysiłku, nic z oddalenia i obojętności wobec przejawów życia, przeciwnie pulsuje w niej ciepło i prawda, przeniesione tylko w inne sfery, przetłumaczone na wartości nieprzemijające, artystyczne.

Helena Blumówna

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

SPRAWA WYOBRAŹNI

Związek Zawodowy Literatów Polskich

Cena 35 zł

Do nabycia we wszystkich księgarniach

TADEUSZ PEIPER

Fragment książki o Kolumbie

Okręty opustoszały; z Bartłomiejem w osadzie przebywa osiemdziesięciu ludzi; dwudziestu pozostało na wybrzeżu z Mendezem dla zajęcia się wyładowanym bagażem; kilkunastu odpłynęło w głąb koryta rzecznego po wodę do picia; kilkunastu ruszyło ostatnio z Ledesmą dla zebrania wiadomości; na trzech okrętach pozostało razem około dwudziestu ludzi. Rozdzielili się oni tak, że na okręcie admiralskim jest jeden tylko człowiek: Kolumb. Pozostawili go samego, choć jest chory, choć gorączkuje.

Wybrzeże przeraża zagadkowością zdarzeń, możliwością nieprzeniknionych przyczajeń i nagłych napaści. Morze piętrzy się, kotłuje, straszy. Zguba wydaje się nieuchronną.

Sam jeden na okręcie, chory, gorączkujący, postanawia Kolumb wołać o pomoc.

Podąża ku najwyższej powierzchni okrętu, a choroba sprawia, że każdy krok, każdy ruch ręki jest dla niego ciężką pracą. Ostatnim wysiłkiem zdobywa poszukiwaną wysokość.

Zaczyna wołać. Przyzywa do siebie Hiszpanów, błaga ich o najszybszą pomoc i sam zdaje sobie sprawę ze strachu, jaki brzmi w jego głosie.

Nikt nie odpowiada.

Woła na wszystkie strony, głos jego coraz bardziej nasiąka płaczem.

Nikt nie odpowiada.

Febra zaczyna nim trząść. Osłabiony niemocą, pada na deski pokładu na pół nieprzytomny, z rozchylonych warg ulatują jęki.

Ale nie pochylicie się teraz nad nim i na razie wiedzieć nie będziecie co z nim się stanie. Bo ważniejsze, o wiele ważniejsze, jest to, co dzieje się teraz w nim.

Dociec tego, co dzieje się w nim teraz, nie jest sprawą łatwą. Za jakiś czas on sam będzie o tym pisał do pary królewskiej, ale nie będzie pisał jasno i będzie miał po temu poważne powody. To, co napisze, trzeba będzie poddać uważnej analizie. Napisze, że kiedy to padł na deski pokładu okrętowego, usłyszał głos Boga. Napisze, że Bóg do niego przemówił. Że przemówił tak:

O, nierozumny! Ty, który tak późno zaczynasz wierzyć w twojego Boga, będącego Bogiem wszystkich, i który tak późno zaczynasz mu służyć.

Cóż więcej uczynił on dla Mojżesza lub Dawida, sług swoich? Od twego urodzenia się zawsze miał cię w swojej opiece. Gdy ujrzał cię w latach, z których już mógł być zadowolony, zdziałał cud i imię twoje rozbrzmiało po ziemi. Indie, które są tak bogatą częścią świata, uczynił twoimi; tyś je rozdzielał, jak chciałeś, i dał ci władzę po temu. Od łańcuchów, które tak mocno zamykały ocean, tobie dał klucze. Na tylu ziemiach słuchano twoich słów, a chrześcijanie obdarzyli cię sławą i czcią. Cóż więcej uczynił dla ludu Izraela, gdy go wyprowadził z Egiptu? Lub dla Dawida, gdy z pasterza uczynił go królem Judei?

Zwróć się ku niemu, poznaj swój błąd. Miłosierdzie jego jest nieskończone.

Twoja starość nie przeszkodzi żadnej wielkiej sprawie. Wiele największych dóbr ma on jeszcze Tobie do przekazania. Abraham miał ponad sto lat, gdy spłodził Izaka, a Sara nie była w wieku dziewczęcym.

O pomoc wołasz niepewną.

Powiedz, kto cię tyle razy i tak bardzo zasmucał, Bóg czy świat? Bóg nie łamie przywilejów ani przyrzeczeń jakie daje i po otrzymaniu usług nie mówi, że jego zamiar był inny, że należy rozumieć go inaczej i nie zadaje mąk dla nadania rumieńców sile. Słowa Boga ważne są co do litery. Wszystko, co przyrzeka, spełnia z nadwyżką. Czy jest to w zwyczaju ludzi?

Powiedziałem co Stwórca zrobił dla ciebie. Teraz wynagródź mu trudy i niebezpieczeństwa, przez które przeszedłeś, służąc innym.

Nie bój się, ufaj: wszystkie twoje cierpienia wypisane są na marmurze. I nie bez przyczyny.

Te wspaniałe zdania, rozpięte na najlepszej patetyce ksiąg świętych, przeczytajcie ponownie. Przeczytajcie je jeszcze raz i jeszcze uważniej, rozważcie nie tylko ich treść, ale pełną zawartość.

Zrobiliście?

W takim razie zgodzicie się ze mną, że w tej rzekomej apostrofie Boga doszła do głosu:

1. Nieufność Kolumba do ludzi otrzymywanych z Hiszpanii dla swych wypraw.
2. Niechęć do króla.
3. Krytyka polityki królewskiej.
4. Myśl o rozstaniu się z władcami hiszpańskimi.
5. Nowe rozumienie Boga.
6. Myśl o służeniu nowo rozumianemu Bogu.

Tak przedstawiają się składniki boskiej apostrofy, ułożone w kolejności, która je prowadzi od momentu aktualnego w przyszłość bliższą i dalszą.

Myślicie: nieufność do ludzi otrzymywanych z Hiszpanii? Gdzież pan to znalazł? Wskazuję na zdanie: „Wołasz o pomoc niepewną." Zdanie to wyrosło najściślej ze sytuacji. Wśród wycia wzburzonych bałwanów, wśród lęku przed nadciągającą burzą, chory, gorączkujący, sam jeden pozostały na okręcie, podążył Kolumb ku najwyższej okrętowej płaszczyźnie, i trwożnie, niemal płaczliwie wołał na wszystkie strony, aby Hiszpanów skłonić do przyjścia mu z pomocą. W końcu pomoc ich wydaje mu się niepewną. Wyrasta w nim myśl, czy jego hiszpańscy towarzysze w ogóle zechcą przyjść mu z pomocą. Wyrasta w nim nawet podejrzenie, że może naumyślnie nadali wydarzeniom taki bieg, aby pozostawić go na okręcie samego i wydanego na pastwę choroby i wroga. Niebezpieczne osamotnienie, w jakim pozostał, wydaje mu się nagle uplanowanym. Ale owe zdanie streszcza też w sobie przeżycia i doświądczenia wszystkich niebezpiecznych sytuacji czasu minionego. W zdaniu o „niepewnej pomocy" ukazują mu się wszyscy buntownicy, którzy nie liczyli się z jego życiem lub nastawali na nie; ukazują mu się w nim wszyscy szkodnicy, którzy hamowali bieg jego czynów, wszyscy podlecy, którzy ziali brudem w jego dzieło. Niepewni. Niepewni, gdy chodzi o pomoc nie tylko w niebezpieczeństwie, ale i w pracy.

Że apostrofa Boga mieści w sobie niechęć do króla, to wyziera aż nadto widocznie z jednego z ustępów końcowych, tego, który zawiera zdania o stosunku Boga do... danych przyrzeczeń i przywilejów. „Bóg nie łamie przywilejów ani przyrzeczeń jakie daje, i po otrzymaniu usług nie mówi, że jego zamiar był inny, i że należy rozumieć go inaczej i nie zadaje mąk dla nadania rumieńców sile. Słowa Boga ważne są co do litery". Przecie w tych zdaniach najwyraźniej zarysowany jest los umów zawartych między Kolumbem a parą królewską. W tych zdaniach zarysowane są zarzuty, jakie Kolumb stawia parze królewskiej, a przede wszystkim królowi. To wszystko, czego Bóg według owych zdań nie robi, wystarcza przypisać Ferdynandowi, aby wyłuskać zarzuty, jakie Ferdynand ma wysłuchać. Ba, w zdaniu o zadawaniu mąk dla nadawania rumieńców sile mieści się nawet zarzut dotyczący taktycznych pociągnięć Ferdynanda, jego metody wynagradzania tych, którzy gwałtownymi wystąpieniami poniżają Kolumba, przyprawiają go o utratę prestiżu, a nawet władzy. Dawniej krzywdy, jakie go spotykały, uważał tylko za osobiste winy urzędników, za ich wykroczenia przeciw instrukcjom królewskim, teraz widzi w nich współudział Ferdynanda, widzi w nich jego poufne zlecenia. Zestawiając króla z Bogiem, oskarża króla. Oskarża go mocno. Rozjątrzona rana odkrywcy buchnęła pełnią krwi. Pofolgował sobie. Nigdy jeszcze tak jasno nie widział roli króla w tym, co przyszło mu przechodzić, i nigdy jeszcze tak jej nie wypowiedział. Król... Król... To on jest sprawcą wszystkiego. To on sprawia, że umowy nie są dotrzymywane. To on sprawia, że władza, przyrzeczona odkrywcy nie była należycie chroniona a w końcu zapadła się. To on sprawia, że słuszność mają kpiarze, gdy mówią, że Kolumb ziemie odkrywa a inni nimi rządzą. To on sprawia, że teraz, gdy nawet krawcy ubiegają się o pozwolenia na odkrycia żeglarskie, daje im się te pozwolenia, choć myślą tylko o łupiestwach ze szkodą dla honoru pierwszego odkrywcy i ze szkodą dla samej sprawy.

Krytyka polityki królewskiej znalazła wyraz w „głosie Boga"? Dziwicie się, wiem. A jednak! Zważcie: wszystkie przykłady, które mają być uzasadnieniem myśli zawartych w owych boskich słowach, pochodzą z historii Żydów. Wszystkie bez wyjątku. Wyłączność jest tak absolutna, że musi zwracać uwagę. I zważcie jeszcze to: niezwykłe słowa Boga podaje Kolumb w liście do pary królewskiej, która tak okrutnie obchodzi się z Żydami, która ich tak bezlitośnie tępi. W piśmie do takich władców powoływać się wyłącznie na przykłady z historii uciskanego przez nich narodu, uważać tę historię za źródło mądrości życiowej, za ilustrację sprawiedliwości boskiej — znaczy, że mówi się tu coś mową pośrednią. Nasuwa się nieodparty wniosek, że Kolumb uczynił to świadomie i celowo. Jeśli tak, to miało to być zamaskowanym potępieniem królewskiej polityki wyznaniowej. A Kolumb miał powody, aby ująć się za Żydami. Skazani na opuszczenie Hiszpanii, interesowali się nowymi ziemiami jako możliwym terenem emigracji i Kolumb widział w nich materiał kolonizacyjny bardziej stały aniżeli ten, jakiego dostarczali rdzenni Hiszpanie, uzyskanie zaś materiału ludzkiego stałego było — widzieliście — jednym z jego postulatów kolonialnych, było postulatem, od którego spełnienia lub niespełnienia zależał — w jego przekonaniu — los jego dzieła. Ostatnio jednak władcy hiszpańscy wydali dekrety zabraniające Żydom (i Maurom) wyjazdu do „Indyj", mógł więc Kolumb odczuć to jako pętanie wielkiego przedsięwzięcia. Z kart biblijnych wytargał zarzut i niemo ułożył go pod oczyma władców.

Postanowienie rozstania się z władcami hiszpańskimi wniknęło w zdanie: „Teraz wynagródź Bogu trudy i niebezpieczeństwa, przez które przeszedłeś służąc innym".

Służył władcom hiszpańskim, a Bóg służby tej nie pochwala. Ukazują mu się oni niegodnymi jego ofiar i zdobyczy. Błąd, błąd ujrzał w dziesięciu latach, które im poświęcił. Nową drogę ujrzał w rozstaniu się z nimi.

Chce służyć Bogu, — Bogu wszystkich ludzi. Wiem, znowu zapytacie: gdzież pan to znalazł? Wskazuję na zdanie naczelne: „Ty, który tak późno zaczynasz wierzyć w twojego Boga, będącego Bogiem wszystkich ludzi, i który tak późno zaczynasz mu służyć". Przecie Kolumb zawsze manifestował swą wiarę religijną, zawsze wprowadzał ją w swą działalność, jeśli więc owo naczelne zdanie stwierdza, że późno zaczyna wierzyć w swojego Boga i późno zaczyna mu służyć, to znaczy, że mamy tu do czynienia z jakimś nowym ujrzeniem Boga. Inaczej naczelne zdanie apostrofy nie miałoby sensu. Nie ma innego wyjścia, jak przyjąć, że w tym czasie uwierzył Kolumb w Boga pojętego inaczej. Bóg wszystkich ludzi, wszystkich, a więc chrześcijan, Żydów, Maurów, i nawet tych Indian, którzy tu na niego czyhają tylko dlatego, że jego Hiszpanie nie umieli ich sobie pozyskać, ten Bóg — to jest zdobycz owych strasznych godzin, które osamotniony i gorączkujący Kolumb spędził na wodach Veragui. Zarodki tej zdobyczy już w nim tkwiły, bo przecie w kilku trudnych momentach swej przeszłości myślał o realizowaniu nauki świętego Franciszka.

Bóg wszystkich ludzi żąda od niego rozległej działalności w duchu swych wskazań. Starość nie będzie w tej działalności przeszkodą. Wielkość, jaką Kolumb czuje w sobie, wielkość na miarę Mojżesza, Dawida, Abrahama, pozwoli mu dokonać wielkich rzeczy na nowej drodze, na drodze nowo pojmowanego Boga. Po rozstaniu się z władcami hiszpańskimi, po opuszczeniu Hiszpanii, porzuci żeglarstwo, podejmie nowe zadanie życiowe, zadanie o charakterze religijno-etycznym, wielkie, ogromne, dla niego przez Boga zarezerwowane, pod względem znaczenia równające się temu, jakie spełnił w odniesieniu do obrazu ziemi.

Całość apostrofy ujawnia, że w Krzysztofie Kolumbie począł się przełom. Gruntowny przełom. Najistotniejsze składniki jego osobowości uległy zmianie: stosunek do żeglug odkrywczych, stosunek do tronu hiszpańskiego, stosunek do Boga, stosunek do ludzi. Nigdy jeszcze nie był tak daleko od tego co w nim było dotąd.

Apostrofę Boga zamieszcza w liście, który potem na jednym z dalszych etapów swej podróży napisze do pary królewskiej. Będzie tę apostrofę czytał król. Dowie się z niej niejednego o nowych myślach odkrywcy.

Dawno nasuwało się wam emocjonujące pytanie, co wielki człowiek zrobi, zrozumiawszy króla. Czy powierzy się mękom obłudy? Czy nie wypowie nic z tego, co w nim zaszło? A jeśli wypowie, to jak? Jak ujmie rzecz? Jak będzie lawirował między swoją myślą a ograniczeniami, jakie narzuca respekt dla króla? I oto chwila, na którą tak długo czekacie i na którą ja też niecierpliwie czekałem, już jest.

Postanowił Kolumb ujawnić wszystko co myśli, ale nie dać wynurzeń za jasnych. Powiedzieć, a nie przekroczyć granic dopuszczalności. Oskarżyć, a nie narazić się na zarzut nieuszanowania. Jak to uczynić? Znalazł sposób. Niech to za niego mówi kto inny. Lecz kto? Któż może mówić za niego? Gdzież ten człowiek, na tyle wyniosły, aby mógł karcić króla? Papież? Tak, mógłby, ale jest daleko. Jest jeszcze tylko Bóg. Bóg? Więc niech przemówi Bóg! Wyręcza się Bogiem, aby pokryć swą śmiałość. To, co sam skoncypował, podaje jako głos Boga. Apostrofa jest apokryfem.

To, co Kolumb mówi Ferdynandowi słowami „Boga", stanowi kulminacyjny moment długoletniego dramatu, którego tematem jest wzajemny stosunek odkrywcy i króla, dramatu, który w życiu odkrywcy rozwija się ciągle obok głównej sprawy jego życia, sprawy obrazu ziemi. Obraz ziemi i obraz króla, to są dwie główne kwestie tłoczące głowę Kolumba.

Teraz pochylcie się nad nim. Zostawiliście go upadłego na deski pokładu i na pół nieprzytomnego, pochylcie się teraz nad nim i patrzcie:

Odzyskuje przytomność.
Zbiera siły.
Podnosi się.
Ku czemu się podnosi? Co ujrzy? Co usłyszy?
Co przyjdzie mu przeżywać?

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

Z POEZJI ROSYJSKIEJ

ALEKSANDER BŁOK

Warszawa

Fragment poematu „Odwet"

Czyliż i ciebie, o Warszawo,
Stolico dumnej polskiej ziemi,
Wojenne carskich hord wyprawy
W martwocie pogrążyły niemej?
W podziemia zeszło życie w grodzie,
Pałace pańskie śnią w ustroniu,
Tylko Pan-Mróz na dzikim koniu
Bez kresu hula na swobodzie!
To wściekle wzniesie się nad nami
Jego łeb siwy wśród kurzawy,
Lub odrzucone w tył rękawy
Żadymką wzlecą nad domami,
Lub zarży koń — i brzękiem w burzy
Telegraficzny drut oddzwoni,
Pan rwące cugle ściągnie w dłoni,
Żelazo ostro mu powtórzy
Zamarzniętego stuk kopyta
W ulicy pustej, bezechowej...
I znowu pochyliwszy głowę
Tęsknotą niemy Pan przeszyty,
Tak pędząc na spienionym koniu
Ostrogą pobrzękuje krwawą...
I, zemsta! zemsta! Nad Warszawą
W żelazie zimnym echo dzwoni.

I jeszcze lśnią kawiarnie, bary,
I Nowy Świat sprzedaje ciała,
Kipią bezwstydne trotuary.
W zaułkach — pustka odrętwiała,
Tam mrok i zawieruchy łkanie...
Aż się zmiłował strop bezgwiezdny —
Śnieg głuszy krzyk i turkot jezdni
I niesie swe zaczarowanie...
Snuje się, ściele się i szemrze
Śnieg cichy, wieczny, śnieg zamierzchły...
I ciebie, mój ty bohaterze,
Śnieg cicho swym przyprószy zmierzchem,
Póki bez celu, z sercem smętnym,
Zaledwie pochowawszy ojca,
Błąkasz się, błąkasz się bez końca
W tym tłumie chorym i namiętnym...
Bez myśli, uczuć, pełen czczości,
Źrenica blaskiem nie zapała,
Jakby się dusza zestarzała
O dziesięć lat od samotności...,
Latarnia roni światło blade...
Zza węgła snując cień po ścianach
Ktoś pieszczotliwie się zakrada,
Wabi jak niegdyś ukochana.
I nagle serce twe zdławiła
Tęsknota niewypowiedziana,
Jakby je ciężka ręka, w ranach,
Do ziemi zgięła i zdusiła...
Już nie samotny kroczy mrokiem,
Lecz jakby komuś daje wieść się,
Ktoś stąpa obok śpiesznym krokiem,
Krakowskie wiedzie ich Przedmieście;
Wisła — piekielny kłąb śnieżycy...
Tam w zimną noc dzwoniąc zębami
Osłony szuka za domami
I w dawną wraca znów ulicę.
I znów pod śniegiem zamyślony
Nad kulą ziemską śni Kopernik...
(A obok niego druh-powiernik
Czy rywal — stąpa żal). Zmylony
Zwrócił pod górę krok niesprawny,
Tu po soborze prawosławnym
Przez chwilę ślepym wzrokiem wodzi.
(Jakiś nie byle jaki złodziej
Zbudował go, nie dobudował...)
Śpieszy bohater mój, lecz znowu
Osłabł — wokoło śnieg się ściele —
Już zaczął drżeć na całym ciele
Niepokonanym drobnym dreszczem,
(W nim plotły się na jedno mgnienie:
Mróz i tęsknota i znużenie...)
Godzinę już w bezdrożu śnieżnym
Bez celu brnąc poprzez kurzawę
Błądził bez snu i bez nadziei —
Z cicha złowieszczy świst zawiei
I sen zstępuje na Warszawę.

przełożył **Mieczysław Jastrun**

ILJA SIELWINSKIJ

Polowanie na nerpy

1

Ponure, mroczne są porosłe szumem szkiery
I tylko — takby się zdawało —
Wilgotna mgła by tu wytrwała.
Lecz dwieście lat przebywa tutaj imię „Bering",
I szum i deszczu mrok zarazem
Z tym pokłębiły się obrazem.

2

Kiedy abstrakcją róży pachną zorze,
A drżąca puchem swych roztoczy
Rdza siwa gęsto je otoczy, —
Od płaskowzgórza na Beringa morzu,
Na niewesołym tle tym nagle
Patefon zjawia się pod żaglem.

3

Kiedy abstrakcją róży pachną zorze
I szara północ nieżyczliwa
W lustrzane dymy się okrywa,
Wypływa nerpa na Beringa morze.
Wąsata. Siwa. Z wodnej piany.
Jak rachmistrz emerytowany.

4

Wyszczeka się. I znowu na przestworzu
Nurkuje w bok i wzdłuż, zukosa
Za uchodzącym wciąż łososiem.
Lecz naraz słyszy głuchą głębię morza
I dziwny jakiś dźwięk z oddali,
Roztaczający się po fali.

5

Zaciekawiona, z pola bitwy płynie,
Wiosłuje, płetwą łyska lśniącą,
Gdzie łódź rybacka śpiewająca,
Gdzie Pantieliej, jak zamek karabinu,
Membranę całą pokrył tłuszczem
I kantylenę włoską puszcza.

6

Quanno sponta la luna a Marechiare
Pure li piscenze fanna l'amore
Se revotano l'onne de lu mare
Per la priezza canieno culore
Quanno sponta la luna a Marechiare
O-a Marechiare...

(Wiosłuje foka, co ma siły
Za kantyleny dźwiękiem miłym...)
O-a Marechiare...
(Wiosłuje foka, płynie foka...
Już tłuc je nawet nieochota!)

7

„La Scali" mediolańskiej perło czarna,
Dźwięczący brązu timbrem, tonem,
O, niezrównany barytonie!
Czyś podejrzewać mógł, że pieśń twa czar ma
Prócz zwolenników, wielbicieli,
Dla tępych uszu morskich cieląt?

8

Czyś podejrzewać mógł, że twą miłością,
Twą liryką i twym cierpieniem
Jak patką walą po ciemieniu,
Że jak niewody roztoczywszy pieśni zgłoski,
Twój głos, co płynie pod obłoki,
Zgładzi sześćdziesiąt cztery foki!

9

Obcy mi jest twój temat, technika, finezja,
Lecz jakżeś swą podwójną rolą
Rozszarpał rany, które bolą!
Gdyż duszno mi od blagi stałej!
Gdyż i ja sam już nieraz bratem
Jak nerpa cięgi za mą ufność do poezji.

przełożył **Seweryn Pollak**

WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ

Fragment poematu „Dobrze"*)

Wśród takich nocy,
w takie godziny
któż
na ulice
wychodzi?
Błąkać się wtedy
może
jedynie
poeta
albo
złodziej.
Ocean mroku
na świat —
powodzią.
Siność:
w niej ogni podryg.
Poszedł na dno
podwodną łodzią
podminowany
Petrograd.
I tylko,
kiedy
ciemność burą
wicher płonący
smagał,
znów wspominałeś:
z boków
i z góry
trwa
nieprzerwany huragan.
Ciemność
i tak
jest sama
niby
ocean:
siność
i głąb.
A tutaj
jeszcze
i zwid wieloryba:
Aurory**)
zrąb.
Kulomiot
z placów
przechodniów zestrzygł.
Na wybrzeżach
ani kroku.
I tylko
stosy
syczą i trzeszczą
w gęstniejącym
mroku.
A tam,
gdzie ziemia
rozgrzana moknie,
ze strachu
albo że przeziębł,
trzymając
dłonie
w językach ognia,
grzeje się postać żołnierza.
Blask
żołnierzowi
upadł na czoło,
na włosów
legł
lok.
Poznałem
zdziwiłem się,
wołam:
„Cześć,
Aleksandrze Błok.
Futurystom w to graj.
Starzyzny muzeum
rysuje się
wzdłuż i w poprzek".
Popatrzył Błok —
ogniska gorzeją, —
„To
bardzo
dobrze".
Dokoła
tonęła
Rosja Błokowa,
„miraże",
„mgły",
„seledyny"
szły na dno,
jak idą
odłamki stalowe
albo blaszanki
sardynek.
I nagle
znowu
chmurniał oczyma,
jakby
na godach śmierć spotkał:
„Piszą mi...
ze wsi.....
puszczona z dymem...
we dworze moja biblioteka".
Zadumał się Błok —
a obok —
cień Błoka
wypatrzył się z muru,
strzelisty.
Czekają
obaj
czy cichym krokiem
przez wody
nie idzie Chrystus.
Ale
nie zjawiał się Chrystus
Błokowi.
Z ócz Błoka
zgryzota wylęgła.
Nie Chrystus —
żywi
z hymnem bojowym
ludzie
spoza węgła.
— Do broni!
Do broni!

przełożył **Artur Sandauer**

*) Rozmowa z Aleksandrem Błokiem.
**) Statek rewolucyjnych marynarzy.

BORIS PASTIERNAK

Szczęście

Ulewę wieczorną ogrody
Wchłonęły. A wniosek stąd taki:
Że szczęście tak samo nas podda
Udręce, jak chmurne orszaki.

Tak szczęście gwałtowne na pewno
Wygląda twarz w twarz — rzeczywiste
Jak ulic po przejściu ulewy
Zwycięstwo tysiąclistne.

Tam pokój zawarło. Jak Kain,
Wtłoczony tam ciepłem przedmieści,
Już grzmot zapomniany, wyśmiany
I czci pozbawiony przez liście.

Przez wyż. Kropli czkawką. I jeszcze
Tym bardziej wyraźną, że przy tym
Nie zliczyć zagajów: bo deszcze
Rozlały się w deszcz jednolity.

Po liściach napłask. W oceanie
Roztopu pączkowia. I na dnie
Szumnego adorowania
Niebiosów wyznawców przykładnych.

Gąszcz krzewów nie został wyżęty.
Krzywodziób kochliwy tak szczodrze
Nie pryska ziarnami o pręty,
Jak gwiazd rozsypiskiem — wiciodrzew.

przełożył **Seweryn Pollak**

ANNA ACHMATOWA

Pierwszy dalekonośny w Leningradzie

Już taka ludzka dola pstra,
Raptem się zmienia los —
Nadpłynął nie z ulicy miast,
Lecz i nie z pól ten głos.
Do grzmotu, co z daleka padł,
Podobny wprawdzie był jak brat,
Lecz w grzmotach wilgoć jest
Niedosiężonych, świeżych chmur
I łąk spragnionych, żyzny nurt,
— Ołuchą dla nich deszcz.
A ten dźwięk był jak piekieł żar,
Posuchą w uszy mi się wdarł,
Jak sen co dręczy nas,
Tak się rozszerzał w krąg i rósł
I dziecku memu zgubę niósł,
Bezduszny tak jak głaz.

przełożył **Eugeniusz Morski**

SIERGIEJ GORODECKIJ

Polska

Siostro nieznana, ale bliska!
Dawno już Ciebie pokochałem.
Rozwidnia polskie płomienisko,
Rówieśna łuna, Zachód cały.

Już znicza słowiańskiego blaski,
— Ledwie zakwitłe — świat olśniły.
Już słychać w głębi cisz słowiańskich
Jak wzbiera wrzenie przyszłej siły.

Gdzie poryw górny — tam jest Polak,
Gdzie nurt głęboki — tam Rosjanin.
Lecz im jednaka w dziejach dola:
— Gromowym łamać mrok łyskaniem!

O strzało Słowian! Polsko! Siostro!
— Oto już widzę łuk napięty,
Kołczan, pocisków pełen ostrych
I ramię w gniewie wyciągnięte!

O, Polsko! Jakże mi jest bliski
Żarliwy ogień Twoich marzeń
I wierność losom Twym ognistym,
Co zginąć — lub zwyciężać każą.

1910 r. przełożył **Jerzy Pomianowski**

NIKOŁAJ USZAKOW

W stepie

Wszyscy śpią,
nie podłożyli płaszczy,
niczym jest i strach i złość i ból,
księżyc mży i nocny blask rozjaśnia,
może błyski
ros,
być może
sól.
A być może,
sól i rosę razem...
Pułk żołnierzy tu pokotem legł
z przedmieść
płonących
na ostatni nocleg
wyszedł w step.
Mogą tu żołnierze spać dowoli.
Miejsca moc —
nad stepem niebios łuk.
Biegnie bodiak po szerokim polu
tylko martwych
widząc wzdłuż swych dróg.
Od jednego do drugiego biegnie,
widzi krew i liczy ilość głów
Niemców i Rumunów tu poległych,
lecz się myli
i zaczyna znów.

1942. przełożył **Eugeniusz Morski**

JAN WIKTOR

Zamek czorsztyński*)

Na dwóch przeciwnych zboczach, skałami oszańcowanych, przeciętych Dunajcem, stały zamki, spozierające ku sobie. Dwaj wrogowie w ciągu wieków, choć oba na polskiej ziemi, wśród polskich dziedzin. Oba dotrwały do dzisiaj, jeden w gruzach, drugi w znacznej części ocalały i zamieszkały, sterczący twardymi murami wśród smreków, jakby resztę swej chwały, swej przeszłości, zieloną delią okrywał.

Czorsztyn i Niedzica.

Jeden z nich samotny, górujący nad równiną, wyrosły ze skały, jakby jej wolą, jej kamiennym wysiłkiem, aby wiekową warownią się stać. Stanął u wrót przełomu Dunajca, u wylotu ważnego gościńca, wiodącego na Węgry, aby być piersią Rzeczypospolitej w pancerz kamienny zakutą, jej mieczem, gotowym do obrony. Tutaj wspierało się wzgórze wysoko, aby daleko patrzeć mężnymi oczami obrońców. Urwisko spadało ścianami w dół, łącząc się dostępem od północnego wschodu. Przez wyzyskanie ukształtowania wzgórza powstał zamek górny i dolny Stromość i przepaścistość czyniły go nie do zdobycia. Czorsztyn, wzniesiony na 588 metrowej wysokości, mógł zamknąć i przeciąć węzeł krzyżujących się dróg w dolinie od Starego Sącza, od Nowego Targu i od Starej Wsi, gościniec od Krakowa do Budy i Adriatyku, toteż zawsze, od zarania dziejów, musiał odgrywać ważną rolę jako graniczna twierdza Stał w odwiecznej puszczy sam jeden, strażnik czujny, gdyż do bezludnej okolicy dopiero w połowie XIV wieku zaczęło nadciągać osadnictwo, zakładając osiedla nad rzeką Białką i Kacwinką. Wtedy też dawał obronę osadnikom, ciągnącym w te strony i w głąb kraju

Kiedy powstał? Któż wie. Kronika ziemi milczy i żadnych świadectw nie zdradza.

Pierwsze kłody na podwaliny pod drewniany zrąb przydźwigała potrzeba państwowa obrony południowych kresów. Miał do spełnienia ważne zadanie, jako strażnica narodowa, jedna z najwcześniejszych i najważniejszych, toteż dzierżyli go w swych rękach nie rycerze, ale królewscy starostowie. Ten pierwszy, najstarszy zameczek, musiał być zbudowany z modrzewia, a może cisowych pni, w które Pieniny obfitowały, otoczony ziemnymi wałami, zjeżony ostrokołem. Podobnoć wtedy nosił nazwę Wronin, rzekomo od barwy zboczy, zarosłych ciemnym lasem. Historycy pod tym względem nie zgadzają się. Jedno twierdzą, że Wronin był to mały gródek, założony w lasach i pustkowiach, w początkach XIV wieku przez klasztor w Starym Sączu, dla zabezpieczenia zakonnych majętności, i to na wzgórzu Wzjary, rzuconym na północny zachód od skrętu drogi z Czorsztyna do Krościenka. Gustowicz podobno słyszał podanie, że na tym wzgórzu mieściło się niegdyś miasto, które się zapadło, i że w pewne dni słychać tutaj dzwonienie dzwonów. Inni twierdzą, że Czorsztyn nosił pierwotnie polską nazwę Wronin, póki nie wyparła jej obca, i ta została bardziej prawdziwa, bo była ze skały, twardości i niedostępności. A wspomnienie poprzedniej zapamiętało tylko pobliskie wzgórze. Szajnocha, pełen zawsze bujnej fantazji, którą usiłuje przejrzeć zamierzchłe wieki, chce, aby Czorsztyn był tym samym, co Szosztyn, po niemiecku Schorstein — Schornstein, po skandynawsku Skorsten, to znaczy komin. Tę nazwę nosiło wiele niemieckich miast, a też Iskorosten na Rusi, Skorosten w Anglii. A więc na podstawie tego mniema, że założycielami dzisiejszego zamku byli Normanowie. Ktoś inny dowodzi, że założycielami są Niemcy i wywodzi, że Czorsztyn znaczy to samo co Schauerstein lub Zornstein, tj. kamień z góry, lub kamień gniewu. A jeszcze inni chcą rozkruszyć tę nazwę i podają inną, a mianowicie, „diabelski gród", w starosłowiańskim języku mamy wyraz „tyn", co oznacza gród, więc nazwany był Czartowy Tyn. W ciągu wieków starły się chropowatości i wyśliznął się skrót, zrośnięty z dwóch słów: Czorsz-tyn.

Kazimierz Wielki wzniósł na stromym urwisku murowaną warownię, po której pozostała kwadratowa wieża. Od tego czasu można porównać tę twierdzę do skamieniałego lwa, który zarył się głęboko pazurami w odwieczne skały, zrósł się z nimi w niewzruszoną jedność, aby bronić wstępu do Rzeczypospolitej. Wzgórze spiętrzyło się basztami, murami. Zameczek, w czasie niebezpieczeństw, grożących od południa, zapalał smolne łuczywa wzywające do boju, i — w razie potrzeby — grzmiał salwami bitew, trwał przez wieki mocny, niezdobyty, zbudowany z czerwonego kamienia i z cegieł, jakby zbroczony krwią obrońców, przeżarty ogniem ich męstwa.

Stąd widok na Dunajec, rzucony w dole, jak miecz błyskający od wieków chwałą swego blasku, stąd spojrzenie na Tatry, na ogrom skalny, ciosami słońca wykuty. I zdaje się, że Czorsztyn po to wolny istniał na wyniosłym cyplu, po to był niezdobytą twierdzą, aby cała Polska bezpieczna i swobodna mogła od początku swego istnienia patrzeć z tych wyżyn na cud skalny, spiętrzony na południu, na swoje Tatry.

Czorsztyn gościł wielkie wydarzenia dziejowe, okrywał się splendorem odwiedzin królewskich. Wspaniałe orszaki rycerskie, zdążające za granicę, niosące łaski potężnego państwa, o ten gród zawadzały; tutaj odpoczywały też obce poselstwa, zabiegające o przyjaźń. W komnatach odbywały się ważne narady, zawierano sojusze w obliczu Tatr, ich mocy, ich ogromu. Wśród murów i na dziedzińcu rozbrzmiewał gwar strojnych panów, szczęk oręża. Z wieżyc rozlegały się fanfary, a lasy okoliczne odpowiadały myśliwskimi rogami. W zamieci dziejów spoczęło tutaj wiele zdarzeń ważnych, mających decydować o sprawach polskich.

Tędy jechała Kunegunda na ślub z Bolesławem Wstydliwym, tędy podążali sprowadzeni górnicy, mający wyrwać z podziemi bryły soli. Tutaj w r. 1241 Bolesław Wstydliwy z żoną i matką, uciekając przed Tatarami, miał schronić się w wieży południowej, gorzkie godziny spędzając. Kazimierz Wielki, odnowiciel i budowniczy zamku, kilkakrotnie gościł w podróży do Wyszehradu i do Budy, w celu uczynienia swego siostrzeńca spadkobiercą korony Piastów. Według podania i Esterka, jego miłośnica, chroniła się tutaj przed złością panów, aby sen z pieśni nad pieśniami przeżyć z królem tak hojnym w kochaniu. Tędy szedł król węgierski Ludwik, aby objąć tron polski, a niedługo potem młodziutka Jadwiga, w otoczeniu magnatów węgierskich, nie widzących rozdartego serca, nieczułych na łzy dziewczęce, którymi zlewała każdy krok zbliżający ją do starego męża. I Władysław Jagiełło, oszukiwany i zwodzony przez szwagra Zygmunta Luksemburczyka, obok przejeżdżał, aby się z nim radzić o wygnaniu Krzyżaków. Tutaj Jagiełło spotkał się z Witołdem, aby związać w bratnim uścisku dłonie mieczem grożące. A w wolnych chwilach uganiał z oszczepem za grubym zwierzem. Może tutaj, wśród skał, Witołd, ten orzeł wyrosły wśród borów litewskich, patrząc w daleką przyszłość, roił wielkie plany, chciał szponami swego męstwa roztargać odwiecznego wroga germańskiego, aby stworzyć państwo zjednoczone z wszystkich narodów słowiańskich, razem z Czechami, na wschodzie wkopane w Wołgę, a na zachodzie w Odrę. Ale arcybiskup Oleśnicki odłamywał jego szpony, wyszarpywał z piersi płomienne serce, miecz wydzierał, aby wetknąć krzyż rzymski, przetrącał skrzydła, iżby spadł z wyżyn pod stopy papieskie w proch i popiół. Niszcząc jego zamiary, krępował po wieczne czasy potęgę Słowian powrozami rzymskimi.

Pod koniec XIV wieku władał zamkiem, obdarowany przez Jagiełłę, Zawisza Czarny, rodem Czech, herbu Sulima, zespolony z innym grodem, też na cyplu werżniętym w spienione fale burzliwego Dunajca — Rożnowem. Rycerz ten, bez skazy i zmazy, wsławiony tylu czynami w wojnie z Krzyżakami, odznaczający się w boju nieustraszonym męstwem, w pokoju polorem, rozwagą i rozumem, uczestniczy w delegacjach na sobory, w poselstwach na obce dwory, do królów angielskich i francuskich.

Tu Władysław, jadąc na Węgry, pożegnał się z matką Zofią i bratem Kazimierzem, na tym wzgórzu odpoczywał przed odlotem w dalekie boje, aby za parę lat, na polach pod Warną, wylać krew swoją bohaterską, która purpurą jego sławy się stała.

Przeminął okres świetności Czorsztyna, usnął czas i leniwie wlókł się bez żadnych zdarzeń. Komnaty, kryjące wspomnienia królewskich odwiedzin, daremnie czekały z powitaniem wielkich gości. Zamek stał się już tylko siedzibą starostów, którzy w imię króla łupili poddanych, przywiązanych do jałowych pól, wydających skąpy plon. W tym okresie zdzierstw, nadużyć, gwałtów, spadających na lud wolny a niewolny, każda bryła tej ziemi płacze, każdy ślad oblewa się potem. Na mury twarde, spełniające ongiś tak ważne, pełne chwały zadanie, zlatywały ze wszystkich okolicznych wsi groźne spojrzenia, płonące głownie. Trwał zamek na skałach zamilkły, bez dawnego bujnego życia, jakby skazany na zagładę, przeklęty. Niekiedy wybuchały bunty wśród ludności górskiej, doprowadzonej do rozpaczy chciwością i łupiestwem osławionych starostów i ich sług.

Jeszcze raz się obudził zamek i zagrzmiał armatami, mającymi porwać do buntu osiedla, rozrzucone w dolinie nowotarskiej, na zboczach Beskidów. Kostek Napierski, królewski syn, może pragnący być królem wolnych chłopów! On to właśnie z tych murów chciał nauczyć wargi niewolne, uciemiężone, jęczące i przeklinające, słowa nieznanego, dopiero rodzącego się: wolność. Jednakże nie przyrosło do warg, strącone batem, tylko na chwilę zapłonęło w mrokach tych czasów, aby spocząć pod popiołami i ukryć swój żar. Królewski syn, chcący wojować „o Boga i krzywdę ludzką", myślący o zniesieniu poddaństwa, ciężarów, o podziale lasów i dóbr szlacheckich, słał listy zwołujące do zbrojnego czynu: „jest wola boża, a nie inna, aby tak wielkie zbrodnie ukarane zostały, co daj Boże, aby bez rozlania krwi chrześcijańskiej...", „aby sobie przypomnieli wszystkie krzywdy, które mają od panów swoich i jako ubogi lud jest utrapiony i uciążony...".

Chciał stąd wyjść na czele wolnego ludu pod Kraków, w całą Polskę, rzucając żagiew, aby wiecznymi niewolnikami u swych panów nie zostawali... „Mają-li oni was w niwecz obracać do ostatka, lepiej, że wy ich obrócicie. Już się Was dosyć namordowali ci Pankowie, że też już głos wasz płaczących o pomstę na nich do Boga woła"...

„Z nieograniczonej swawoli i łupieskiej gospodarki" wyrósł bunt niebezpieczny, grożący pożarem całej Rzeczypospolitej. Wzywany lud zbroił się w to co miał: siekiery, nienawiść, cepy i zemstę. Kostka Napierski zawładnął królewskim zamkiem na krótko, aby stąd słać manifesty, rzucać głownie swych nakazów w uśpione, pogrążone w martwocie wsie i czekać na tysiące zbuntowanych, biegnących na wołanie. Kazał im samym wyrąbywać się z ucisku, rozcinać więzy wrośnięte w żywe ciało, w rany krwią zbroczone. Głuchota odpowiadała na wezwanie. Aż ją przerwał tumult oblężenia, więc Kostka odpowiedział tym, czym mógł: bohaterstwem młodości. Pociski praworządnego wojska prały w baszty i odpryskiwały od nich jak strzały od stalowej zbroi. W odpowiedzi grzmiały też po swojemu zbuntowane mury. W chwilach niebezpieczeństw nadal wołał o pomoc, słał nakazy, jak zapalone snopy, wichrem wyrzucane z płonącej stodoły. Ciemna noc nie zobaczyła gorejących łuczyw. Czekał daremnie patrząc na łańcuch królewskich Tatr i w odmęt Dunajca, błyskającego wśród skał, jak miecz, porzucony przez bezbronne ręce. Mimo wszystko nie tracił ducha. W czasie łoskotu bombardowania, kruszącego mury, pisał ucieszne poema i pamiętne wyzwoleńcze uniwersały, przemawiające mocnym głosem nieznanej wówczas wiary, w słowach krzesił ogień, mający spalać i rozniecać.

A działo się to w przejściowym czasie, kiedy kończyła się wiosna, a poczynało się lato, kiedy pługi zeszły z kamienistych zagonów, a żeńcy jeszcze nie zaczęli żniwa. Twarde lemiesze z bukowego pnia nie krajały ziemi, boby może pod skiby padło to wezwanie, aby kiedyś wystrzelić płomienistym kłosem.

Niedługo trwała bitwa od razu przeznaczona do przegrania. Ci, którym darował życie, dla których wojował o wolność, wydali go podstępnie, aby siebie ocalić od szubienicy. Z murów, wsławionych epopeą Napierskiego, z pagóra czorsztyńskiego, okrytego jego chwałą, chłopskie ręce przeniosły związanego dnia 24 czerwca na inny pagór: na ostry, sosnowy pal na Krzemionkach.

Ręce zdradzieckie, mające pognębić, wydźwignęły go wysoko, tak wysoko, że go do dziś wieki widzą od dnia egzekucji, dokonanej 28 lipca 1651 roku, kiedy snopy zbierano do stodół, a złociły się ścierniska czekające na pług i siew. I chłopi, prostując grzbiety, trzymając w garściach zboże, może znad sierpów spojrzeli, oczami zalewanymi potem, na Krzemionki i zobaczyli skrwawiony snop ludzkiego ciała, wbitego jakby na widły...

Krwią z mężnego serca bluznął w całą Polskę, a ogniem chlusnął we wsie. Na wzgórzu hańby Kostka Napierski rozpostarł szkarłat zbuntowanego imienia pod wspaniałą legendę, aby stać się pokarmem dla dusz chłopskich, zarzewiem i natchnieniem. Dzisiejsza poezja rzuciła poematy na to wzgórze, uwieńczyła nową prawdą o bohaterstwie, mimo że i spod pióra dawniejszych poetów, nie znających prawdy, wymknęły się słowa bezwzględnego potępienia: „między tymi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski bandyta".

Żyjące pokolenie wygrzebało spod rumowisk opowieść o tym, który pierwszy chciał zniweczyć chłopską krzywdę i mężnie cisnął ją na widownię dziejów Polski, podjęło to imię, przez wiatr dziejowych przeznaczeń wyrwane z czorsztyńskiego zamku, aby przypomnieniem jego myśli i zamierzeń podpalić zrąb Polski.

Ruiny zburzonego zamku zapamiętały każdym kamieniem opowieść o tych czasach i wydarzeniach, w przepaść wieków ją wykrzyczały, aby nasze serce zapamiętało, aby nasze usta wyszeptały: Kostka Napierski.

Corocznie odlatywały radosne, słoneczne wiosny, ale w chatach trwał niezmiennie ten sam ucisk, na polach ten sam chłop, z pokolenia na pokolenie, jednako łupiony, z grzbietem pochylonym pod bat, szedł za pługiem, nie mogąc przeorać twardej doli, nie mogąc dotrzeć do kresu udręki. Każdego niemal ówczesnego starostę można nazwać, według słów historyka: „zdzierca, ciemiężyciel biednego ludu". Sołtysi i wybrańcy, mieszkańcy wsi zamkowi podlegających, wnosili skargi. prośby pełne jęku i boleści, „że starostowie wielkie im krzywdy czynią i na wiele rzeczy ciężkich i niesłusznych przymuszają", „nad zwyczaje ich dawne, dekretami królów zatwierdzone, na roboty i wożby niezwyczajne ich wyciągają, także podatki i daniny większe niźli przedtem, kiedy płacili, albo płacić są winni, na nich kładzie". Stawali przed sądami królewskimi z zaciśniętymi pięściami, z pomstą na ucisk, który „z krzywdą i ubliżeniem praw im się dzieje". Król brał swych poddanych w obronę, zabraniał nadużyć, nakazywał spełniać tylko należne powinności, upominał, aby „poddani królewscy nad prawa i powinności swe do niczego nie byli pociągani, ale przy prawach, zwyczajach, powinnościach starodawnych cale zachowani byli, i tak, żeby króla już więcej skargami swymi molestować przyczyny słusznej nie mieli" — dodając, że „każdemu wolna do króla, jako zwierzchnego pana ucieczka".

Ale słowa królewskie nie dotarły na dworzec starosty czorsztyńskiego, mówiącego, że on „tu królem i biskupem", i w niczym nie ulżyły w ciężkiej doli. Owszem, tym większy ucisk pociągały, rozogniony zemstą, nowe gwałty i zdzierstwa. Jeszcze dzisiaj, synowie tamtych, pańszczyźnianych ojców, znajdują w skrzyniach owe skargi, pisane krwią z ran od batów. One krzyczą, płaczą i przeklinają pismem spłowiałym, zmytym łzami, palonym żarem ócz. Synowie czytają z zaciśniętymi pięściami.

Ciszę zamku czorsztyńskiego przerwała gościna Jana Kazimierza, uchodzącego przed Karolem Gustawem we wrześniu 1655 r., na tułaczkę. Wzgórze rozbłysło zbrojami, zatętniło łoskotem kopyt i żałosnym gwarem rycerstwa, towarzyszącego królowi. Tutaj król oddał w opiekę skarbiec koronny Jerzemu Lubomirskiemu, później przechowany w Lubowli.

Potem już coraz bardziej chylił się do upadku ten gród tak znienawidzony i przeklinany, trwający mocą Kazimierzowskich murów. W r. 1769 przypomniał sobie swoje dziejowe zadanie z okresu najświetniejszego, dając schronienie konfederatom barskim, usiłującym zasłonić rozpaczą oręża przepaść, w którą spadała bezsilna, ginąca Polska. Za słaby pomost, zbyt wielki ciężar nieprawości. Jak w wielu pogranicznych miejscach Podhala, tak i tu zagrzmiały ich pieśni bojowe i załopotały biało-czerwone chorągwie aż legły wytrącone z martwiejących rąk.

Pod koniec istnienia Rzeczypospolitej, piorun, może wyręczając mściwość chłopską, podpalił tę budowlę, będącą symbolem skamieniałej krzywdy. Z błyskawicy buchnął pożar, strawił wiązania, drewniany dach, zostawiając martwy, okopcony szkielet, porzucony na wzgórzu, patrzący resztą otworów okiennych, podobnych do pustych oczodołów. Potem już cisza, zniszczenie. Nikt nie dźwigał z ruin, nikt nie usiłował odbudować. Pognębiony ginął, skazany na zagładę ludzkim przekleństwem.

Dzisiaj słowa struchlałe drżą w izbach:

„Pomsta była na każdym kamyku i na każdej grudce ziemi. Zamek przeklęty był przez wszystkich. Jak się kto sprzeciwił, to zaraz go karali śmiercią, i to nie zwyczajną, ale go wsadzili na dół głową do komina i tak go dymem dusili, aż go zadusili. Inną też korali śmiercią. Wzięli, zawiązali chłopa w snopek słomy i piłą po kawałku odrzynali, najpirw nogi i tak dalej do góry przez brzuch, do karku, do głowy, aż go całego porżnęli. A jak który lżej zawinił, to go zaraz hajduk batem okładał".

Klechda ludowa rzuca przed oczy owe krwawe snopy, toteż chłop patrzy dzisiaj zupełnie obojętnie na zniszczenie, na ruiny, jakby na przeklęty szkielet, ziemi powierzony, w czeluści piekielne rzucony.

Rozpadł się zamek, jego chwała, moc, potęga budowana wiekami. Wystercza reszta pogruchotanych murów, leżą podarte ściany zwalone na sterty rumowisk, obrosłych zielskiem. Z tych stert ongiś chłopi brali cegłę, kamienie, kafle, resztę szacownej budowli kładli na podwaliny pod stajnie, pod kurne budy.

Nie można poznać gdzie brama, gdzie wieża, gdzie komnaty, czy były strojne stropy, zdobne odrzwia, gdzie gotyckie portale, gdzie wspomnienia Kazimierzowskich upodobań, gdzie moc baszt, gdzie wirydarzyk, na którym ręce starościanek pielęgnowały rutę i lawendę. Spod ostów, pokrzyw i łopianów, spod kamieni wysypują się cegły, jakby wybroczona struga krwi pogrzebanej pod rumowiskiem.

Jeno kamienie żyją opowieścią zawsze żywą, zawsze prawdy pełną, jeno ruiny pozostały, aby zaświadczyć, że przemija wszystko, co zdziałane przez dumę ludzką. Czasem chciało by się podjąć głazy, pamiątki przeminionych czasów, uświęcone znojem rąk niewolników, którzy skałę łamali, wiązali na moc, na obronę tych kresów.

Dzisiaj włada tymi resztkami „kasztelan", syn pańszczyźnianego chłopa, łupionego i wzgardzonego, znający dzieje niemal każdego kamienia, jest ich kroniką i opowiada o dziejach zamku, o zdarzeniach zapomnianych, przebrzmiałych, zamierzchłych. W słowach piewcy tych czasów brzmi tętent koni, chrzęst zbrojnych orszaków, błyski mieczów, przepych ich czynów. Czasem wiedzie w głąb cienistych zagajników, na zapomniane polanki i szepce tajemniczo:

— Wiem gdzie leży Esterka, ale nie powiem, choćby mi dali taką stertę złota jak ta góra. Ja pilnuję grobu. Choć ona Żydówka, ale króla miłowała, to trzeba się za nią pomodlić... Wiem, gdzie schowana korona króla Bolesława, cała ze złota i drogich kamieni, od diamentów aże oczy bolą, tak się śklą, ino mi zdradzić nikomu nie wolno...

*) Fragment większej całości.

Bosymi stopami d pce zieleń traw i kwiaty, może te same, które deptał Kazimierz idąc z Esterką po ścieżkach samotnych, wiodących na szczyty, do miejsc uroczych. Może te same kwiaty cieszą nas swymi barwami, które ongiś cieszyły królewskie oczy, patrzące na piękno tej ziemi, może ten sam ptak śpiewa swoją pieśń, płynącą z rozmiłowanej na wiosnę piersi.

A ten kasztelan łyknie czasem z flaszki, otrze gębę, zamruga ślepkami i szczerzy zęby:

— Słysycie?

A moje słonecko, cegos się oglondos?
Cy ci zol połednia, cy wiecora zondos?
Połednia mi nie zol, wiecora nie zondom
Ino sie na ciebie dziewcyno oglondom.

A z oddali spada śpiew:

Ciebie kocho miesionc, mnie kochają gwiozdy
Ciebie kocho jeden, a mnie kocho kozdy.

Przelatującym obłokom smutnie oznajmi dziewczęcy głos w skardze:

Dana ino dana, pod kopecką siana
Styrech parobecków, a jo ino sama.

Ktoś huknął w odpowiedzi:

Moje dziwce co ty mos
Co fartuskiem przykrywos?
Mom majeron i cyprys
Chodźze chłopcę, dom ci tyz.

Kasztelan podrzuca kapelusik i śmieje się.

— Kozdy mo swoją Esterkę. I król rad by posłuchać. I Kazimierz lubioł dziwki i z jego ziorek te śpiwki tłuką się po ludziach i po wirchach. Wicie, tu juz takie miejsce do lubienia.

Siedzi ptasek na liście
Syje bucik Jagnisce
Jagniska się raduje
Nowe butki obuje.

— A teroz wom jesce zaspiwom, ino sie nie gniwojcie, bo to grzecne, ino z wirchu grzysne takie, cobyście inacej pomyśleli:

Widzioł ci ji widzioł carną obrośniętą...

zamilkł nieco i szmyrgnął ku słuchaczowi filuternym spojrzeniem, nabrał głosu i dokończył:

Owieckę na kołku w komórce zarzniętą.

A rzeka w dole szumi jednako płynąc wśród skał od wieków. W oddali jednako urzekają Tatry swą pięknością królewską, przez wszystkich uwielbianą.

Tutaj rozpościera się milczenie, cmentarz. Powiewy idące z hal przynoszą woń i ruiny pachną podmuchami kwitnącej wiosny.

Gruzy na gruzach leżały w zakopie,
Wokoło strasznie, ponuro, spokojnie,
Jakby po pogrzebie, jakby po potopie,
Jak po powietrzu lub po długiej wojnie

mówi po staroświecku zapomniany poeta na widok ruin.

Zamek legł w gruzach, aby już nigdy nie odrodzić się, nie dźwignąć z pognębienia. Cegły, wypalone w znoju chłopów pańszczyźnianych, kamienie, ich pazurami wyłupane ze skał, dzisiaj kruszą się, toczą po urwiskach, zasypując rowy i fosy. Czasem zadudni ciężki odłam, czasem pojedyncza cegła jak czerwony skrzep ciśnięty w chwasty. Wciąż coś się odrywa i odpada.

W nocy słychać łoskot, jakby samotne, opuszczone ściany kamiennymi łzami płakały... Nikt nie widzi nędzy ruin, nikt nie słyszy, kiedy w kamiennym płaczu rozpada się wiekowe zamczysko. Nikt też nie żałuje łez umarłych, przeklętych murów.

W ciemnościach ledwo widać bosego chłopa, błądzącego po ruinach, podobnego do ducha, odprawiającego pokutę na cmentarzu dawnej świetności. To strażnik, to kasztelan tego miejsca, czasem staje wśród murów, ze wzrokiem utopionym w niebie. Wtedy na jego wargach zjawia się uśmiech jaśniejszy, jakby srebrny promień rozprysnął się w słowach.

— Jo, syn gwiozd.

Szczawnica, 1935 **Jan Wiktor**

JAN DOBRACZYŃSKI

Ostatni odwrót

...Czarna dziura w bruku. Nogi poszukują stopni. Potem coraz niżej i niżej w głąb. Znowu dramatyczna wyprawa w trzewia miasta. Niebo ginie zgaszone smugą promienia latarki. Niski, lecący w dół korytarz. Sylwetka człowieka, który idzie przed nami.

Po stu może metrach schodzenia w półzgięciu wychodzimy na wyższy korytarz. Stoi w nim cały tłum ludzi. Dopytują się o przewodnika. Naturalnie przewodnika nie ma. Wąż ludzi rusza niepewnie ku przodowi. Większość jest po raz pierwszy w kanale.

Idziemy, idziemy. Nad nami drży ziemia od huku wystrzałów. Od przodu biegnie ciągle ostrzegawczy szept: „Ciszej! jesteśmy pod Dworkową!" Co chwila stajemy. Gdy stanęliśmy, słychać plusk płynącej prędko wody. „Puścili wodę!" — ktoś mówi. Dreszcz przebiega poprzez stłoczonych ludzi. Nagle wszyscy zawracają i zaczynają się przepychać do tyłu. Szept rośnie, biegnie od człowieka do człowieka: „Prędzej! Niemcy w kanale!" Zaczyna się panika. Poczynam krzyczeć: „Spokój! Jesteśmy pod swoimi! Nic nam nie grozi!" Tłum tkwiący w mrocznym korytarzu staje posłusznie. Jest przeraźliwie bierny — przeraźliwie wystraszony.

Jacyś ludzie przepychają się ku przodowi — jest wśród nich podobno przewodnik. W każdym razie po chwili ruszamy. Padają komendy: „Nic nie mówić! Nie palić świateł!" Przede mną idzie Oleś. Myślę z niepokojem, że jeszcze przed tygodniem miał atak malarii. Czy zdoła przenieść trud podróży kanałem?

Idziemy i idziemy. Czas biegnie, droga przez kanał wydłuża się w nieskończoność. Zdą się, już powinni byliśmy przejść pół drogi. Zaczynają się mostki. Innych trudności jeszcześmy nie spotkali.

Kanał staje się szeroki, duży, wygodny. Pamiętam go z wędrówki w tamtym kierunku. Woda, która poprzednio sięgała nam tylko do pół łydki, zwolna rośnie. Niedługo mamy już jej do kolan, potem wyżej. Pada komenda: „Teraz cicho! Absolutna cisza! Jesteśmy pod Szucha! Wziąć się za ręce! Zgasić światła!" Zapada ciemność. Trzymamy się za ręce. Zimna woda, w której stoję, wywołuje dreszcze. Stoimy i czekamy. Nie wiadomo na co. Czas wlecze się leniwie a może pędzi lotem strzały. Nie wiem. Wiem tylko, że mi jest strasznie zimno i że mi cierpną ramiona od dwóch chlebaków, które mam na sobie. W końcu ruszamy. Idziemy wolno, krok za krokiem. Co chwila szept ostrzegający: „Absolutna cisza!" Pochylamy głowy jeden ku drugiemu, by tę aż do znudzenia powtarzaną komendę wyszeptać. Woda rośnie. Sięgnęła już do pół łydek, dochodzi do bioder. Jest zimna, czarna, cuchnąca. Czy to jej zgniły cuch wyciska łzy z oczu? Nie wiem. Lecz łzy poczynają mi zalewać oczy. Nie mogę ich obetrzeć, mam dłonie brudne od opierania się o ściany kanału. Łzy płyną mi strugą po policzkach, po nosie; w gardle pojawia się metaliczny smak. Zaczynam rozumieć co to takiego. Chcę przyciągnąć do siebie głowę Olesia i powiedzieć mu, że jesteśmy w sferze działania gazu. Ale po co mam mu to mówić? Po co mam się w ogóle odzywać? O wiele lepiej iść biernym, martwym krokiem. Woda sięgnęła już do pasa. Ohydne uczucie czuć jej zimno na brzuchu. Idę na palcach, ciągle wolno, ciągle w ciemnościach. Przed zalanym łzami wzrokiem pojawiają się złote koła. Myśl poczyna pracować leniwie a mimo to dziwnie jasno. „Patrz, patrz, patrz uważnie" — powtarza we mnie jakiś głos. Będę miał kiedyś — myślę — dużo do opowiadania o tej przeprawie. Znowu złote koła przed oczami. Potykam się... Nagłe otrzeźwienie: aha, jestem w kanale, ciągle idziemy. To jeszcze nie koniec. Koniec...! Dreszcz obrzydzenia na myśl, że końcem mogłoby być zanurzenie się w tej zimnej, śmierdzącej wodzie. Lęk, który zaraz gasi apatia i zniechęcenie. Wszystko jedno... Wspomnienia gasną, modlitwa zamiera na ustach. Może jedno jest tylko żywe, może o jednym się tylko pamięta: o delikatnym zapachu włosów dziecka... Tamta delikatna woń i ten zabójczy smród. Tamta woń piękna jak miłość... Szum rzeki, złote słońce przeświecające przez dębowe liście... Dużo złotych kół, piekący ból w oczach, które zdają się płakać żywą krwią. To ciekawe, czy można przejść przez tę falę gazu? Nogi drętwieją, z trudem idę na palcach. Muszę przejść... Aha: woń piękna jak miłość. Dzieci! Gdzie jesteście? Jesteście mi całą miłością i całą obroną przed miłością. Jakie jest dotknięcie waszych rączek? Już nie pamiętam... Nie mogę się modlić... Zdrowaś Mario... Złote koła...

Blask światła przede mną! Może o sto metrów, może bliżej. Widzę ściany kanału, sznur sylwetek z podniesionymi rękoma. Na przedzie coś niby barykada: worki, szyny, belki. Ach, tak, to musi być jedna z barykad, które zrobili Niemcy. Idziemy ku niej zwolna. Myśl sprężyła się w oczekiwaniu. Łzy płyną, tryskają po prostu z oczu. Nad nami wyłaz: klapa zamknięta i uszczelniona papierem. Ludzie wynurzają się z wody, wspinają się na worki. Żeby tylko nie upaść! Chwytam się szyny, dźwigam się do góry. Mokre ubranie lepi się do nóg. Trzeba przeleźć pod pętlą kolczastego drutu. Schylam głowę. Zawieszone na szyi parabellum wypada zza pazuchy i buja się na rzemieniu. Za barykadą woda niższa, powietrze nieco świeższe. Tłum ludzi poszedł dalej w mrok kanału, nie czekając na marudnie przełażących przez barykadę. Trzeba przyśpieszyć kroku, prawie biec. Biegniemy razem z Olesiem. Zdala płonie lampka, rozjaśnia, zda się rozszerzać zamykające nas ściany kanału. Wydaje się, że my tu idziemy wąskim lochem, a tam, dalej, znajduje się obszerna pieczara pełna powietrza... Złudzenie! Blask oddala się coraz dalej, ucieka razem z oazą odpoczynku. Nagłe zatrzymanie! Stajemy. Ciało drży, wilgotny, lepki chłód wędruje wzdłuż nóg. Teraz kiedy ręce są brudne i okrwawione przedzieraniem się przez barykadę i nie nadają się do obcierania twarzy — policzki, nos, czoło zaczynają swędzić. Przestępujemy z nogi na nogę, opieramy stopy o ściany, by nie tkwić stale w błotnistej wodzie. Wciąż czekamy. Może to trwa kwadrans a może trzy godziny... Czas przestał istnieć. Drżę, że Oleś nie wytrzyma. Nie mam odwagi spytać go o to, jak się czuje. Ludzie przed nami walą się ciężko w wodę: jedni siadają, inni kładą się. Zrywa się poszum głosów: „Na co czekamy? Idźmy! Dalej! Naprzód!" Od przodu przychodzi ostra komenda elektryzująca wszystkich: „Cicho! Właz otwarty!" Gdzieś nad nami jest otwarty właz, przy włazie, niewątpliwie, czekają Niemcy. Więc cicho! Cisza jednak nie trwa długo. Znowu rwą się głosy: „Idźmy naprzód!" Odpowiadają im inne nawołujące do milczenia: „Właz otwarty! Niemcy przy włazie!" Ohydne uczucie wciśniętego w ciasną jamę zwierzęcia, na które czyha krwawy drapieżnik. Ach, przestrzeń — jakżeż tęsknimy za tobą! Lecz tu właśnie nie przestrzeń ale ciasnota. Widzę przed sobą zmęczone oczy niemieckiego żołnierza — naszego jeńca — z którym rozmawiałem parę dni temu. Leżał bezsilnie w piwnicy domu na Tynieckiej. Jego twarz ma kolor źle spranej bielizny. Przyprowadzili go ze sobą „Radosławowcy". Zepchnięci na ostatni odcinek Powiśla wokół włazu, musieli jeńca trzymać w kanale. Spędził w nim dwa dni. To było niewątpliwie straszne. Wyczytałem wtedy tragedię tych godzin z jego biednych chłopięcych oczu. Teraz pojąłem ją jeszcze lepiej.

Znowu to czekanie bez końca. Łzy płyną po policzkach, spadają na obłoconą kurtę. Lekkie właściwie chlebaki ciążą ołowiem. Kark boli — bolą nie wiadomo dlaczego łuki nadoczne. W skroniach szum jak po dobrym, musującym winie. Znowu pojawiają się złote koła a razem z nimi kusząca bezwładem toń snu. Nogi wiotczeją, wygięte ściany kanału zdają się być miękkim sianem, w które tak dobrze się zapaść i spać, spać — aż do zapomnienia.

Nagłe drgnienie. Czy to sen? Sznur ludzi rusza w mrok. Wolno, cicho krokiem ledwo żywego ze zmęczenia, ale wciąż jeszcze czujnego zwierzęcia. Kroczymy dalej i dalej. Komenda od przodu: „Absolutna cisza!" Potem znowu szept: „Żadnych świateł! Iść cicho!" Skradamy się, mimo to woda chlupie pod nogami. Błękitnawy blask w górze. Zdradny, niewyraźnie majaczący, tchnący grozą ale jednocześnie — oddechem nocy. Otwarty właz! Każdy z nas idzie sprężony z głową w górze. A jeśli polecą granaty? A jeśli poleje się benzyna? Minęliśmy okno w górze. Najgroźniejszy moment ten, gdy już nie widząc otworu, a wciąż się go jeszcze czuje nad sobą. Krótki moment, ale przejmujący. Poszliśmy dalej.

Idziemy, idziemy. Przede mną sylwetka Olesia ze swetrem uczepionym u pasa. Ciągle niespokojna myśl: jak on to znosi? Potem pełna ciekawości uwaga: ile to już czasu może trwać? Cztery godziny, pięć godzin? Z nową gwałtownością poczynają płynąć z oczu łzy. Znowu metaliczny smak w ustach, złote koła, szum w skroniach, upijająca senność. Ach, zasnąć! Woda przestała śmierdzieć. Jest czarna, zimna, coraz głębsza a mimo to coraz bardziej kusząca. Znowu wędruje w górę wzdłuż łydek, ku kolanom, ku udom, ku brzuchowi... Woda zda się zapraszać, by się w nią zanurzyć. Ma smak bogatej w sny nocy. Ma smak bogatego w miłość mroku. Czerwiec, lipiec... Różowa magnolia kwitnąca płomykami kwiatów... Gęsty kasztan zwisły nad furtką... Wino ogarniające falą ściany domu... Szybkie kroki na pustej uliczce... „Czekam na ciebie... cierpliwa jak noc..."

O cierpliwości godzin czekania na miłość! O miłości nadchodząca zdradnie a tak czarownie wszystko tłumacząca! Tak mało zda się żądasz, by potem nieoczekiwanie okazać swoją siłę. Tak mało żądasz — tylko prawa do tęsknoty — do dawania — do zrozumienia... Miłości — twe imię — to noc...

Złote koła, nagłe potknięcie się osłabłych nóg... Gwałtowny poryw woli: muszę żyć!

Muszę żyć! Muszę żyć! Gdzieś czekają na mnie dwie kruszynki ludzkie, które Bóg i ja stworzyliśmy. Bóg i ja! To dziwne, ale ja wiem, że one żyją. Ja wiem, że na mnie czekają. I wiem, że mnie potrzebować będą. Ja wiem, że za ich życie odpowiedzialny jestem tylko ja!

Idę dalej, strącam z siebie pokusę nocy, miłości i śmierci. Tyle razy już wracałem po ścieżkach własnych tęsknot — wrócę i ten raz jeszcze. Życie jest — dla mnie przynajmniej — wielokrotnym wracaniem. Do tego co kocham — od tego co kocham... Od nadmiaru — w pełnię...

Woda znowu sięgnęła po pas. Idziemy jak przedtem, trzymając się za ręce. Tętna biją, szum w skroniach... Tylko zimno zniknęło... Druga z kolei barykada pod zamkniętym i uszczelnionym włazem. Tym razem łatwiejsza do sforsowania. Idziemy dalej...

Ciągle idziemy. Szeroki — i na szczęście — wysoki kanał wyciąga się w nieskończoność. Jest to ciągle ten sam kanał, którym szliśmy przed trzema tygodniami. Lecz gdzież on prowadzi? Wówczas droga zaczynała się na Czerniakowie — teraz więc tam powinna się skończyć. A Czerniaków — to przecież Niemcy!

Idziemy naprzód, ciągle mniej pewnie, coraz częściej wymieniamy między sobą niespokojne uwagi.

Stanęliśmy. Stoimy długo. Może godzinę, może dwie. Znowu ludzie ciężko walą się w wodę lub ciężko wspierają się o obłocone ściany. Podobno przewodnicy poszli naprzód szukać drogi.

Czas płynie. Ktoś mówi, że jest już czwarta. Być może. Siły spływają wolno z człowieka razem z kroplami potu, który się perli na skroniach.

Nagle za nami przerażający dźwięk: niby łoskot pędzącej wody. Na szczęście wiem co on oznacza: to idzie kolumna ludzi, zaś chlupot wody pod nogami urasta w grzmot w wąskich ścianach kanału. Czekamy długo, zanim wreszcie tamci doszli na ogon naszej kolumny. Przed ich dojściem chwila emocji: a nuż to Niemcy zeszli w kanał. Ale próżne obawy: oni tu nie zejdą.

Wymiana zdań: kto wy jesteście? Kto są tamci? Za nami oddział „Radosława". Jeden z oficerów tego oddziału twierdzi, że zna drogę do śródmieścia. Mówi pewnie i stanowczo i za chwilę podąża do przodu. Trójkątna, ciemna twarz pod banią hełmu, „tygrysia" bluza, wysokie buty. Woła pełną piersią do tyłu na któregoś ze swoich towarzyszów. Mówimy, by dbał o ciszę. Odpowiada na to zuchwałym śmiechem.

Po chwili ruszamy wszyscy naprzód. W pobliżu rzeczywiście skręt w lewo. Wąskim, biegnącym stromo w górę kanałem śpieszymy naprzód. Prawie biegniemy. Ogarnął nas zapał, już wydaje się nam, że nadszedł koniec naszych trudów.

W górę, w górę, ciągle w górę. Zwolna kanał przybiera kierunek równoległy. Po chwili stajemy. Wydaje nam się, że mamy tylko chwilę czekać na tych co zostali w tyle. Czekanie przeciąga się jednak nieskończenie długo. Jednocześnie od czoła padają komendy: „absolutna cisza!" Nie potrzeba zresztą wezwania: poprzez mury kanału słychać dźwięk ulicy. Nie wiem jak to być mogło. Kanał w tym miejscu przechodził pod Górnośląską. Dźwięki natomiast zdawały się dochodzić z boku. Rzec by można, dzieliła nas od ulicy cienka ścianka, za którą maszerowała kolumna niemieckiej piechoty, słychać było głosy komend, turgot jadących pojazdów, a wreszcie — niekiedy — metaliczny dźwięk, podobny do teatralnego gongu. Może to wielki zegar wybijał gdzieś godziny, ale w naszym położeniu jego dźwięk nastrajał przygnębiająco. Po prostu wydawało się nam, że już nastąpił koniec, że już nie ma siły, która by nas potrafiła doprowadzić szczęśliwie do końca.

Znowu czekamy długo, nieprawdopodobnie długo. Na szczęście tu już nie ma gazu, woda jest płytka, kanał dostatecznie wysoki, że można w nim stać bez pochylenia. Sznur ludzi stojących w ciemnościach ciężko dyszy. Wysiłek jest ponad siły. Wiemy, że jest już godzina szósta czy siódma rano...

Co pewien czas wąż czekających drga i robi kilka kroków do przodu. Z czasem zorientowałem się, że w ten sposób idący posuwają się naprzód. Po paru godzinach żółwiego kroku dochodzimy z Olesiem do miejsca pełnego grozy. Jest to wielka nisza, oświecona błękitnym blaskiem płynącym z otwartego włazu. W dole jakieś worki z piaskiem, między nimi czerni się mały otwór. Stoimy w korytarzu pełni śmiertelnej ciszy. Kolejno, pojedyńczo wchodzimy w blask ziejący z włazu, pochylamy się, zanurzamy w czarny otwór. Widzę sylwetkę Olesia jak ostrożnie schyla się, wczołguje się prawie między worki. Teraz ja. Kanał za włazem jest tak niski, że trzeba się w nim czołgać. Jednocześnie jest szeroki i kończy się prawie pionową ścianą wznoszącą się ku górze. O ścianę oparta jest drabina, po której podpierani z dołu, wyciągani za ręce z góry wspinają się ludzie. Przy drabinie dziki wrzask, nie licujący z grobową ciszą, którą o kilkanaście metrów dalej kazano nam zachowywać. U góry nad drabiną, w blasku lampy oficer w furażerce, który krzyczy jak opętany. Podobno jest to jakiś por. „Hipolit" czy coś podobnego. Słyszę jego wrzask: „Teraz siostra Zofia! teraz siostra Zofia! nie puszczę nikogo innego!" Oleś, który już stał na drabinie, został z niej brutalnie zepchnięty. Czekamy na ową siostrę Zofię, znajdującą się gdzieś w tyle — czekamy leżąc na brzuchu w błocie, ledwie utrzymując twarz nad jego powierzchnią. Nareszcie jakaś kobieta czołga się między nami, wchodzi na drabinę. Okazuje się, że to nie jest „siostra Zofia", ale jakaś inna „siostra" — to jednak zaspokaja por. „Hipolita". Po wyciągniętej wśród idiotycznych śmiechów kobiecie wspinamy się my. Nad nami pionowa, kamienna bariera, od niej w prawo niski korytarz, w którym trzeba iść w półzgięciu. Woda do kolan. Posuwamy się jednak szybko, prawie biegniemy. W głębi widać blask otwartego włazu. Podobno to już. Ogarnia nas podniecenie — siły wróciły. Prędzej! Poganiamy idącego przed nami gamoniowatego sapera z oddziału owego „Hipolita". Właz otwarty, ale jeszcze nie dla nas przeznaczony. Mówią o tym napisy kredą na ścianie kanału. Więc dalej! W głębi znowu widać otwarty właz. Gonimy naprzód. Wydobywamy z siebie wszystkie siły. I znowu zawód. Mimo to nie tracimy humoru. Wiemy przecież, że to już koniec, że znajdujemy się pod swoimi. Przez otwarte włazy spływa na nas z góry blask szarego, dżdżystego dnia. Jest ósma. Jeszcze jedna plama blasku na korytarzu. Prawie biegniemy. Tym razem to już naprawdę koniec. Obłocone buty na stopniach wyłazu. Z góry lecą z ubrań strugi brudnej wody. Teraz ja. Ręce drżą, czuję straszne zmęczenie, ledwo potrafię ciągnąć w górę ciało. Wynurzam głowę z włazu. Jestem w Alejach naprzeciwko wylotu Wilczej. Dwóch żołnierzy w hełmach stoi przy wyłazie. Chcę zwrócić się w Wilczą. Jeden z żołnierzy wskazuje mi ręką bramę domu po przeciwnej stronie Alej...

EUGENIA KOCWA

Jedziemy na Dolny Śląsk*)

W LIGNICY

Do Lignicy jechałam z pewnym uprzedzeniem. Poprzedził ją bowiem dość smutny rozgłos. „W Lignicy wysiedlają Polaków". „Jakaż ta Lignica brudna!" „Tam to już w ogóle nie ma po co jechać!" Lignica taka, Lignica owaka. A ulicą to w ogóle przejść nie można. Słowem o tej Lignicy słyszało się wszystko co najgorsze.

Może dlatego właśnie wrażenie, które z niej wyniosłam, było prawem kontrastu raczej korzystne. Prawda, że obszerniejsza i ładniejsza część Lignicy, w której początkowo licznie osiedlili się Polacy, została zajęta na kwatery dla wojsk sowieckich w związku z przybyciem sztabu marsz. Rokossowskiego. Ale i to jest również prawda, że w pozostałej części Lignicy też się Polacy wcale nieźle urządzili. I tutaj też jest dzielnica willowa. W ładnych obszernych willach nie rzadko mieszka tylko jedna rodzina.

Jeśli ktoś będzie w Lignicy, to bardzo mu radzę zajść na ulicę Emdenweg pod nr. 9. Tam może nie tylko zjeść doskonały obiad lub kawałek tortu i napić się pierwszorzędnej kawy, lecz w dodatku mieć przyjemność rozmowy z właścicielką, wysiedloną Warszawianką. Dzielna ta kobieta opowiadała mi, że obecne mieszkanie jest już siódmym z rzędu Pierwsze mieszkanie musieli opuścić (jest tu z mężem i czteroletnim dzieckiem), ponieważ dom zajęto dla zarządu miejskiego. Wówczas powiedziano im: „Wybierajcie sobie co chcecie, cała Lignica stoi przed wami otworem, ale to mieszkanie musicie opuścić, ponieważ ten dom jest nam potrzebny". Do drugiego budynku zgłosił pretensje znów jakiś inny urząd. Później jeszcze dwukrotnie opuszczali mieszkanie na skutek starań osób bardziej ustosunkowanych, później przyszło powszechne wysiedlenie z tej części Lignicy, w nowej części Lignicy też trzeba było pierwotnie zajęte mieszkanie z jakichś tam powodów zwolnić, w rezultacie wylądowali w willi przy Emdenweg. Mieszkają tu dopiero 3 dni, a wszystko już tak pięknie poustawiane i z takim smakiem urządzone, jakby ktoś od lat był tu zadomowiony. Nie brak nawet firanek w oknach. Pytam, czy mieszkanie zastali już urządzone. Ale gdzie tam! Nic nie było, wszystko trzeba było na własnych plecach przenosić! A teraz już wydają domowe obiady, pieką torty, parzą kawę, której woń zdaleka mówi o jej jakości. Obiad kosztuje wprawdzie 80 złotych, ale tak dobrego obiadu w Warszawie w tej cenie nie dostanie. A Lignica jest bardzo droga. O produkty jest trudno, nawet o owoce, choć jest to podobno okolica sadów, masło osiąga cenę 500 złotych.

Podziwiam energię tej drobnej kobiety. Jak się później dowiedziałam, zyskała sobie już w dawnej Lignicy pewnego rodzaju sławę, miała tam bowiem pierwszą kawiarnię, tłumnie odwiedzaną, gdyż takiej kawy w całej Lignicy nie było. Słowem, kobieta jak z amerykańskiej powieści. Takich właśnie tu na zachodzie potrzeba. Takich co niczem się nie zrażają, co nie czekają aż im kto powie co mają robić, lecz sami przychodzą z inicjatywą, kładąc podwaliny pod swą egzystencję.

Ponieważ zanosi się na to, że auto, którym do Lignicy przyjechałam, nie będzie mogło dzisiaj wrócić, a noclegu sobie nie zapewniłam, pani X. zaofiarowuje mi nocleg u siebie. W rezultacie jednak z tego nie korzystam, postanawiając jeszcze tego samego dnia udać się do niedalekiego Jawora.

Tymczasem zwiedzam Lignicę. Piękne to miasto istotnie bardzo jest zaniedbane. Na ulicach walają się rozwłóczone materace, na nich pełno nieczystości, przed domami stosy śmieci. Nie jest to przyjemny widok, ale cóż, Kraków dwa — trzy miesiące temu wyglądał też niewiele lepiej, a mimo to nikt z tego powodu nie chciał z niego wyjeżdżać. Zresztą mieszkańcy radzą sobie z tym jak mogą. Ogień wszystko oczyszcza; przed wielu domami willowej dzielnicy widziałam płonące stosy, po których tylko popiół zostanie, popiół wiatr rozmiecie, zmyje go deszcz — Lignica znowu będzie czysta.

W Lignicy mieści się główny punkt etapowy dla osiedleńców. Tu można stwierdzić, że hasło: „Na zachód!" znalazło w społeczeństwie żywy oddźwięk. Tysiące ludzi przewija się przez ten punkt, dostaje skierowania do różnych powiatów na terenie województwa celem osiedlenia się. Niestety, bardzo poważną przeszkodą w należytym przeprowadzeniu akcji przesiedleńczej i osiedleńczej są trudności transportowe. Jak mnie informował wicewojewoda dolnośląski, ob. Szymczak, ogólna liczba samochodów ciężarowych, którymi dysponuje województwo, nie przekracza trzydziestu. Z tego na cele osiedleńcze przeznaczonych jest dwadzieścia. A potrzebne byłyby setki! Także komunikacja kolejowa szwankuje. Z powodu braku taboru często nie można uzyskać zezwolenia władz wojskowych na skierowanie transportów do przewidzianych powiatów. Bywały również wypadki, że 2—3 km za stacją pociąg był rozładowywany, gdyż wagony potrzebne były do przewozu wojska.

Na stacji w Lignicy spotkałam kogoś, kto mówił, że tydzień czeka na możność odjazdu do Jawora. „Przecie za ten czas byłby pan już sześć razy obszedł tam i z powrotem" (Jawór odległy jest od Lignicy o 21 km). Cały szkopuł w tym, że ma wielki bagaż i właśnie ten bagaż więzi go na stacji w odległości półdniowego marszu od miejsca przeznaczenia.

Ponieważ jednak koleje przeszły pod polski zarząd, więc jest nadzieja, że i ta trudność zostanie bodaj częściowo usunięta.

Tymczasem tłumy repatriantów, skazane na przymusowe wyczekiwanie, radzą sobie jak mogą. Nocleg i wyżywienie mają zapewnione, ale przecie nudno tak siedzieć bezczynnie. I tu znów przychodzi w pomoc handel, Niekoniecznie musi to być szaber. Dwunastoletni repatriant z Wilna handluje gruszkami. Ponieważ gruszki jeszcze są twarde, więc wpadł na pomysł, aby je ugotować. Gotowane gruszki, jeszcze ciepłe, nakryte czystym białym ręcznikiem, mają wielki popyt. Mały jest dobrym kupcem, nie krzywi się, gdy ktoś żąda większych gruszek, pozwala wybrać. Wie, że jak dużych nie będzie to i małe też pójdą.

Na ziemiach zachodnich nabiera się innego pojęcia o instytucji handlu ulicznego, niż się je ma wewnątrz kraju. To nie „pasek", to nie „zbędne pośrednictwo" — to po prostu pierwociny handlu. Handel w swej postaci najprymitywniejszej, cofnięcie się o wieki rozwoju, lecz równocześnie pierwszy przejaw organizowania się życia od nowa po katastrofie wojennego zniszczenia. Pierwsze wyjście człowieka człowiekowi naprzeciw w zamiarze otrzymania rzeczy niezbędnej za rzecz, którą się ma w nadmiarze.

W Lignicy zresztą handel nie ogranicza się do tych pierwocin. Są tu już sklepy spółdzielcze, są restauracje. W dawnej Lignicy było sześć restauracji, a wszystkie doskonale prosperowały. Wskutek przesiedlenia życie handlowe uległo pewnemu zahamowaniu, ale na nowym terenie organizuje się od nowa i niedługo przypuszczalnie osiągnie pierwotne nasilenie.

Około połowy lipca prasa podała wiadomość, że w Lignicy Polacy mogą się masowo osiedlać, ponieważ wojsko polskie oczyściło teren, wysiedlając Niemców. Tymczasem sprawa istotnie przedstawia się w ten sposób, że było to jedno z tych dzikich przesiedleń, które nie tylko nie przyniosło pożytku, lecz wyrządziło duże szkody. Niemcy, których nie odstawiono za granicę, tylko tak po prostu kazano im sobie pójść, w rezultacie po kilku dniach wrócili, nie mając się gdzie podziać. A tymczasem domy ich zostały zrabowane i zniszczone. Gdyby wysiedlenie i osiedlenie było przeprowadzone planowo i ściśle zazębiało się z sobą, Polacy byliby przyszli do mieszkań urządzonych, nie zaś do mieszkań zdemolowanych. To powinno być ostrzeżeniem, by tego rodzaju błędów nie powtarzać.

Odległy stąd o 21 km Jawór, siedziba powiatu, jest uroczym miasteczkiem. Tu czyściutko jak w pudełeczku — kontrast z Lignicą ogromny. Ładne, schludne domy, zniszczeń wojennych nie widać. Widać natomiast troskliwą rękę gospodarza miasta. Tu już nie kłują w oczy niemieckie napisy. Mały Jawór zawstydził wielki Wrocław i wielką Lignicę. Tu już jest nie tylko ulica Łąkowa i Ogrodowa zamiast wrocławskiej Feld- i Gartenstrasse, lecz także ulica Reja i Łukasińskiego, a nawet marsz. Żymierskiego.

Kontrasty, kontrasty. Oto co najbardziej uderza na zachodzie. Kotrasty w zależności od tego, czy przez daną okolicę przeszła zawierucha wojenna czy też ją ominęła. Kontrasty w zależności od tego, jaki człowiek został włodarzem miasta, czy powiatu. Człowiek energiczny, oddany sprawie publicznej, nie bojący się odpowiedzialności, biorący na siebie ryzyko decyzji w nagłych i trudnych wypadkach, czy też człowiek samolubny, niedołężny, bojaźliwy.

DO JELENIEJ GÓRY

Wrocław jest krańcowym punktem normalnej komunikacji. Kto chce jechać dalej na zachód, np. do Lignicy, lub też na południe, musi sobie szukać „okazji". Te okazje, to przeważnie auta ciężarowe, czasem wojskowe, częściej prywatne — ściśle mówiąc auta różnych instytucyj państwowych. Co zresztą nie przeszkadza, że szoferzy są ich istotnymi włodarzami i czują się na „swoim" aucie jak „szlachcic na zagrodzie".

Właśnie taka okazja się trafia. Na ulicy Ogrodowej we Wrocławiu, na której się mieści większość zdatnych do użytku hoteli, zatrzymuje się jakaś ciężarówka. Kierunek? Jelenia Góra. Momentalnie zostaje obskoczona przez ludzi, którzy krążyli tu w poszukiwaniu okazji. Bez pytania wchodzą na samochód, ustawiają swoje walizki, usadawiają się na nich, niektórzy nawet przyciągają skądś ławki, z ciężarówki robi się pasażerski autobus. Na zapytanie, kiedy auto odjedzie, szofer nie potrafi dać dokładnej odpowiedzi. Raz mówi, że około południa, drugi raz że dopiero po obiedzie; zaraz jednak dodaje, że może dostać rozkaz odjazdu nawet teraz. Co robić? Większość nie chce zaryzykować stracenia okazji, ja jednak decyduję się postawić na pierwszą koncepcję, mianowicie, że auto odjedzie dopiero około południa. Gdy przychodzę o dwunastej, z szofera ani śladu, także jego pomocnik gdzieś się podział, tylko cierpliwi kandydaci na pasażerów siedzą wytrwale na aucie. Waham się chwilę, potem jednak dochodzę do wniosku, że byłoby lekkomyślnością stracić okazję, decyduję się wwindować na auto.

Siedzimy. Czekamy. Godziny płyną. Tymczasem auto zapchało się do granic możliwości. Ludzie, bagaże, wszystko to zbite w ciasną masę, paruje w upalnym powietrzu. Około wpół do trzeciej zjawia się szofer, ale musi iść jeszcze na obiad. W rezultacie odjeżdżamy o wpół do czwartej. Z Wrocławia do Lignicy prowadzi wspaniała autostrada. Nawet ciężarówka mknie po niej gładko i bez wstrząsów. Słońce pali niemiłosiernie, zbiera się na burzę. Na burzę zanosi się również na aucie. Pomocnik szofera zaczyna zbierać należność za przejazd. Jak do Lignicy — to 400 złotych, a jak do Jeleniej Góry — to pięćset. Niektórzy płacą bez wahania, inni z uwagą, że to jest za dużo. Ktoś się jednak oburza, mówi, że to rozbój na równej drodze brać 400 złotych za 70 kilometrów. Tego tylko było potrzeba. Pomocnik szofera wpada we wściekłość, zatrzymuje auto, chce wysadzać opornych pasażerów, w sprawę wdaje się szofer, następują pertraktacje, w rezultacie jedziemy dalej.

W Lignicy opuszczamy autostradę, która biegnie dalej na zachód — zdaje się, że do Drezna — skręcamy na zwyczajną szosę, ale też nie mamy powodu narzekać; szosa jest asfaltowa, w dalszym ciągu jedzie się doskonale. Przejeżdżamy przez miasteczko Złota Góra, które wskutek działań wojennych mocno ucierpiało, teren się podnosi, droga staje się coraz bardziej malownicza. Od Jeleniej Góry dzieli nas już nie więcej niż jakieś trzydzieści kilometrów. Ale szofer mówi, że maszyna się zagrzała i trzeba jej dać odpocząć. Zatrzymuje auto, zsiada, znika wraz ze swymi towarzyszami w wiklinowych zaroślach. Trwa to dość długo. Wreszcie wracają. Na pierwszy rzut oka widać, że wtedy gdy maszyna stygła, szofer się rozgrzewał. Ma czerwone policzki, mętne oczy, zapach alkoholu bije od niego zdaleka. Teraz dopiero się zaczyna „kawalerska jazda". A tu teren coraz trudniejszy, tablica ostrzegawcza zapowiada kilka zakrętów. Jakiś pan zaczyna walić w budkę szofera, krzyczy, że nie myśli karku skręcić, wreszcie udaje mu się go skłonić, by stanął, zsiada wraz ze swym towarzyszem. Rozwścieczony tym szofer jeszcze bardziej zwiększa tempo. Jakieś kobiety zaczynają histeryzować, teraz one walą w dach szoferskiej budki. Doprowadzają do tego, że znowu zatrzymuje auto, ale gdy tylko puści motor w ruch, bierze to samo tempo. Znowu sceny. To już zaczyna być nudne.

Natomiast okolica coraz bardziej ciekawa. Tu już jest teren typowo górzysty. Droga biegnie w obramieniu wysokopiennych świerków, powietrze świeże, lekkie, balsamiczne, góry coraz bliższe wyłaniają się to z jednej to z drugiej strony serpentyny. Jesteśmy mniej więcej na wysokości naszego Podhala. Tym bardziej zdumiewa pszenica, wszędzie jeszcze występująca w polach obok żyta i owsa.

Jak tu przestronno! Choć teren górzysty, nie czuje się ciasnoty. Wzrok biegnie swobodnie poprzez opadające ku dolinom wzgórza, spoczywa na lasach, obejmuje pszenne łany. Ziemia czeka. Piękna ziemia, pod każdym względem bogato przez naturę uposażona, czeka, by objąć ją we władanie. Czy pozwolimy jej czekać?

CZARODZIEJSKI ZAKĄTEK

Jelenia Góra to najbardziej uroczy zakątek, jaki sobie można wyobrazić. Położona w przepięknej górskiej okolicy, bardzo ciekawa pod względem architektonicznym.

Miasto liczące według przedwojennej statystyki 37 000 mieszkańców, sięga swymi początkami XI wieku. W pięknym gotyckim kościele pod wezwaniem św. Erazma i Pankracego, zbudowanym na wzniesieniu pośrodku miasta, znajduje się tablica, na której szczegółowo wypisano jego dzieje. Otóż w roku 1108 powstał w tym miejscu kościół drewniany, „wybudowany za Bolesława III-go, polskiego księcia". Kościół ten spłonął w 1303 roku, a na jego miejscu wzniesiono okazały gmach gotycki, który do dziś dnia istnieje.

Barokowy rynek z podcieniami — to marzenie artysty. Oglądany o zmierzchu, pusty o tej porze i cichy, tchnie niezrównanym urokiem czasów minionych. Doskonale utrzymany w stylu, doskonale zachowany z konserwatorskiego punktu widzenia. To samo zresztą można powiedzieć o całym mieście. Kręte, malowniczo się wijące uliczki, uderzają swą schludnością, starannym utrzymaniem budynków. Tutaj wojny nie było. Miasto nie wie, co to bombardowanie, nie zna co artyleryjskie wystrzały. Zawierucha wojenna całkowicie je ominęła. Tym się też może tłumaczy, że jeszcze do tej pory odczuwa się w mieście jakieś przedwojenne tchnienie.

Według urzędowych danych na terenie Jeleniej Góry osiedliło się dotychczas około 4000 Polaków. Poza tym dużo takich, co zatrzymali się tutaj w przejeździe. Wszędzie na ulicach, w tramwajach, w pociągach słyszy się polski język, przechodnie z biało-czerwonymi kokardkami nie giną w tłumie ludności niemieckiej jak we Wrocławiu, lecz są zjawiskiem masowym. Jest to objaw tym bardziej znamienny, że ludność niemiecka w całości w powiecie pozostała. Tu nie było ani ewakuacji ze strony władz niemieckich, ani też wysiedleń po objęciu terenu przez władze polskie.

Kwestia osadnictwa rozwiązywana jest w ten sposób, że Niemcy pozostają na razie w swoich sklepach czy warsztatach w charakterze pracowników, lecz zarząd powierza się Polakom. Zetknęłam się z rodziną z Poznańskiego, składającą się z ojca i dwóch synów, z których jeden otrzymał zarząd fabryki wyrobów papierowych, drugi zarząd drukarni. Podobno 80% przedsiębiorstw jest już w ten sposób obsadzonych. Na wszystkich sklepach i lokalach tylko polskie napisy. Powstały tu już także instytucje czysto polskie, jak np. kasa spółdzielcza.

Zaledwie o 6 km od Jeleniej Góry znajduje się słynne uzdrowisko Cieplicę (nie należy mieszać z Trenczyńskimi Cieplicami) połączone z miastem tramwajem. W sanatorium przeciwgruźliczym umieszczono powracających z obozu pod Dreznem, chorych na gruźlicę 39 polskich oficerów. A kilkanaście kilometrów dalej już typowo górska miejscowość klimatyczna Oberschreiberhau, nosząca obecnie miano Szklarskiej Poręby; wywodzi się ono od słynnej fabryki szkła i kryształów „Józefina", istniejącej od dwustu lat, eksportującej swoje wyroby między innymi do Ameryki.

Tutaj powinny powstać domy wypoczynkowe związków zawodowych i innych organizacyj społecznych, tu ludzie pracy powinni przyjeżdżać po wypoczynek, a chorzy po zdrowie. Pensjonaty całkowicie urządzone, przeważnie z centralnym ogrzewaniem, z bieżącą wodą w pokojach, stoją do dyspozycji. Wiele instytucji już sobie takie domy zapewniło, chodzi jednak o to, by objęcie było nie tylko nominalne lecz faktyczne, by jeszcze w tym sezonie przyjechali tu ludzie, którzy raz zapoznawszy się z tą okolicą, na pewno zapragną do niej powrócić. A ci, co nie zdążyli przyjechać w lecie, niech przyjeżdżają jesienią i w zimie, gdyż miejscowość jest równie dobrze przygotowana na sezony letnie jak zimowe. Jest to zresztą jedna z wielu miejscowości uzdrowiskowych, gęsto rozsianych na terenie powiatu. A wszystkie świetnie zagospodarowane, połączone siecią doskonale funkcjonujących kolei elektrycznych.

Okolica to wyjątkowo bogato przez naturę wyposażona. Obok piękna krajobrazu, walorów zdrowotnych i architektonicznych zabytków jest tu bardzo dobrze rozwinięty przemysł. Na terenie powiatu znajduje się około 270 fabryk. Kwitnął tu niegdyś przemysł tkacki, w Krzyżatce znajduje się jedna z najbardziej znanych fabryk dywanów. Obecnie fabryki włókiennicze są nieczynnne, pracują natomiast tartaki i gorzelnie. Przemysł ma doskonałe warunki rozwoju ze względu na bliskość kopalń węgla, znajdujących się w Wałbrzychu, odległym od Jeleniej Góry o jakie 40 km. Dzięki energicznemu stanowisku starosty mienie państwowe na terenie powiatu jeleniogórskiego zostało w znacznej mierze zabezpieczone. Odnosi się to zarówno do fabryk i składów, jak i inwentarza żywego i martwego na wsi.

Personel administracyjny w urzędach w znacznej części niemiecki. Niemiecka jest również obsługa kolejowa, niemieckie konduktorki w tramwajach. Pytam, czyby nie można już teraz zastąpić ich Polkami. Na to dostaję odpowiedź, że Polka tego zajęcia nie weźmie, ponieważ przywiązane do niego uposażenie wynosi 6 marek dziennie.

Trzeba bowiem wiedzieć, że marka jest tu jeszcze środkiem obiegowym na równi ze złotym, według parytetu 1 złoty = 2 marki. Stąd dla przybysza z centralnej Polski wynikają przedziwne niespodzianki walutowe. Kupuje się np. 25 arkuszy kancelaryjnego papieru, daje się złotego, a odbiera się markę i 70 fenigów reszty. A koleją elektryczną na przestrzeni 20 kilometrów jedzie się tam i z powrotem za 2 marki. Odwrotną stroną medalu jest to, że obowiązuje tu jeszcze system kartkowy, a więc poza bardzo niewielu rzeczami, jak np. papier czy też resztki lekarstw (apteki przeważnie są ogołocone z towaru), w wolnym obrocie nic dostać nie można. Na ogół więc wśród Polaków panuje opinia, że lepiej byłoby, gdyby ceny były wyższe, lecz żeby wszystko można było nabyć bez ograniczeń, podobnie jak u nas. To zresztą przypuszczalnie w najbliższym czasie nastąpi, jest bowiem nie do pomyślenia, ażeby jakaś okolica mogła mieć zupełnie odmienną od reszty kraju strukturę gospodarczą.

W ostatnich tygodniach napłynęli licznie na teren powiatu osadnicy wiejscy. Rekrutują się oni głównie z województwa kieleckiego.

*) Por. początek w nr. 39 „Odrodzenia".

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Gall Anonim znowu jest nam bliski

Włączenie Ziem Odzyskanych, szczególnie zaś Pomorza Zachodniego, rzuciło snop światła na tajemniczą postać naszego pierwszego dziejopisa. Po ośmiuset latach te zagadnienia, które dla niego, dla jego księcia i wspólnoty polskiej XII wieku były żywotne, nabrały znowu magnetycznej siły. Nie możemy dzisiaj, bawiąc tutaj, zrobić nic lepszego, jak wziąć do ręki jego książkę i rozczytywać się w niej tak długo, aż będzie nam w każdym rozdziale przytomna i żywa, jak najnowsza jaka powieść. „Kronika" ma zresztą wszystkie cechy, które zrobić z niej mogą zachwycającą lekturę: jest napisana żywo, interesująco, bardzo po ludzku i należy do rzędu arcydzieł tego rodzaju, że przyniosłaby chlubę każdemu piśmiennictwu.

Jest już dzisiaj rzeczą uznaną w literaturze Zachodu (Polheim, Traube, W. Meyer) niezwykła waga i wysoka wartość literacka naszego autora. Jeśli idzie o styl, jego rytmikę i kadencję, jego przeplatanie opowiadania rymami, grą słów i wyszukanymi formami wysłowienia, to filologowie europejscy prześcigają się w pochwałach dla nienazwanego z imienia opowiadacza znad Warty. Bezsprzecznie należy on do pierwszych autorów, używających maniery tzw. stilus romanus, formy literackiej, wywodzącej się z kancelarii Grzegorza VII, datującej się z kół Piotra Damiana, pracujących w Rzymie nad reformą kościoła w duchu kluniackim.

W wieku XII nad Wartą i Notecią, w samym zaraniu dziejów taki pisarz, ktoś tak wysoką sztuką literacką władający, mający genialny pomysł zużycia swej muzy na opiewanie żyjącego współcześnie władcy, i to właśnie naszego władcy, jednego z najruchliwszych bojowników z dynastii Piasta, toż to dar niespodziewany, zjawisko nadzwyczajne, rozstrzygające o bezcenności dzieła. Wierzyć się nie chce tej fortunie niecodziennej, temu szczęściu, że właśnie ten człowiek, tak bardzo powołany do pisania, do pisania tego się zabrał i dał nam dokument, o jakim wiele narodów darmo śnić by mogło.

Wszystko jest w tym człowieku cudowne, jedyne. I jego rzemiosło pisarskie, opanowane w wysokim stopniu, i znalezienie się jego na ziemi polskiej i myśl uwiecznienia czynów Krzywoustego i wykonanie zamysłu tego tak, jak to on wykonał. Niezwykły to był człowiek ten Anonim, ten ukrywający swoje nazwisko przybysz, niezwykły był sposób, w jaki zebrał współczesną wiedzę o przybranej drugiej swej ojczyźnie i niezwykła ta miłość, którą Polsce i jej księciu okazał. Zapewne, że zapłaty się spodziewał i przymawiał się o nią na licznych kartach księgi, ale to były rzeczy wtórne: rozpierał go duch, który żywy był u rówieśnych w Polsce, człowiek ten pisał od serca, unosił się dumą nad swym bohaterem, śpiewał o nim, chwalił go i sławił, ganił gdzie potrzeba — z każdego słowa znać człowieka, który przeżywał głęboko to, o czym pisał. Gall Anonim to pierwszy i kto wie, czy nie najtęższy nasz średniowieczny autor, to ktoś taki, jak dla Anglii Kadmon, Cynewulf, Beda Venerabilis albo Alfred Wielki, a już na pewno równie zasłużony, jak Wilhelm z Malmesbury dla Anglików, z tą różnicą, że tamten stwarzał fikcje o Arturze, a Gall rzucał nam do stołu, do żywienia nas na wieki, samą żywą prawdę, wagę najczystszego złota. Nie mamy co zazdrościć Niemcom Widukinda i Thietmara, Duńczykom Saxo Gramatyka: Gall ich równoważy.

Bez Galla świadomość naszego narodu wyglądałaby zupełnie inaczej niż wyglądała w ciągu wieków i niż dziś wygląda. Śmiem twierdzić, że nikt drugi tak nie wpłynął na kształtowanie się psyche polańskiej, polskiej i na miliony uświadomień, jak właśnie Gall Anonim swoim dziełkiem. Tylko Długosz, Wujek, Skarga, może Mickiewicz, mieli tak potężną władzę w ugniataniu duchowego kształtu naszego przeżywania treści narodowej, co Gall.

Nikt też nie był w tak szczęśliwym położeniu, jak on. Wyobrazić sobie, że talentem wielkim obdarzony jakiś Serb, czy Kroat, czy Słoweniec, ktoś stojący blisko kręgu kultury rzymskiej, zapewne z możnej, ze względów politycznych wysiedlonej rodziny, wykształcony, władający doskonale sztuką poetycką i prozą w nieodzownym podówczas języku łacińskim, ktoś predestynowany na piewcę i pisarza, zjawia się w Polsce w ówczesnym okresie i bierze sobie za zadanie pisać nie o czym innym, lecz o zamierzchłych, a i współczesnych dziejach naszego właśnie narodu.

Los dał mu wszystkie atuty do ręki. Z południowej Słowiańszczyzny, gorącej, wrażliwej na czyny bojowe i rysy heroiczne, przywiązanej do rodzimej tradycji ojcowskiej, tam gdzieś spod Vasvar nad rzeką Raabą, rzuca go przeznaczenie na dwór króla węgierskiego, Władysława, wychowanego w Polsce, ubierającego się jak Polak i czującego się prawie jak Polak, gdyż przebywał niegdyś u Bolesława Szczodrego w Polsce. Nauczyciel i wychowawca dzieci królewskich w Budapeszcie chłonął chciwie wieści o wypadkach, dotyczących jednej i drugiej dynastii. Przełomową chwilą był dzień, kiedy w r. 1079 po zabiciu Stanisława ze Skałki, Bolesław Śmiały zjawił się na Węgrzech po pomoc do swego protegowanego. Od tego momentu jest skromny mnich Słowianin z Południa, bezpośrednim świadkiem tego, co się ważnego w dwóch królestwach dzieje. Zna dobrze tajemnicę śmierci króla polskiego, zamordowanego na Węgrzech, butnego, zuchwałego do końca, traktującego nawet w tej, fatalnej sytuacji swego gospodarza jak lennika. Syna zabitego króla, Mieszka, kocha Gall i podziwia całym sercem. Jedzie z nim w r. 1086 do Polski, a gdy dano mu truciznę, i gdy umarł Mieszko, współboleje z całym społeczeństwem nad ofiarą intrygi Hermanowej. To, co pisze o pogrzebie, o boleści matki Mieszka, o płaczu i o mdleniu królowej-wdowy, to są słowa krwawej, widzianej na własne oczy prawdy.

Nie mógł ten paedagogus księcia straconego miły być Władysławowi Hermanowi i jego otoczeniu. Musiał mieć chwile niepewności, a i błędy może, zanim osiadł w klasztorze Benedyktynów w Lubiniu nad Odrą. To, że tutaj, a nie gdzie indziej przez dłuższy czas przebywał, zdaje się nie ulegać żadnej już wątpliwości, i jest przyjmowane bez zastrzeżeń przez historyków naszych. Trafił znakomicie. Lubiń, to fundacja Awdańców, to centrala ich majątków, wpływów i znaczenia. Awdańcowie, Wikingi, skandynawscy wielmoże, mieli za Krzywoustego trząść całą dzielnicą. Michał objął kancelarię księcia, Skarbimir urząd wojewody. To były dwie potężne podpory bojów i władania młodego lwa Północy. Z nim wszedł Anonim, mnich z Lubinia, w orbitę znajomości i działania młodego księcia. Nie udało mu się z Mieszkiem Bolesławowiczem usiąść przy tronie, dopiął tego przez syna Hermanowego.

Całą miłość, i to szczerą, może trochę interesowną miłość dla królewicza Mieszka, przeniósł wygnaniec lubiński, protegowany Awdańców, przez nich wciągnięty w arkana polityki wielkopolańskiej, na Krzywoustego. Śledził najpierw zapewne z zacisza klasztornego, później naocznie, jego poczynania. A było na co patrzeć, na tego czupurnego, piastowskiego gołowąsa, cietrzewia i gorączkę. Chłopak urodzony w 1086 roku, w okolicznościach wielce cudownych, bo za sprawą św. Idziego, z Hermana i księżniczki czeskiej Judyty, jest stuprocentowym bojownikiem. Rwie się do boju, wojaczki, napadów, do łupienia, palenia, wysiekania wcale nie szlachetnego w pierwnych latach. Dobrawszy sobie zabijaków, rówieśników, dynastowiczów piastowskich, Awdańczuków też zapewne, robi wypady za granicę bez wiedzy i woli ojca. Gdy mu się rządy Sieciecha i macochy Judyty Marii, siostrzenicy cesarza Henryka IV, przestały podobać, poszedł i na ojca, później też na Zbigniewa brata, którego prawdę mówiąc wyzuł z praw i władzy. W latach 1102 do 1106 był prawym władcą Polski nie Krzywousty, lecz Zbigniew. Młodzi wojownicy, garść straceńców, potem koła rycerskie, wreszcie społeczeństwo dało się porwać impetowi młodego ryzykanta i stanęło przy nim przeciw ekszakonnikowi, sensatowi, kunktatorowi Zbigniewowi, którego Bolesław z całą ówczesną bezwzględnością kazał oślepić i to tak dokładnie, że zoperowana ofiara wkrótce żyć przestała.

O tym wszystkim Gall Anonim dobrze wie, jak wie o tym całe społeczeństwo: Gall rzuca śmiało naganę, nazywa zbrodnię — zbrodnią. Świadczy to dodatnio o jego odwadze i samodzielności myślenia.

Z bezgranicznego uwielbienia Galla dla Krzywoustego wypłynęła myśl wysławiania go w dziele, które zaprojektowane zostało i wykonane w latach 1112 i 1113 jako historia jego życia. Opowiadanie o antenatach, to konieczna podbudowa, narysowanie drzewa genealogicznego. Kto wie, czy właśnie ta pierwsza księga nie jest ważniejsza nawet niż dwie następne, kreślone z autopsji. W genealogii pomieścił ciekawy mnich wszystko, co mu o rodzinie królewskiej przekazali najwięksi współcześni intelektualiści polscy, elita umysłowa dworu, 4—5 biskupów ówczesnych, trzymających się ściśle tronu książęcego. Czyż można sobie wyobrazić lepszych informatorów, niż ci poważni, bogobojni, ruchliwi panowie w infułach, dosiadający w potrzebie konia, interesujący się tradycją krajową, dziejami kościoła i dynastii, poprzednikami panującego księcia. Gall Anonim, członek kancelarii książęcej, człek bywały po świecie, znawca stosunków na dworze węgierskim, w opowieściach Maura, Żyrosława, Marcina i innych staruchów-episkopów, musiał czuć się jak w swoim najwłaściwszym żywiole. Z ich ust słyszał o Piaście i Rzepce, o Popielu, Ziemowicie, Leszku, Ziemomyśle, ojcu Mieszka I. Cała ich opowieść, być może niejasne jeszcze stanowiąca echo zamachu majordomusa Piasta, na prawowitych Askoldów-Popielidów, skrystalizowała się u Galla we wcale racjonalną całość: Gall nie bajał jak Kadłubek albo Długosz. Realista — dążył do konkretu. Cudowności zbywał krótko. Gdy się dorwał do „Żywotu" Vojtecha Sławnikowica, przepisał skrzętnie o Ottonie w Gnieźnie. To było z przeżyć bliskich, i plastyczne, i dokładne, miało wartość. To, co widział sam na własne oczy, co się stało za dni jego, do tego rwał się i to odmalowywał z całą dokładnością i lubością.

Zdaje się, że najsilniejszym przeżyciem Galla w Polsce, jak i całej wspólnoty szczepowej polańskiej była wojna Krzywoustego w roku 1109 z cesarzem Henrykiem V. Były przedtem utarczki wewnętrzne, a to z ojcem, z Sieciechem, ze Zbigniewem. Były chwile, że społeczeństwo drżało o swych Piastów — ludzie wyraźnie bronili ich przed uzurpatorem. Awanturnicy łupili razem z księciem ościenne granice, przywozili masę łupów, niewolnika, chłopców i dziewcząt, bogacili się na wojaczce z przedsiębiorczym księciem. Rok 1109 miał charakter inny. Wojna ta, to obrona niepodległości. Szczepy Polan, Mazowszan, Ślęzan, Wiślan zrozumiały, że jeśli przegrają tym razem, to stracą wolność wojowania i swobodnego bytowania. Toteż stanęli gęstym murem przy Krzywoustym i — wygrali. Rok miał akcenty tragiczne. Ten rozkaz twardy Krzywoustego do Głogowian, że na krzyż ich wbije, jeśli wpuszczą Niemca! Te zasieki na Odrze. Rwanie się nawet ratajów do posługi wojennej. Guerilla, podjazdy, szarpanie wojsk cesarza bezpardonowe, fatalne dla Niemców, wreszcie niesławny odwrót takiego władcy, jakim był cesarz Rzeszy, i to właśnie Henryk V, który nie pozwolił sobie nikomu w kaszę dmuchać, wywołało niesłychany entuzjazm.

Jestem przekonany, że po tej wojnie, po roku 1109, po Głogowie, Bytomiu; Wrocławiu, zapadła w umyśle Galla decyzja uwiecznienia takich zwycięstw w formie dzieła. Podnieta była bez wątpienia ogromna, realna, zagrzewająca: o Krzywoustym dowiedziała się Europa, Rzym, cały ówczesny świat cywilizowany. O takim zwycięzcy warto, ba, trzeba pisać!

Tym bardziej, że właśnie od 1110 r. bohater zamierzonego dzieła zaczął zbierać nowe laury: zaczął pokonywać jednym nieprzerwanym ciągiem nienawistnych Pomorzan. Jeśli o ten szczep idzie, Gall Anonim miał ich mocno na wątrobie. Nie znosił ich, nienawidził: byli poganami. Przyrzekali się nawrócić, dawali się, gdy było źle z nimi — ochrzcić, ale swoją drogą napadali na Polskę, zabierali grody nadnoteckie, rabowali i palili polskie ziemie. Dzieło Galla jest wiernym echem ówczesnej opinii ogólnej: dyszy nienawiścią do północnych sąsiadów znad Noteci.

Nikomu poza księciem Bolesławem nie poświęcił Gall tyle uwagi, co walce z Pomorzanami. Wyczuwał dobrze, czego pragnął Krzywousty, a z nim wojownicy znad Warty. Mówi o Pomorzanach za Mieczysława I, za Chrobrego, Kazimierza, Szczodrego, mówi szczegółowo o wyprawach Sieciecha i Hermana w 1090 i 1091. Wreszcie przytacza skrzętnie przewagi Krzywoustego nad Notecią, pod Nakłem, Wieleniem, Czarnkowem, Białogardem, Kołobrzegiem, Wyszogrodem i indziej. Osobnej rozprawy trzeba by na to, żeby opowiedzieć o tych bojach dwu pokrewnych szczepów. Czasem chce się wierzyć, że autor brał w tych wojnach udział, że ciągnął z księciem, z kancelarią, i oglądał walki. A już zapewne, po każdej wyprawie, rozpytywał pilnie o przebiegi spotkań. Zapalał się przy tym tak płomiennie, że układał pieśni, dytyramby, hymny ku czci wodza i wojaków. Zdaje się, że najwięcej zaimponował mu, a zapewne i współczesnym wyczyn Kołobrzegu i dotarcie do Bałtyku: przyśpiew o Bałtyku Galla wymowniejszy jest od śpiewów marynistów naszych 1918—1939.

Opowieść Galla z wojen pomorskich urywa się na Nakle z 1113 r. Jaka szkoda, że nie dożył r. 1119 i 1120, zdobycia Szczecina, i 1124, nawrócenia Szczeciniaków! Jakie by to wywołało spod jego pióra olśniewające słowa, jakie pochwały!

Albo umarł młodo, albo zawiść polskich kolegów w kancelarii księcia obrzydziła mu pobyt w Polsce — opowiadanie nie jest ukończone. Skarżył się na zazdrośników, miał uznanie chlebodawców-biskupów, ale pomniejsze figury, klerki książęce, darować mu nie mogły talentu i awansu. Być może, księcia nastrojono źle do piewcy — zły znak, że pisania nie ukończył. Musiał odczuć to boleśnie. Marzył o tym, że księgi jego będą recytowane, śpiewane w szkołach i na zamkach, że będą tłumaczone na język rodzimy księcia i rycerzy. Ambicje miał olbrzymie: imienia nie kładł u nagłówka, cały dwór wszak wiedział, kto zbiór pisał. O małej kulturze, zaniedbaniu, niskim uświadomieniu świadczy, że nie przekazano pokoleniu następnemu nazwy mistrza.

Zwycięstwo jego jest za grobem. Odpisywano żywcem jego pisma. Kształtowano treścią przez lat prawie tysiąc duszę szczepu. Imię odpadło, treść się wlała w krew i serce, żyła przez stulecia w każdym elementarzu, dziś znów zabulgotała żywiej w żyłach i tętnicach.

Gall Anonim znowu nam jest bliski. Żyję nim tu na Pomorzu, gdy chodzę ulicami Białogardu, Kołobrzegu i Szczecina. Zżyłem się z Gallem zdawna, od pół wieku. Urodziłem się pod strzechą ocienioną więzami opactwa lubińskiego. Śniłem o nim, gdy pisałem „Mnicha", balladę. Widywałem go, zdawało mi się, na podwórcu klasztornym, gdzie słaniały się postacie Odoniców, Laskonogich, pochowanych tam w podziemiach. Nie można było w tym dziedzictwie Awdańców nie pomyśleć o kanclerzu Michale, wojewodzie Skarbimirze, wspaniałym bohaterze opowieści Gallowej, tak wspaniałym, że autor aż się zastrzegał, że wielmoża nie zasłania swoim blaskiem księcia-pana.

Gall Anonim znowu jest nam bliski. Proponuję, by w Poznaniu na najpiękniejszym placu stawić pomnik Krzywoustemu, na koniu, z mieczem ku północy: konia niech prowadzi mnich z okrytą, bezcielesną twarzą.

Oczekuję, że ktoś z uzdolnionych odtworzy tekst łaciński ksiąg Gallowych z pietyzmem i geniuszem: każdą niuansę, każdą kreskę, każdy cursus velox, każdy paralelizm, rytmikę i ukryty czar kadencji ujawni w kształcie graficznym, przede wszystkim ważąc słowo za słowem, zdanie za zdaniem, te pierwsze nasze „Śpiewy historyczne", to Wiązanie, które Przeznaczenie położyło ręką Galla nam w kolebkę, gdy Polonia — tak ją pierwszy ochrzcił — była niemowlęciem.

Wyobrażam sobie, że do rzeczy zabiorą się tylko powołani. Że słowo będzie kongenialne. Że szata zewnętrzna musi wypaść godnie, jak przy biblii. Że rysunki i sztychy wyjdą spod rylca najzdolniejszych grafików, i to tych, co średniowiecze zdolni odczuć. Pierwsza książka o Polsce musi wreszcie w nowej Polsce ukazać się tak, jak się sprawie takiej wagi przynależy.

Nie idzie o hołd, idzie o korzyść, o miliony egzemplarzy, o rzucenie Słowa o Polakach pod strzechę każdej chaty. Książka musi być tak zrobiona, że ją każdy wyrozumie. Wstęp napisze najuczeńszy mediewista, ale tak po prostu, że ją każdy polski osadnik nad Odrą, od Opola, od Zgorzelca, od Głogowa, od Słubicy aż po Szczecin i po Bałtyk, i tu w Koszalinie i w Szczecinie czytać będzie mógł z pożytkiem, teraz, kiedyśmy nad Odrę i nad Bałtyk powrócili. Gall Anonim jest pierwszym i najgenialniejszym piewcą tych dwóch naszych skarbów: Odry i Bałtyku.

Dlatego jest nam znowu bliski, jak w XII wieku.

JULIAN PRZYBOŚ

MIEJSCE NA ZIEMI

Stron 164
Cena zł 95

Do nabycia we wszystkich księgarniach

SŁOWO O GRUNWALDZIE

DŁUGOSZ
STAROŚWIECKA PIEŚŃ
JAN Z WIŚLICY
NIEMCEWICZ
SŁOWACKI
SIENKIEWICZ

Wybrał i objaśnił
ST. ŁEMPICKI

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
Stron 104 Cena zł 30

ST. JODŁOWSKI I W. TASZYCKI

ZASADY PISOWNI POLSKIEJ I INTERPUNKCJI
ZE SŁOWNIKIEM ORTOGRAFICZNYM

STRON 208 – CENA ZŁ 40
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Kronika ilustrowana

STRATY LITERATURY POLSKIEJ

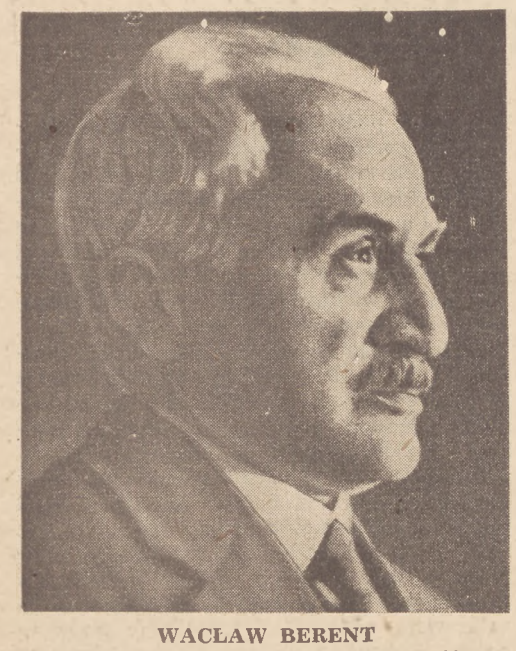

WACŁAW BERENT
znakomity powieściopisarz, zmarł w 1940 r w Warszawie

LEON CHWISTEK
literat, artysta-malarz i filozof, zmarł w sierpniu 1944 r. w Barwisze pod Moskwą

GUSTAWA JARECKA
powieściopisarka, autorka m. in. książki „Ludzie i sztandary", zginęła z rąk niemieckich okupantów w Warszawie

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ
pisarz, artysta-malarz i filozof, zmarł w jesieni 1939 r.

Ciemność trwa

Jest tak wszędzie na całym świecie, że uczeni, pisarze, duchowni, powołani są przede wszystkim do tego, żeby głos wołający pomocy miał swoją tamę, żeby chaos zatrzymywał się o granicę jasnych rad, wyraźnych planów, ocen jeśli nie sprawiedliwych, to przynajmniej wyczerpujących. Pisarstwo literackie i publicystyczne nie tylko w temacie, ale i w metodzie świadczyć się musi realnym stosunkiem do wszystkich, nawet najdrastyczniejszych zagadnień, wysiłkiem dążącym do zupełnego opanowania przedmiotów jeszcze niewyjaśnionych. Dlatego wdzięczni być możemy Wojciechowi Kętrzyńskiemu za postawienie i rozszerzenie dyskusji w artykule „Warszawa 1944" („Tygodnik Powszechny", nr 21), ale zaatakować musimy metodę. Tym stylem na pół naukowym, na pół romantycznym nie opanuje się zagadnienia, które powinno być rozpatrywane z pomocą wyraźnej analizy, wyczerpującego toku informacyjnego, jasnej kwalifikacji. W artykule znajdujemy takie miejsca: „Są problemy, które naród polski na swój specyficzny, irracjonalny sposób pojmuje. Są to przede wszystkim honor i suwerenność. Jakiekolwiek naruszenie tych pojęć powoduje odruch rozpaczliwego protestu, który wybucha wbrew i mimo wszystkiemu. Jakkolwiek beznadziejne byłyby okoliczności walki — naród poświęci zawsze wszystko w obronie tych świętości. Być może, że inne narody mają na te zagadnienia pogląd inny, bardziej utylitarny. Może nawet mają rację". Przejdźmy do porządku dziennego nad intelektualnie chwiejną frazą tego cytatu. Zapytajmy od razu — jakie narody. Może naprawdę szczęśliwsze, mądrzejsze, bogatsze? Chcielibyśmy wiedzieć zwłaszcza w chwili, gdy z siebie jesteśmy niezadowoleni. Dlaczego piszący nie informuje, mając prawo pisania i cenny papier. Czy w dzisiejszych czasach zniszczenia bibliotek, trudnego dostępu do jeszcze istniejących czytelń — w dzisiejszym czasie głodu oparcia, tęsknoty do źródeł najszerszej wiedzy o świecie nie powinno odpowiadać się na takie pytania? A może jest to tzw. milczenie intencjonalne i może intencjonalne jest moje pytanie? Tak. To drugie na pewno. Wierzę, będąc sam pisarzem, ulegającym także instynktowi, że jedyna dzisiaj rola publicystyki, to rola oświatowa, racjonalizująca, zwracająca myśl w kierunku nie tylko przyczyn, ale i skutków. Wymienię więc te narody. Czesi. Czesi, naród posiadający już od początku XIX w. wielkich przywódców duchowych narodu, mądrych polityków — Czesi, naród najwięcej zagrożony przez Niemcy, Czesi, naród, nie mniej niż my odczuwający konieczność wolności, jako jedynej atmosfery życia i tworzenia kultury w rytmie postępu — Czesi nie oddali całej swojej młodzieży tylko oficerom. Czesi, Anglicy, Francuzi dyskutowali pojęcie honoru, który też ma swoją dialektykę, a dyskutując nie wyszli nigdy na tym źle. Czesi, Anglicy, Francuzi potrafią opanować wybuch irracjonalnego protestu w imię planowania protestu racjonalnego. Powiedzmy więcej: każdy naród, także i Polacy, potrafiliby opanowywać „irracjonalne", gdyby racjonalne dawane im było w dawkach sytematycznej dyskusji, w większych dawkach oświaty i akcji odróżniania gestu koniecznego od odruchu niezdeterminowanego nawet historią. Tak, nawet historią. Ostatnie nasze powstanie pod względem myśli politycznej jest najuboższe ze wszystkich naszych powstań. Jego rachunek, jego przewidywania, jego plan był ubogi a priori. Wszystkie tamte służyły nie tylko protestowi w imię suwerenności i honoru, ale wyznaczały kierunek ogólnoludzkiej rewolucji i społeczno-politycznemu postępowi. Insurekcja kościuszkowska była konsekwencją rewolucyjnych uchwał konstytucji 3 maja, powstanie w 1830 roku walczyło z absolutyzmem w imię powagi sejmu i konstytucji. Drobnomieszczańska i drobnoszlachecka rewolucja 1863 roku robiona była w porozumieniu z rosyjskim ruchem postępowym. Oczywiście, że winą za brak horyzontów nie można obarczać tylko reakcyjnych generałów londyńskich, ale i także nas humanistów, między którymi nie było Mochnackiego. I samo powstanie nie doprowadziło do żadnej rewolucji, do żadnej wspaniałomyślnej odważnej zmiany rachunku. Nie będzie tym razem, a szkoda, ogólnie zrozumiałego mitu polskiej walki. Rewolucja, raczej cicha przyszła niejako wbrew planom walecznej Warszawy. Jej ślub ze stolicą odbył się na gruzach już cichych. W szare, ciężkie, niepatetyczne dni stycznia i lutego 1945 roku. Jej pionierami byli cisi intelektualiści, nieefektowni tłumacze praw świata pracy, zbierający także resztki duchowego grosza po zbyt rozrzutnych braciach.

P. Kętrzyński nie jest pewny, czy inne narody nie mają racji. Wie natomiast, że: „Polacy rozumieją to inaczej. Można to słusznie określić jako zbiorowy uraz psychiczny społeczeństwa polskiego. Zbyt często jednak w swej historii dawała Polska dowód swego przeczulenia na tym punkcie, by nie było celowe to podkreślać zarówno dla dobra narodu, jak i tych, którzy się z nim stykają. Poświęcenie Warszawy jest jego najlepszym dowodem. Naród poświęcił stolicę, gdyż sądził, że jest to potrzebne w obronie honoru i suwerenności polskiej". Takim stylem i taką składnią nie powinno pisać się o rzeczach aż tak ważnych. Ale zastanówmy się — czy był to jedyny sposób udowodnienia swego honoru? Czy gruzy Warszawy przyczyniły się rzeczywiście do tego, że Polska odzyskała swoją suwerenność? Tragiczny błąd, a raczej tragiczna konsekwencja błędów — na to można się zgodzić. Ale czy i dziś błędy wymagają takiej obrony? Duchom walecznych niech odda cześć poeta. Również publicysta czy historyk powinien przypominać o bohaterskiej postawie społeczeństwa. Ale musi również powiedzieć wyraźnie kto i w jaki sposób próbował wyzyskiwać tę postawę. A i nie tylko postawę, ale i czyn i ofiarność czynu. Nie wystarczy nam dziś znajomość motywów, którymi kierowała się armia. Chcemy poznać wreszcie ocenę wodzów. Wodzów, których naiwność walczyła o lepsze z osobistym i klasowym interesem i nie liczyła się z racjami ani własnego narodu, ani z racjami postępu ludów.

Nie było Mochnackiego, ale co gorsza w atmosferze takiej publicystyki, takiego klimatu umysłowego czy można się spodziewać drugiego Mickiewicza? Czy „Tygodnik Powszechny" nie robi wszystkiego, żeby powtórzyć przyjście smutku ze „Snu grobów"? Wiemy o tym dobrze — klimat nasz wyciska łatwo łzy spod powiek ludzi nawet nie lubiących płakać z powodu własnej, osobistej krzywdy. Od takiej skłonności tylko krok do fetyszyzmu. A fetyszyzm to wiara w ludzi, którzy nie potrafią łączyć skutku z przyczyną. Którzy wolą upajać się wzruszeniami, zamiast w sposób rozsądny zapanować najpierw nad wyobraźnią, potem nad rzeczywistością. Dla fetyszysty każde efektowne zjawisko staje się przedmiotem kultu religijnego, obrazem woli niewytłumaczalnej.

Ale nawet poezja przechodzi kiedyś w literaturę. Wtedy musi człowieka oswoić z grozą i podziwem. Włączyć rozpacz i zachwyt w zwykłe życie ludzkie. Powinna więc dać możliwie racjonalną analizę afektu. Wymagajmy od literatury, żeby posługiwała się językiem najściślej orzekającym. Musi przecież wszystko nazwać i ocenić. To właśnie jej rola. Musi służyć postępowi i prawdzie. Ujarzmione przez nią sfery muszą stać się okolicą, w której człowiek mieszkałby bez lęku.

A teraz ostatnie pytanie: czy powstanie musiało wybuchnąć Czy perspektywy jego były tragiczne w sierpniu? Nie, perspektywy **takiego** powstania były beznadziejne a priori — zawsze. Kierownictwo ruchu podziemnego, którego konsekwencją było powstanie, nie uwzględniało zupełnie politycznych warunków na zewnątrz i dokonywających się przemian wewnątrz kraju. Ciasny światopogląd Sosnkowskiego, jego taktyka nie liczyły się zupełnie z istniejącym układem militarnym na zewnątrz — z frontem radzieckim za Wisłą, z jego faktycznymi, realnymi perspektywami, które zdecydowały nie tylko o losie Warszawy, ale i o losie Europy.

Razem ze śmiercią Sikorskiego załamała się linia polityczna wszystkich niemal oficjalnych uczestników początku powstania. Ale rzeczywiście rozpęd był tak silny, że siłę jego rozładować mógłby albo rewolucyjny regulator, albo samobójstwo. Ponieważ zawiodła koncepcja regulacji — samobójstwo musiało być wyjściem dla upartych, bezwolnych, naiwnych. Z osobą Sikorskiego odszedł nie tylko wódz, liczący siły przeciwnika, rację możliwych, geograficznych sprzymierzeńców, względy sojuszników istniejących, ale i myśliciel filozofujący pojęcie honoru. Trzeba znać tę dialektykę, żeby o niej mówić. Francuzi i Anglicy mogliby być wzorem dla p. Kętrzyńskiego. Niech sobie przeczyta co o honorze myślą Russel, Huxley, Martin du Gard i Bernanos.

Ale nawet w czasie zawodu najważniejszego rachunku istniała możliwość ratowania sum preliminowanych, bezspornych w każdym widoku przyszłości. Nawet w lipcu można było ratować te sumy: ewakuować dobra narodowe i osoby ważne dla życia narodu, a zbędne jako akcesoria najhuczniejszego z polskich pogrzebów.

Niech się nie zdaje wreszcie „Tygodnikowi Powszechnemu", że słowa te pisał człowiek czeski, angielski, francuski, albo taki, który zdążył wycofać się w porę i prywatnie z Warszawy. Obserwowałem wszystkie najwspanialsze odruchy bohaterstwa niektórych Warszawiaków. Widziałem osobiście najstraszliwszą klęskę ostatniej kuli i byłem, jak inni, poniewieranym „bandytą, niewolnikiem". I jeszcze dzisiaj, kiedy jestem sam w pokoju jest ciemno — przeżywam tamte napięcia, które nie są małe. Ale, gdy grozi nam nie tylko ciemność tragiczna, lecz i haniebna ciemnota, fetyszyzm — chcę pisać o życiu, które może być jasne. Niech o śmierci piszą poeci, których sprawiedliwość jest może naprawdę nie z tego świata. Straszne. Żyć się nie chce. Ale żyć trzeba. I życie budować nie tylko z godności, ale przede wszystkim z rozumu.

Stefan Otwinowski

Kronika francuska

Louis Aragon wydał nakładem „La Bibliothéque Française" nową książkę pt. „Servitude et Grandeur des Français". Jest to zbiór nowel z okresu okupacji. Do najbardziej znanych należy opowiadanie „Le droit romain n'est plus", którego bohaterką jest Niemka Lotte Müller.

U pisarzy. Nakładem wydawnictwa Gallimard w Paryżu ukazała się książka Jeana H. Roya „L'imagination selon Descartes". Francis Carco napisał nową powieść „Les belles manières". Na tematy niemieckie ukazało się w Paryżu kilka książek. I tak u Charlota ukazała się książka Vincenta Auriola „Hier... Demain", i Georgesa Weilla „Le problème allemand". Major Sorb wydał w „Les éditions de la nouvelle France" rzecz o Hitlerze pt. „Hitler, caporal stratège". U Hachette'a ukazała się powieść Frederica Grendela pt „Entre deux visages", a „Les Editions Muzy" wydało dwa utwory młodych pisarzy francuskich — Pierre'a Mac Oriana „La Maison du retour écoeurant" i André Glarnera — „De Montmartre à Tripoli". Nakładem Marechala w Paryżu ukazały się powieści Pierre'a Mac-Orlana „Le rire jaune", Jeana Marsusa „Preludes" i Xaviera de L'Ange „Les quatre mousquetaires".

Nowe książki. Ostatnio opuściło prasę wiele nowych książek, z których na pierwszym miejscu wymienić należy: powieść Józefa Kessela „Les Maudru" (u Julliarda), René Saint-Cricq Jeanne pt. „Printemps pour les morts" („Wiosna umarłych"), w której autor daje obraz nawrócenia kolaboracjonisty, dalej — książka znanego pisarza André Schwoba pt. „L'Affaire Pétain" — fakty i dokumenty w związku z procesem. Na podkreślenie zasługuje również książka młodej pisarki, M. A. Meraville, która w swej regionalnej opowieści pt. „Monastier-le-Double" (nakładem Roberta Laffont) oddala tragizm życia na prowincji w czasie okupacji.

Paul Valéry zrehabilitowany. Zmarły niedawno Paul Valéry, który przez Ruch Oporu wciągnięty był początkowo na listę pisarzy-kolaboracjonistów, został ostatnio całkowicie zrehabilitowany. Tuż przed śmiercią Valéry wygłosił na zaproszenie Akademii Francuskiej, której był członkiem, odczyt o poecie angielskim T. S. Elliocie na marginesie jego książki, która ukazała się w przekładzie francuskim Henri Fluchera pt. „Meurtre dans la cathédrale". Na pogrzebie Valéry'ego obok przedstawicieli świata literatury z Duhamelem, Rostandem i Pagnolem na czele, wzięli udział dwaj delegaci rządu gen. de Gaulle'a.

Młodzi pisarze. W Paryżu ogłoszone zostały wyniki konkursu literackiego dla młodzieży do 16 lat. Pierwszą nagrodę otrzymał François Bouzige z Montpellier, drugą Aimée Fol, uczennica liceum Henryka IV w Paryżu, trzecią — Michel Jouhaude z tej samej szkoły. Poza tym wyróżnili się młodzi adepci literatury z Lille, Fezu, Bourges i Casablanki.

Nowe czasopisma literackie. Oprócz „Les Lettres Françaises" i „Les Nouvelles Litteraires", ukazały się dwa nowe czasopisma literackie: miesięczniki pt. „La Table Ronde" i „Confluences". W drugim numerze „La Table Ronde" znajdujemy m. in. niedrukowane dotąd rzeczy Marcelego Prousta, Fr. Mauriaca, T. S. Elliota (przekłady); poza tym rysunki Rogera de la Fresnaye, A. Maillola i F. Salvata oraz facsimile manuskryptów Prousta. Jerzego Aurica i Paul Eluarda. „Confluences" ukazują się w Lyonie pod redakcją René Bertélé i w nr 2 zawierają prace J. Preverta, E. Hemingwaya, Marcela Bealu i René Chara.

Prasa francuska wyraźnie zmieniła swe oblicze. Z dawnych, przedwojennych gazet ukazują się w Paryżu tylko „Figaro", gdzie pisze stale F. Mauriac, Paul Claudel i Georges Duhamel, „Ce soir", bojowe pismo lewicowe, redagowane przez Louis Aragona i Jean-Richard Blocha, dawnych redaktorów sprzed 1939 roku, a gdzie umieszczają swe prace m. in. Charles Vildrac, prof. Langevin, Irena Joliot-Curie, Pierre Cot i Leon Jouhaux oraz dziennik komunistyczny „L'Humanité", który wychodził nielegalnie przez cały czas okupacji. Inne pisma przedwojenne przestały się ukazywać, skompromitowane współpracą z okupantem („Matin", „Oeuvre" i „Temps"). Powstało zato wiele innych dzienników, jak „L'Epoque", „Paris-Presse", „Front National", „L'Aurore", „Liberation", „L'Aube" i inne. Wszystkie te pisma wychodziły jako nielegalne gazetki lub biuletyny w czasie okupacji. Z tygodników zwraca uwagę „Fraternité", „Action", „Les Lettres Françaises". Poza tym Francja zasypana jest całą masą ilustrowanych tygodników, magazynów, jednodniówek, które w dużej mierze zaspokajają głód drukowanego słowa.

Nowa nagroda literacka. Młody pisarz Emmanuel Robles otrzymał tzw. „Prix du roman populiste" na rok 1945 za swą powieść pt. „Travail d'Homme", która ukazała się u Charlota w Paryżu. Jak pisze krytyka, jest to powieść reimpresyjna.

Komedia Francuska w trosce o nowy narybek aktorski ogłosiła swego czasu konkurs sceniczny. Młodzi adepci Melpomeny stawili się tłumnie. Odegrane zostały poszczególne sceny ze sztuk Sardou, Giraudoux, Lemaitre'a i Al. Dumasa. Z aktorek pierwszą nagrodę podzielono między Denise Noel i Micheline Boudet, które wystąpiły w sztuce „Maria Tudor", oraz w „Damie kameliowej". W grupie męskiej pierwszej nagrody nikomu nie przyznano, drugą zaś podzielono między czterech uczestników: Gallon, Bouquet, Girard i Clermont. Konkurs ten wywołał w Paryżu duże zainteresowanie; prasa pełna jest opisów, fotografii i rozmów z uczestnikami „igrzysk teatralnych".

Malarze wystawiają. W Paryżu czynnych jest obecnie kilkanaście wystaw malarskich. Przede wszystkim wielką frekwencją cieszy się wystawa prac Pabla Picasso w galerii Carré. Galerie Charpentier natomiast poświęcona jest „Portretowi francuskiemu", gdzie znajdujemy obrazy takich mistrzów, jak Fragonard, Delacroix, Degas, Manet, Cézanne i inni. W galerii Vendome wystawione są gwasze i pastele Fougerona, Gischia i Pignona, a u antykwariusza Castela wystawił swe płótna utalentowany pejzażysta i dziennikarz — Marc Mussier.

Polska zagranicą

Nowe wydawnictwo „Roju" w Ameryce. Znane przed wojną w Warszawie wydawnictwo „Rój", przeniosło się po klęsce wrześniowej do Stanów Zjednoczonych i w New Yorku przeobraziło się w „Roy Publishers", poświęcając się wydawaniu książek polskich powstałych na emigracji. Ostatnio, w r. 1945, ukazały się następujące pozycje: poezje wybrane Kazimierza Wierzyńskiego „Pobojowisko" z ilustracjami Zdzisława Czermańskiego (równocześnie ukazał się angielski przekład pt. „The forgotten Battlefield"), nowa książka Aleksandra Janty-Połczyńskiego „Pragnę żyć", oraz powieść biograficzna w języku angielskim o Koperniku, napisana przez pisarza niemieckiego, przebywającego od wielu lat na emigracji — Hermana Kestena „Copernicus and his World" („Kopernik i jego świat"). Kesten pisze o astronomie jako o wielkim polskim geniuszu i na podstawie niemieckich źródeł dowodzi polskiego pochodzenia Kopernika.

Antologia myśli demokratycznej. W New Yorku ukazała się niedawno antologia „Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków", w opracowaniu Manfreda Kridla, W. Malinowskiego i Józefa Wittlina. Książka daje wybór najcelniejszych myśli i uwag o demokracji od Ostroroga i Frycza Modrzewskiego poczynając, a na Krzywickim, Sikorskim i Słonimskim kończąc.

August Zamoyski w Ameryce. Rzeźbiarz August Zamoyski, zamieszkały stale w Rio de Janeiro, przybył wraz ze swoją żoną do New Yorku jako delegat rządu brazylijskiego do badania szkolnictwa artystycznego w Stanach Zjednoczonych.

Muzycy polscy w Londynie. Znakomity szopenista Witold Małcużyński i klawesynistka Wanda Landowska bawią obecnie w Londynie, gdzie wzięli udział w wielkim recitalu, poświęconym muzyce polskiej.

mp.

„FLORINA"
KREM OGÓRKOWY
wybiela i udelikatnia cerę
Żądać wszędzie!

O właściwy kierunek rozwoju kultury wsi

W dniach 3—5 sierpnia odbył się w Warszawie zjazd pisarzy chopskich i pracowników kultury ludowej. Nie był to jedynie zjazd grupy literatów. Zgromadził zarówno twórców jak i odtwórców, wykonawców, światłych odbiorców. Nie tylko producentów lecz i konsumentów ludowego teatru, świetlic, domów ludowych, przedstawicieli wiejskich organizacyj.

Jeśli chodzi o środowiska, na zjeździe reprezentowana była cała Polska: województwa centralne — Warszawa, Łódź, Lublin, Kielce; południowe — Kraków i rzeszowskie; zachodnie — Pomorze, Poznań, Śląsk. Wśród uczestników byli ludzie związani ze wsią najściślej, przebywający na niej stale, w oddaleniu od większych miast, były również jednostki związane z nią pracą społeczną i organizacyjną, pochodzeniem, rodzajem twórczości. Nie było wszystkich: brakło zasłużonych pionierów wydawnictw poświęconych kulturze wsi, prof. prof. Bujaka, Chałasińskiego, Inglota, nie przyjechał na zjazd Jan Wiktor. Ci jednak, którzy przyjechali, stanowili niewątpliwie większą część związanego ze wsią pisarstwa w Polsce.

Zjazd był pierwszą w naszych nowych warunkach społecznych próbą ustalenia stosunku dostawcy i odbiorcy dóbr kultury na wsi. Zagadnieniem centralnym zjazdu było zagadnienie kierunku, jaki należy nadać kulturze wiejskiej, zarówno przez wydobycie z niej tych istotnych wartości, jakie ona sama reprezentuje, jak też przez wskazanie jej właściwych dróg rozwoju.

Organizatorzy zjazdu postawili też przed zebranymi zadanie stworzenia ram organizacyjnych, służących współpracy pisarzy z ruchem ludowym, oraz szkoleniu i wychowaniu młodych pisarzy i pracowników kultury wsi.

Na zjeździe wygłoszone zostały następujące referaty: wiceministra kultury i sztuki Leona Kruczkowskiego „Kultura ludowa a kultura narodowa", Kazimierza Wyki „Problematyka twórczości chłopskiej na tle historycznym", Józefa Spytkowskiego „Twórczość ludowa i sprawdziany ludowości", Zofii Solarzowej „Teatr ludowy", R. Grada „Cechy twórczości pisarzy ludowych", Jana Aleksandra Króla „Drogi wytyczne rozwoju kultury ludowej" oraz Stefana Lichańskiego „Postawa kultury ludowej w kulturze ogólnej".

Dyskusja, jaka wywiązała się wokół wyżej zarysowanych zadań i zagadnień, uwydatniła dwa stanowiska: jedno z nich, reprezentowane przez większość obecnych na zjeździe literatów (Czachowskiego, Kruczkowskiego, Piętaka, Przybosia, Wykę), przez organizatorów zjazdu i przedstawicieli Związku Samopomocy (Cieślaka, Groczową, Kubickiego) oraz przez publicystów i krytyków prasy chłopskiej (J. A. Króla i St. Lichańskiego) sprowadzało się do przekonania, że jeżeli dzisiaj, w obecnej kulturze chłopa, istnieją przejawy odrębności w stosunku do kultury innych środowisk, i jeżeli nawet zachowanie śladów tej odrębności może być samo w sobie celem dla historyków, zbieraczy, etnografów itp., to niezależnie od tego rozwój gospodarczy świata, a wraz z nim również i rozwój wsi idzie w tym kierunku, aby odrębność tę znieść i procesu tego powstrzymywać nie podobna i nie należy. Nie ma powodu, aby kultura ludowa, dotąd odrębna i w odrębność spychana, nie przejęła w czasach, które nadchodzą, spadku po kulturach dawnych — szlacheckiej i mieszczańskiej, po czym nastąpiła i zajęła całkowicie ich miejsce, jako jednolita, wraz z kulturą środowisk robotniczych — kultura narodowa. Wyrazem tego stanowiska były wymienione wyżej referaty Kruczkowskiego, Wyki, Króla i Lichańskiego. Na stanowisku wyraźnie przeciwnym stanęła z referentów jedynie Zofia Solarzowa w swym długim wywodzie wstępnym do uwag o teatrze ludowym.

Stanowisko odrębne od wyżej przedstawionego zajęli prócz Solarzowej, z pisarzy ludowych Nędza-Kubiniec, oraz grupa działaczy i pracowników kultury związanych z wsią, dopatrująca się w perspektywach upowszechnienia kultury — nie wzmocnienia, lecz osłabienia pozycji tego, co dotąd uważane było zazwyczaj za kulturę ludową. Opierało się ono na przeświadczeniu, że wartości dotychczasowej, odrębnej kultury wiejskiej są niezaprzeczenie pozytywne i płodne nawet na przyszłość, ale tylko pod warunkiem utrzymania ich w formie czystej, wolnej od niszczącego zalewu wątpliwej według zwolenników tego stanowiska kultury „miejskiej", miejsko-proletariackiej względnie w ogóle nieokreślonej bliżej kultury uniwersalistycznej czy narodowej. W przemówieniach ich dało się wyczuć pewną nieufność, rodzaj postawy obronnej wobec takich nawet wypowiedzi, które rzucając hasło uniwersalizmu kulturalnego wyznaczały wyraźnie jako program na przyszłość — przewodnictwo chłopa w tak pojętej kulturze ogólnej.

W motywacji zwolenników pierwszego poglądu przeważały argumenty socjologiczne: obraz wsi widziany pod kątem dostrzeżonych prawidłowości społecznego jej rozwoju i przekształceń. Motywacja strony przeciwnej miała charakter bardziej psychologiczny, opierała się jak np. u Solarzowej na analizie duszy chłopskiej traktowanej jako coś jednolitego i niezmiennego.

Konsekwencją praktyczną wyżej zarysowanych stanowisk wobec kultury chłopskiej było ustosunkowanie się poszczególnych uczestników zjazdu do projektowanych form organizacji pisarstwa wiejskiego, które wysunęli organizatorzy zjazdu. Przewidywały one stworzenie w ramach Związku Zawodowego Literatów Polskich zespołu pisarzy, których twórczość obraca się wokół zagadnienia chłopa i wsi, oraz powierzenie Związkowi Literatów pieczy nad powstającymi w terenie placówkami literackimi, jako też jednostkami piszącymi i utalentowanymi. Odzywały się głosy upatrujące w tym rodzaj zamachu na swobodny rozwój pisarstwa ludowego, nie brakło zdań, że należy stworzyć odrębny Związek Pisarzy Chłopskich.

Różnice opinij w tym zakresie wynikały, jak sądzę, nie tylko z zasadniczej postawy wobec kultury ludowej, ale również wobec dwojakiego oblicza zagadnienia literatury chłopskiej: oblicza artystyczno-twórczego i społeczno-oświatowego.

W jednym z poprzednich numerów „Odrodzenia" pisałem szerzej w artykule „O tzw. literaturę chłopską", o tym właśnie obliczu artystyczno-twórczym, o społecznym zaś wspominałem tylko w zdaniu, w którym zaznaczyłem, że popieranie talentów młodzieży chłopskiej należy do zakresu działania polityki oświatowej. Dwojaki, twórczo-odbiorczy i pisarsko-„kulturalniczy" skład uczestników zjazdu uwydatnił się w stosunku do zagadnień pisarstwa na wsi, które obejmuje w ujęciu wiejskich działaczy i oświatowców nie tylko pisarzy sensu stricto tzn. literatów, ale również dziennikarzy, publicystów, a nawet twórców żywego słowa, których rolę i znaczenie zrozumieć można było na zjeździe, słuchając barwnych i dowcipnych wypowiedzi pisarzy chłopów — Nędzy-Kubińca i kilku innych. Ten udział momentu pozaliterackiego i niezawodowego w zagadnieniu pisarstwa chłopskiego i jego organizacji wyraził się m. in. w tym, że przyjmując zasadniczą rezolucję powierzenia Związkowi Literatów sprawy tworzenia zespołu pisarzy zajmujących się zagadnieniem chłopa i wsi, zebrani powołali na ogólnopolski zjazd literatów komitet, do którego weszli nie tylko pisarze, lecz także i działacze oraz przedstawiciele organizacyj chłopskich. W ten sposób zagadnienie zyskało nową płaszczyznę, w której zmieścić się mogą wszystkie przejawy kultury słowa na wsi. Powołanie zespołu w ramach ogólnopolskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, uważać należy za sukces tezy o jednolitości kultury narodowej i za oznakę, że stanowisko wiejskich „izolacjonistów" nie uzyskało większości.

Z rezolucji powziętych na zjeździe na uwagę zasłużyło ponadto postanowienie zorganizowania spółdzielni wydawniczej, której zadaniem będzie drukowanie książek, broszur itp. publikacyj z zakresu kultury ludowej, oraz stworzenie, opartego na realnej płaszczyźnie współpracy pisarzy ludowych, tygodnika kulturalno-literackiego dla wsi, którym byłaby rozszerzona „Wieś", dotychczas wydawana przez Związek Samopomocy Chłopskiej.

Zjazd był zorganizowany przez Zarząd Główny Związku Samopomocy, mimo trudności warszawskich warunków, bez zarzutu. Obrady odbywały się w Domu Żołnierza w alei Szucha. Trzeci dzień zjazdu po skończonych obradach poświęcony był imprezom: porankowi artystycznemu w teatrze przy ul. Zamoyskiego i wycieczce do ośrodka przemysłowego Związku Samopomocy Chłopskiej w Kołbieli w pow. garwolińskim. Atmosfera na zjeździe w pierwszym dniu nieco sztywna, stała się następnie o wiele swobodniejsza, a dyskusja prowadzona w oficjalnych ramach sali na Szucha przenosiła się poza nie, towarzysząc uczestnikom nierzadko na ich kwatery.

Poranek poza występem znanej pianistki Rabcewiczowej i recytacjami Ładosza, przyniósł rewelację w postaci wykonania pieśni ludowych przez niezwykle utalentowaną młodą śpiewaczkę Marię Drewniakównę.

Gospodarze Spółdzielni Związku Samopomocy Chłopskiej na resztówce majątku Zamoyskich w Kołbieli przyjęli i ugościli serdecznie uczestników zjazdu.

Ogólne wrażenie zjazdu jak również osiągnięte na nim wyniki porozumienia i wymiany zdań na temat roli i kierunku rozwoju kultury wsi należy uważać za dodatnie.

Ryszard Matuszewski

My — Gdańszczanie

Jest nas tu coraz więcej. Co prawda nie należymy do owych zapowiedzianych 50 tys. łodzian; po największej części przybyliśmy na własną rękę, nie popierani przez P. U. R. czy P. Z. Z. Po prostu wylądowaliśmy „tam, gdzie Wisła od Krakowa w polskie morze płynie" i postanowiliśmy zostać Gdańszczanami.

To nic, że Gdańsk cały niemal w ruinie i zgliszczach. Uprzątamy gruzy, grzebiemy poległych i — budujemy, budujemy. 28 szkół powszechnych, gimnazjum i liceum w gmachu dawnej Petrischule, czołowej niegdyś niemieckiej szkole średniej Gdańska. Politechnikę, Stocznię, Bibliotekę Miejską i zbudzony na nowo do życia staromiejski ratusz, ostatek tego nad malowniczym przepływem Raduni niezwykłego architektonicznego zespołu, który tu stanowił bodaj że najpiękniejszy zakątek Gdańska. Z jego kształtnej barokowej wieżyczki spływa wróżąca nową dobę biało-czerwona chorągiew. Jeszcze tam dużo porządków potrzeba, ale prace znacznie są posunięte — tak, że w niedługim czasie Gdańsk — ten stary Gdańsk, a nie podmiejski spanoszony Wrzeszcz — będzie miał swój własny a godny przytułek dla spraw kultury i sztuki.

W tymże ratuszu powołaliśmy na nowo do życia po przerwie spowodowanej wojną i okupacją niemiecką, Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. To było 22 lipca, właśnie w rocznicę manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, gdy na tle dźwigającego się z ruin gmachu Starego Ratusza prof. St. Bielicki, znany pianista, odegrał na fortepianie szereg utworów Chopina, dając niejako symboliczny obraz odrodzenia się sztuki polskiej na zgliszczach Gdańska. Przedtem jeszcze, gdy prezes Towarzystwa dr Dragan w pełnych wzruszenia słowach wspomniał tragicznie zmarłych członków w czasie wojny, zebrani wzruszyli się do łez. A gdy z kolei dr Celczar omawiał działalność Towarzystwa od chwili powstania w 1922 r. aż do września 1939 r., gdy podkreślał zwłaszcza działalność wydawniczą, którą ilustrowały rozłożone na stole prezydialnym książki i roczniki, to wtedy każdy ze słuchaczy uprzytamniał sobie, że kto traci ujście rzeki — przegrywa, kto je zyskuje — zwycięża.

I dopiero wtedy z przeraźliwą jasnością uwyraźnił się fakt, że to przecież Gdańsk był bezpośrednią przyczyną wybuchu drugiej wojny światowej. Wówczas dopiero czujemy się dumni z tego, że jesteśmy Gdańszczanami, którzy dzierżą straż nad Wisłą, polską rzeką, której ujście musi pozostać w polskich rękach.

W niedzielę 5 sierpnia obchodziliśmy wielki i tradycyjny odpust św. Dominika. Stara to i charakterystyczna tradycja dla Gdańska, bo sięgająca roku 1260. Nie tylko plac Dominikański, ale i przyległe ulice pełne były ruchu. Podczas tegoż to odpustu, tylko przesuniętego o dwa miesiące później, w 1308 roku dokonali Krzyżacy owej okrutnej rzezi w Gdańsku, tak przejmująco opisanej przez Żeromskiego.

Po 637 latach my nowogdańszczanie stwierdzamy, że „Dominik" wraca. Zgromadziliśmy się w cudem niejako stojącym, częściowo tylko uszkodzonym, najstarszym kościele miasta, w ślicznej bazylice św. Mikołaja, w owym właśnie wielowiekowym kościele związanym z „Dominikiem". Zapewne wielu z nas czuło, że ten wszystek odświętny tłum, jednolity we wspólnej modlitwie, czy zgodnie brzmiącym śpiewie zbiorowym zebrał się tutaj ze wszystkich stron Polski, że stapia się tu nowa społeczność polsko-gdańska, scalająca się z najszlachetniejszego kruszcu: Mazowszan, Lwowian, miejscowych Pomorzan, Wilnian, Łodzian i nawet Krakowian ze Ślązakami w twardy śpiż Polaka-Gdańszczanina.

Nawet i literaci gromadzą się do przysłowiowej „kupy" i maluczko a niebawem przeczytacie o oddziale gdańskim Związku Zawodowego Literatów Polskich, który może zdąży jeszcze wysłać swych przedstawicieli na walny zjazd we wrześniu br. Do zawiązania oddziału brakuje nas niewielu, śmiech wyznać, tylko — jednego! Spodziewamy się go lada dzień, zwłaszcza gdy zawiną do naszego portu pierwsze statki UNRRA, na które czekamy już od paru dni, śpiesząc wczesnym rankiem na przechadzkę. Bo ranki są tutaj cudowne, zwłaszcza gdy przez poszumy drzew skosem słońce się przedziera, gdy ślepiącym srebrem marszczy zbudzoną morską falę — a także gdy na przeczystym błękicie rysuje pełne skargi okaleczałe wieże starego Gdańska.

Równie śliczne są szarówki wieczornych godzin rozświetlane czerwiennymi poblaskami słońca na bijącej o brzeg fali lub zmatowione mgłami zachodzącymi na zielenie wzgórz oliwskich. Gdy do tego dołączyć jeszcze wrażenia słuchowe, chciałoby się utrwalić niewypowiedziane piękno gdańskiego wybrzeża, tętniącego w tej chwili od żniw, od pogłosu nadziei, że podołamy wszystkiemu, że i mocy nam przybędzie, jak nieustannie przybywa nowych pracowników.

Całe ich tłumy przewijają się przez korytarze Urzędu Wojewódzkiego Gdańskiego, który w końcu lipca osiedlił się już w murach Gdańska, mianowicie w naprawionym gmachu, co niegdyś służył hitlerowskiej organizacji pracy, tuż przy dawnym gimnazjum polskim na ulicy Okopowej.

Zagadnienie ludzi, to sprawa najdonioślejsza. Jak powiedział przewodniczący Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej ob. Leonard Wierzbicki: „Na niefachowość znajdziemy lekarstwo — w pouczeniu i okażemy jak najlepsze serce, jeżeli będziemy widzieli dobre chęci i wolę; jednakże będziemy mieli żelazną pięść przeciwko wszystkim złodziejom grosza publicznego, przeciwko wszystkim szabrownikom i spekulantom, którzy korzystając z naszego zapracowania napychają kieszenie kosztem innych obywateli i państwa".

Bo my istotnie jesteśmy zapracowani ponad ludzką miarę. A choć brak nam techników, fachowych sił roboczych, a przede wszystkim pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, to przecież wierzymy, że my — Gdańszczanie wzniesiemy zręby wspaniałego polskiego Gdańska.

Ludwik Łakomy

Życie muzyczne Krakowa

W Filharmonii — jak to bywa zresztą ogólnie przyjęte w lecie — programy przeważnie lżejsze. Pierwszym dyrygował na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej **Zygmunt Latoszewski**, drugim **Kazimierz Wiłkomirski** (jako gość). Z kompozycji niewykonywanych albo rzadko wykonywanych w Krakowie usłyszeliśmy Rimskiego-Korsakowa suitę „Bajka o carze Sułtanie" — utwór, jak wszystkie zresztą tego kompozytora — efektownie instrumentowany, ale mało interesujący.

Pewnego rodzaju wydarzeniem był koncert kompozytorski **Konrada Koniora**; „wydarzeniem", gdyż koncerty kompozytorskie należą u nas wciąż jeszcze do rzadkości. Młodzi twórcy, nie mają jeszcze — przy niedostatecznie rozbudowanym aparacie naszego życia koncertowego — możliwości wypowiedzenia się. Jest to wielki brak, który przy ostatecznej normalizacji naszego życia kulturalnego powinien być usunięty. Każdemu uprawiającemu twórczość artystyczną winna być dana możliwość startu, jak to powszechnie jest na Zachodzie, w Związku Radzieckim lub Ameryce. Oczywiście, nie wszystkie starty bywają udane. Wyjątkowo tylko kompozytor trafi do publiczności od pierwszego z nią zetknięcia się. Przeważnie dzieje się to dopiero po bliższym wzajemnym zapoznaniu się, a wielkie talenty wprowadzające nowe środki wypowiadania się często spotykają się z zupełnym niezrozumieniem u współczesnych. W stosunku do Konrada Koniora nie ma jednego ani drugiego. Publiczność przyjęła jego muzykę nieprzychylnie, po prostu dlatego, że trafnym instynktem wyczuła w niej pustkę. Konior ma pewną łatwość inwencji, ale przy zupełnym braku samokrytycyzmu i głębszego podkładu wewnętrznego łatwość ta staje się dla niego wysoce niebezpieczna, bo prowadzi do operowania frazesami. Forma, zawsze zaczerpnięta z jakichś wzorów (Liszt, Czajkowski, Rubinstein i inni) jest pozbawiona wszelkiego pokrycia. Wobec tego konwencjonalność i taniość wyrazu są tym bardziej wyraźne. Są to tylko podpatrzone maniery, które nie mogą zorganizować samodzielnej muzyki. Zdumiewające jest, jak dalece nie orientuje się młody kompozytor w problemach twórczości i techniki kompozytorskiej. Nie można i nie wolno dziś pisać w stylu Liszta, nie tylko dlatego, że jego formy są przebrzmiałe, ale przede wszystkim dlatego, że trudno sobie wyobrazić, aby znalazł się dziś człowiek, który by myślał i czuł kategoriami tamtej epoki. Forma i środki w dziele sztuki są zawsze nie odłączone od jego treści, która jest różna, zależnie od epoki. Jeżeli jest inaczej — nie ma w ogóle dzieła sztuki.

Dom Żołnierza wystawił operę „Pajace", wykonaną siłami zespołu krakowskiego i „Halkę" w wykonaniu zespołu opery śląskiej, który gościł w Krakowie po raz pierwszy. Zespół ten prowadzony wytrawną ręką **Adama Didura** rozporządza bardzo pięknymi materiałami głosowymi: **Calma, Szamborska, Finze, Hiolski, Paciejewski.** Calmę znamy z estrady jako pierwszorzędny talent. Duży głos, pełny i dźwięczny, o potężnie brzmiącej górze i dużej ekspresji, wyraźna dykcja i nerw dramatyczny wyznaczają ją na śpiewaczkę operową. W pierwszym akcie wprawdzie, widocznie nieco niedysponowana, śpiewała czasem niezupełnie czysto, zato w późniejszych miała chwile naprawdę bardzo piękne. Obok Calmy wybił się na pierwsze miejsce Hiolski w partii Janusza. Śpiewał z dużym umiarem artystycznym, każda fraza miała swój sens muzyczny i była wykończona. Głosowo bardzo dobry Finze jest jednak jeszcze sztywny na scenie. Całość była poprawna, o ile w ogóle może nią być w obecnych niezmiernie ciężkich warunkach pracy. Najbardziej zasadniczy zarzut dotyczy orkiestry (**Sillich**): tempa często za powolne lub za szybkie, brak było tego miękkiego liryzmu, który stanowi największy urok moniuszkowskiej muzyki. Chór śpiewał na ogół czysto i brzmiał dobrze, ale w wielu miejscach nie w należytym stosunku do orkiestry, która go kryła.

Pierwszy po kilku latach przerwy wojennej występ **Ewy Bandrowskiej-Turskiej** odbył się w Krakowie w dużej sali kinoteatru „Świt", przy zapełnionej widowni. Gdy zabrzmiały pierwsze tony piosenki Mozarta i arii Gretry'ego z opery „Ryszard Lwie Serce", każdy z nas uświadomił sobie od razu, co tych ludzi sprowadza do sali koncertowej i trzyma ich w takim napięciu. To nie układ programu, zresztą interesującego i wartościowego, nawet nie samo jego wykonanie, miejscami bardzo piękne i subtelne, kiedy indziej budzące jednak wątpliwości („Król Olch" Schuberta), ale przede wszystkim sam instrument, materiał głosowy. Głos Bandrowskiej ma w sobie istotnie coś zjawiskowego. Można przejść przez wiele sal koncertowych, słuchać wiele śpiewaczek w kraju i za granicą, takiego głosu nie spotyka się łatwo. W samym wykonaniu akcentuje artystka te momenty interpretacji, które z przyrodzonymi cechami jej głosu najbliżej są związane: różnice dynamiki, którymi włada niezwykle umiejętnie, i akcenty kolorystyczne. Wytwarza to może pewną jednostronność interpretacji (nie wyszedł na tym dobrze np. „Król Olch" ujęty zanadto programowo, na czym ucierpiały nieco same walory ekspresji), w innych jednak wypadkach, tam, gdzie zwłaszcza idzie o podkreślenie momentu witalności i radości życia (pieśni kompozytorów hiszpańskich) daje rezultaty nadzwyczajne. Jak dalece te właśnie cechy związane są z organiczną strukturą śpiewaczki, tego dowodem chociażby fakt, że nawet w pieśniach w tonacji minorowej potrafi wydobyć ową nutę mocnej witalności, stanowiącej o jakimś ostatecznym, głęboko ukrytym podkładzie („Poczta" Schuberta, Karłowicza „Pamiętam ciche, jasne...", „Samotny księżyc" Szymanowskiego z „Pieśni księżniczki z baśni"). A że każdy z nas szuka, choćby podświadomie, takich akcentów w otaczającym nas świecie i w sztuce, każdy pragnie znaleźć jakąś ich afirmację w najrozmaitszych formach, przeto produkcje tego typu zawsze liczyć mogą na jak najsilniejszy oddźwięk u słuchaczy. Ta sztuka trafia do wszystkich.

Stefania Łobaczewska

W teatrach krakowskich

Jeden z dziennikarzy rosyjskich tak pisze o autorze „Rosjan": „Poeta, humanista i dramaturg, Konstantyn Simonow... był dosłownie na wszystkich odcinkach frontu radzieckiego, rozciągającego się od brzegów Morza Czarnego do Oceanu Lodowatego. W Stalingradzie był na najniebezpieczniejszych odcinkach. Pływał po Morzu Czarnym na łodzi podwodnej i znajdował się pod dnem niemieckich okrętów wojennych. Był pośród partyzantów okupowanej przez Niemców Jugosławii. Marzł w śnieżycach polarnych pod Murmańskiem... Jego energia jest zdumiewająca. Napisał w czasie wojny kilka sztuk, scenariuszy filmowych, powieść o Stalingradzie „Dni i noce", liczne wiersze i opowiadania... Pierwszy napisał o obozie w Majdanku i był to najbardziej rzeczowy, obiektywny i przez to straszny raport o zbrodniach niemieckich".

„Rosjanie" to reportaż sceniczny. Simonow operuje skrótami, daje szereg filmowych niemal scen, z których każda zawiera duży ładunek dramatycznego napięcia. Obrazy te łączy wspólny nurt stopniowo rozwijającej się akcji. Znajdujemy się wśród żołnierzy odciętego batalionu, to znów w okupowanym przez Niemców mieście. Simonow obok postaci bohaterów, nie waha się ukazać ludzi słabej woli i charakteru nikczemnie wysługujących się okupantowi. Ostatni obraz, w którym połączona Armia Czerwona uwalnia całkowicie miasto od wroga, wywołuje jakże niedawne wspomnienia podobnych sytuacji w naszych własnych miastach. Dzięki tej prawdzie przeżyć, wymowa sztuki Simonowa jest silna i widz nie zwraca uwagi na pewne naiwności tekstu i brak psychologicznego pogłębienia postaci.

Teatr im. Słowackiego przygotowywał „Rosjan" od dawna i z dużym zapałem. Począwszy od przekładu **Karola Gajewskiego,** poprzez jego dekorację, aż do operowania światłem i efektów akustycznych (łoskot armat, ciężki pomruk frontu, warkot samolotów), wszystko tu było przemyślane, opracowane starannie i wyrażone bez zarzutu. Doskonale zestawiona obsada i gra aktorów pod reżyserią **Emila Chaberskiego,** wymaga szczególnej uwagi. W sztuce wystąpili znakomici artyści polscy: **Wanda Siemaszkowa, Ludwik Solski** i **Jerzy Leszczyński.** Siemaszkowa, w roli matki komendanta Safonowa, miała akcenty wzruszające zwłaszcza w scenie przesłuchiwania przez esesowca. Solski w kapitalnym epizodzie starca, rwącego się do walki z Niemcami, zbierał serdeczne oklaski, Leszczyński wreszcie doskonały był w roli felczera wojskowego Gołby, idącego na śmierć z piosenką na ustach i wiarą w sprawiedliwe zwycięstwo.

Chcąc wymienić wszystkich, którzy na to zasłużyli, trzeba by przepisać afisz. Wspomnę więc tylko, że **Kazimiera Szyszko-Bohusz** z dużym wdziękiem i kulturą odtworzyła rolę bohaterskiej szoferki, **Tadeusz Burnatowicz** stworzył mocną sylwetkę dowódcy odciętego batalionu, a **Saturninowi Butkiewiczowi** należy się szczególne uznanie za świetną maskę kapitana SS.

Niewątpliwie „Rosjanie" staną się trwałym sukcesem teatru im. Słowackiego.

Juliusz Kydryński

„La serva padrona", operowe intermezzo Jana Baptysty Pergolesiego, jest anachronizmem oczywistym: powstało mniej więcej dwieście lat temu. Tekst — na owe czasy popularnie dowcipny — nie wytrzymał próby czasu, jest nieco płaski i nudny, bo nic się tak łatwo nie starzeje, jak dowcip: niedorzeczny Uberto, irytująca Serpina i głupkowaty Vespone nadają się raczej do lamusa niż do muzeum. Ale sytuację całkowicie ratuje muzyka; dzięki niej ów prototyp operetki ma swój wdzięk i siłę atrakcyjną. Jest w tej muzyce trochę konwencjonalizmu, ale o wiele więcej talentu, humoru i prostoty; wystarczająco dużo, by wystawienie „La serva padrona" było uzasadnione, by miało swój wdzięk i siłę atrakcyjną.

Krakowski teatr „Groteska", teatr lalki i aktora, uczynił z inscenizacji tej sztuki zręczny dowcip: kazał aktorowi być lalką, oprawę plastyczną uprościł do poziomu kukiełkowej groteski, np. kostium Uberta był specjalnie udanym żartem: w miejsce żabotu... trzy pokaźne gąbki — a nudę słowa usunął zabawnie zrobioną rólką milczącego Vespone. Dzięki temu zapomina się o płyciźnie tekstu i łatwo można wybaczyć Ubertowi i Serpinie, że się tak beznadziejnie naiwnie kokietują przez dwa akty, od początkowej kłótni do końcowej sceny miłosnej.

W realizacji, ten inscenizacyjny zamysł wypełnił przede wszystkim świetnie Vespone (**Bronisław Pawlik**), a reszta „kukiełek": Uberto i Serpina (młodzi, interesujący śpiewacy — **Leszek Chobot** i **Krystyna Żukowska**) byli nieco bardziej i nieco zbyt ludzcy. Całość — troskliwie choć trochę surowo opracowana strona muzyczna poparta tak inteligentnie dowcipną koncepcją i doskonałą oprawą plastyczną **M. Szulca** i **A. Cybulskiego** — zbliża nam „La serva padrona", skreśla część owych dwustu lat dzielących nas od jej urodzin i w ostatecznym efekcie bez trudu ulega złu urokowi tego przedstawienia.

O drugim anachronicznie trudniej mówić. Jest on historycznie bez porównania bliższy i jest zarazem wielką, prawdziwą literaturą, ważną nam bo polską. Ale anachronizmem jest bez wątpienia.

Wystawione w trzecim pokazie Studia Starego Teatru w Krakowie, fragment „Nocy listopadowej" i „Warszawianka" St. Wyspiańskiego dowiodły, że werbalizm Wyspiańskiego wobec życia ubiegłych, trudnych lat stał się dla nas pusty, a nawet — nudny. Szczególnie umitologizowana symbolami „Noc listopadowa" jest nie przyjęcia. Człowiek dzisiejszy, przeżywszy to co chciał napisać Wyspiański, czuje konieczność powściągliwości, umiaru słowa z prostego szacunku dla wagi faktów. I nawet „Warszawianka" — mimo że powinna być dzięki sierpniowemu powstaniu bliska — dokumentuje wyraźnie anachroniczność Wyspiańskiego, jego tak nam dziś daleką pozę patosu.

Niepokoi mnie linia repertuaru Studia Starego Teatru. „Powrót Odyssa", „Niespodzianka", „Noc listopadowa" i „Warszawianka" to, wydaje mi się, zbyt wielkie ciężary na barki początkujących. I choć wykazują oni w wyraźnej większości ze wszechmiar godny uwagi i wieloraki rejestr talentów — w „Warszawience" pokazali się bardzo interesujący **St. Zaczyk** i **Kr. Iłłakowiczówna** — to jednak brak im w końcu oddechu do realizacji tego rodzaju wysokich tragizmów. Pedagogia muzyczna, plastyczna czy choćby choreograficzna praktykuje w początkach nauki kształcenie na prostocie, na jasności, daje fundamenta techniczne dla realizowania artystycznych przekonań. Dlaczegóż więc w tym wypadku omija się tę zasadę? Przecież nawet i właśnie „Maitre Pathelin" łatwiej i lepiej nauczyć może sceny, niż daleki prostocie Wyspiański czy daleki prawdzie Rostworowski.

Jerzy Broszkiewicz

Wiersze Włodka

Adam Włodek. Najcichszy sztandar. Kraków, Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik", 1945; str. 30.

Jeżeli oceniać „Najcichszy sztandar" Adama Włodka jako świadectwo pewnej postawy wobec świata i jej samowiedzy, nie będą to utwory niedojrzałe i przedwczesne. Jeżeli zaś oceniać zawarty w nich wkład odrębności poetyckiej, są to wiersze bardzo wtórne i bardzo młodzieńcze.

Powodem pierwszego wrażenia jest zapewne specjalna tematyka tych wierszy. Włodek najchętniej reaguje na to, na co w danej sytuacji reagować wypada i reaguje tak, jak reagować wypada. Większość jego utworów: „Sztandary i pieśni", „Wojna", „Radłów", „Najcichszy sztandar", „Uchodźcy", „Modlitwa", „Odpowiedź", „Wróg" — to typowe wiersze okolicznościowe. W skali dostępnej młodemu poecie są to utwory względnie najlepsze. To świadome opiewanie chwili, jej manifesty liryczne, przypominają gatunek, jaki niegdyś w „Śpiewach o Rzeczypospolitej" uprawiał Jalu Kurek. Uprawiane przez Włodka układy formalne, pochodzące od Przybosia, sprawiają, że opiewanie jest oszczędniejsze, niż to bywało dawniej u Kurka, który więcej, niż się sądzi, dziedziczył z popularnej rozlewności. Włodek jest od tego wolny, ale na rzecz — hasła i napisu.

W takim stanowisku zawiera się jednak duże niebezpieczeństwo oportunizmu lirycznego, niebezpieczeństwo sięgania tylko po takie tematy, które podawać można bez ryzyka i na sposób plakatów czy haseł. Zwłaszcza, że oryginalność posiąść najtrudniej przy hasłach czy plakatach. Każdy z nas modlił się, jak Włodek, ażeby wbity w ziemię karabin wyrósł nie trumną, lecz stołem czy łożem, jednak u poety albo to będzie modlitwa naprawdę mocno i odrębnie powiedziana, albo — wiemy, dobrze wiemy.

Wrażenie wtórnej młodzieńczości tych wierszy powstaje stąd, że w układach graficznych podobnych Przybosiowi i mogących łudzić, że jesteśmy w jego szkole, niczego nie znajdziesz z Przybosia poza samym układem graficznym. Włodek zmierza do wypowiedzi bezpośredniej, zupełnie przeciwnej tej, jakiej Przyboś nauczał. Posłuchajmy typowej frazy:

Zderzały się dawniej myśli
i spojrzenia zdumione:
— czemu dwie
w jednej mowie
pieśni
i wrogie flagi dwie?
Wtedy to: kolor bruku
coraz częściej bywał
czerwony,
...bo na nim robotnicza krew...

Układ poawangardowy, wyraz bezpośredni i — wątły. Włodek jeszcze nie wszedł na swoją drogę. Zerwać musi z plakatem, a jego sprawą, czy w uprawianej dotąd formie zdoła do tego zerwania doprowadzić.

Kazimierz Wyka

W poprzednim (39) numerze „Odrodzenia" z dnia 26 sierpnia: **Kazimierz Brandys:** W łunach patosu. — **Stanisław Helsztyński:** Wieści z Pomorza Zachodniego. — **Stanisław Teisseyre:** Artyści na Zachód! — **Adolf Rudnicki:** Dzienniki. Józefów. — **Eugenia Kocwa:** Jedziemy na Dolny Śląsk. — **Stanisław Rospond:** Na straży imiennictwa geograficznego. — **Artur Sandauer:** Sztuka dla sztuki — po raz pierwszy. — **Józef Nacht-Prutkowski:** Do pani. Odznaczenia. Powrót. — **Jan Bolesław Ożóg:** Drzewo rodowodu. Dziewczyny na wozach. — W oczach pisarzy. Ankietą „Odrodzenia". Odpowiedź **Pawła Hulki-Laskowskiego.** — **Zygmunt Fijas:** Kiedy padła wieść, obywatele... — Kronika ilustrowana. — **(kb):** Przegląd prasy. — **Peter W. Rainier:** Tajemnica El Alamein. — **Jerzy Broszkiewicz:** Niemoralność „Niespodzianki". — **Przemysław Michałowski:** Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu. — 4 ilustracje. — 8 stron.

literatura w obrazkach

rys. Czesław Guyski

Zofia Nałkowska: „Węzły życia"

ZOFIA NAŁKOWSKA

Stali w grupie znajomych, a jeszcze Wysokolski, zręcznie żonglując trzymanym talerzem i widelcem, na lewo i na prawo rozdawał swoje „jaksiemasze".

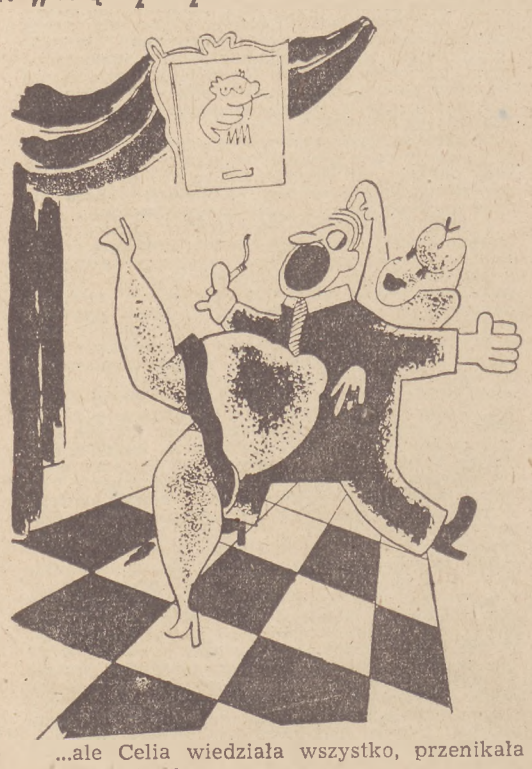

...ale Celia wiedziała wszystko, przenikała go na wskróś.

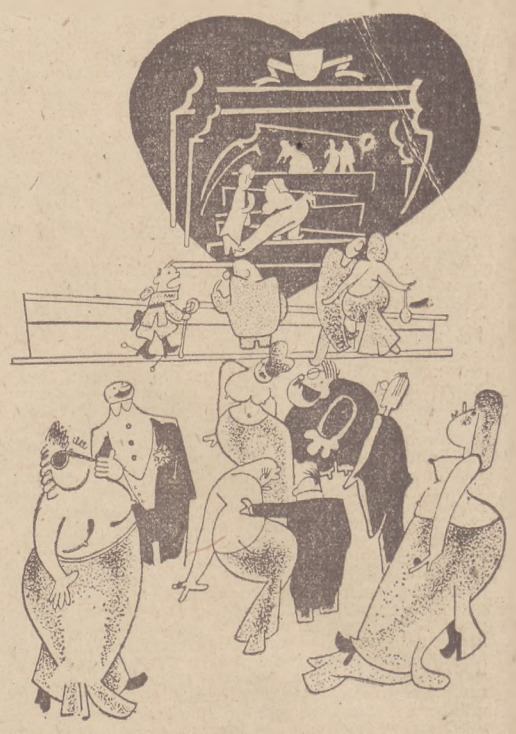

...mężczyźni obcięli i gładcy, kobiety do połowy nagie, — wolnym pochodem przenikali po schodach marmurowych w serce gmachu.

Julian Przyboś: „Miejsce na Ziemi"

JULIAN PRZYBOŚ

21 WYSTRZAŁÓW

...cierń tarniny zakłuty w moje serce rozwarł się w dziobek ptaszęcy i słowik zatrzepotał pod p.ichą mej żony.

W GÓRY

Miasto jak kamień rzuciłem za siebie,
i zanim upadło —
Nasłuchuję.
Świat
dopiero co zamilkł — górą.

W ZIELONE

...przekupnie zielenizny, rwąc zwichrzone czupryny, rozpędzają się i hop! dosiadają wysokich szczudeł wyścigowych. Przed nimi panna w błękitnym welonie i z trzema pomarańczami, którymi żongluje w jednej, wyciągniętej dłoni.

Zbigniew Bieńkowski: „Sprawa wyobraźni"

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

BAJKA O WIETRZE

Będę jak rodzinne miasto po bombardowaniu.

AKT WYOBRAŹNI

...że ptaki do ciepłych krajów odlatywały z całym dobytkiem...

BEZWZGLĘDNI

...najprostsze, codziennego użytku przedmioty nie to samo w naszym życiu mają zastosowanie.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M—03918